

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/552

1993



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. W. KULIK: **WIDMO PEREJASŁAWIA**

T. TORAŃSKA:

ROZMOWA Z JACKIEM MERKLEM

K. WOLICKI: **ZNÓW TRZEBA WYBIERAĆ**

A. WYCZAŃSKI: **SPORY O POLSKĄ**

AKADEMIĘ NAUK

E. MOŻEJKO: **WIZYTA U SŁOWEŃCÓW**

SPIS RZECZY

Andrzej Micewski:	<i>Koniec etosu, nie „Solidarności”</i>	3
Adam W. Kulik:	<i>Widmo Perejasławia</i>	8
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	12
WIERSZE		
Wacław Iwaniuk:	<i>Między przeszłością a teraźniejszością</i> .	29
Wacław Iwaniuk:	<i>Światowe rozgrywki tenisowe w 1993, w Wimbledon</i>	30
Krzysztof Lisowski:	<i>Gdzie jesteś, człowieku?</i>	31
Piotr Piaszczyński:	<i>Czytając Zygmunta Hertza</i>	31
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Edward Możejko:	<i>Wizyta u Słoweńców</i>	33
Edward de Virion —		
Małgorzata Dziewięcka:	<i>RPA — Czas teraźniejszy — czas przyszły</i>	44
Janusz Mondry:	<i>Nowe oblicze Japonii?</i>	51
WYWIADY „KULTURY”		
Teresa Torańska:	<i>Rozmowa z Jackiem Merkle</i>	56
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Znów trzeba wybierać</i>	70
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	78
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Dereń:	<i>Sprawa KOLPAKU</i>	94
Andrzej Kowalczyk:	<i>List do Redakcji</i>	96
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	98
Bohdan Osadczuk:	<i>Ukraina — kocioł na trzech nogach</i> ..	103
Bogusław Bakula:	<i>Z prasy ukraińskiej</i>	109
Zbigniew Folejewski:	<i>Polski Uniwersytet w Wilnie, a rzeczywistość</i>	113
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Wyczański:	<i>Spory o Polską Akademię Nauk</i>	118
Zbigniew Machaj:	<i>Miłosz w Czechach</i>	128
—	<i>Protest Stowarzyszenia Pisarzy Polskich</i>	130
—	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i>	132
CI, CO ODESZLI		
Lidia Ciołkoszowa:	<i>Edward Raczyński</i>	133
Ks. Z.M.:	<i>Maria Winowska</i>	138
KSIAŻKI		
Rafał Węgrzyniak:	<i>Niezlomny w zadżumionym teatrze</i> ...	142
Andrzej M. Borkowski:	<i>Czary reklamy</i>	147
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	152
POLEMIKI		
Marek Cichocki:	<i>Bez właściwości</i>	153
Józef Garliński:	<i>List do Redakcji</i>	162
Stefania Kossowska:	<i>Odpowiedź p. Garlińskiemu</i>	164
—		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	169
—		
M. Dakowski, B. Mansfeld,		
J.A. Tomaszewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	173
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	175

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień/Septembre 1993

INSTYTUT  **LITERACKI**

KULTURA

Składe • Opowiadania • Sprawozdania

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr Jacek Jędruch, Sunnit, NJ (USA), po raz 19-ty — dol. 19,00	F.	65,00
Lech Krysiwicz, Montreal, PQ (Kanada), po raz 8-my — dol. can. 50,00	F.	230,00
Teresa Więckowska, Champagn, IL (USA) — dol. 16,00	F.	95,00
Henryk Wroński, Paryż	F.	70,00
Zamiast kwiatów na grób Marka Hurwicza — Przyjaciele	F.	500,00

DZIĘKUJEMY

Dla uczczenia pamięci zasłużonego działacza Kazimierza Matuszaka — sztokholmskie Towarzystwa: Przyjaciół Biblioteki Polskiej i Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu — przekazujemy na Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim F. 500,00

KLONIKA

Audzej Wysocki 119

Zbigniew Machaj 120

— 121

— 122

CI CO ODZIELI

Lidia Cholewicka 123

Ex Z.M. 124

KSIĄŻKI

Rafał Wągrowicki 125

Andrzej M. Borowski 126

— 127

— 128

— 129

— 130

— 131

— 132

— 133

— 134

— 135

— 136

— 137

— 138

— 139

— 140

— 141

— 142

— 143

— 144

— 145

— 146

— 147

— 148

— 149

— 150

— 151

— 152

— 153

— 154

— 155

— 156

— 157

— 158

— 159

— 160

— 161

— 162

— 163

— 164

— 165

— 166

— 167

— 168

— 169

— 170

— 171

— 172

— 173

— 174

— 175

— 176

— 177

— 178

— 179

— 180

— 181

— 182

— 183

— 184

— 185

— 186

— 187

— 188

— 189

— 190

— 191

— 192

— 193

— 194

— 195

— 196

— 197

— 198

— 199

— 200

Koniec etosu, nie „Solidarności”

Czerwcowy, V Zjazd NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze ujawnił głębokie rysy w Związku, który w czasie walki z komunizmem liczył około 9 milionów członków, a dzisiaj ma około 1,6 miliona członków płacących składki. Ta ostatnia liczba nie jest drastycznie mała, ale podważają ją rysy, które ujawniły się na zjeździe. Najważniejszą z nich jest chyba konflikt między władzami NSZZ a tzw. „Siecią”, zjednoczeniem organizacji zakładowych wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. „Sieć” skłania się w stronę obozu prezydenckiego, podczas gdy właściwy Związek zdecydowanie się radykalizuje, a czasem nawet zbliża do linii OPZZ, widząc niezadowolenie społeczne wywołane radykalizmem liberalnej linii L. Balcerowicza.

Drugi podział w „Solidarności” ujawnił się między władzami Związku, a jego dotychczasową reprezentacją parlamentarną, która głosowała w parlamencie nie według instrukcji z Gdańska, lecz według własnej oceny sytuacji w kraju. Na tym tle doszło do opuszczenia Związku przez kilku jego czołowych działaczy, jak B. Borusewicz, A. Pieńkowska, czy W. Arkuszewski. Ci legendarni działacze Związku zastanawiali się potem, czy kandydować do parlamentu z list Unii Demokratycznej, czy prezydenckiego BBWR-u, który to wybór budził dość szerokie zdumienie. Trzecia wreszcie głęboka rysa, którą przyniósł V Zjazd „Solidarności” wynikała z odrzucenia przez delegatów propozycji Wałęsy wstąpienia do BBWR-u i postanowienia uczestnictwa w wyborach na własnych listach związkowych. Odpowiedzią Wałęsy na tę decyzję było odmówienie przyjazdu do Zielonej Góry i oświadczenie,

że nic go już nie łączy z obecną „Solidarnością”. Trzeba przyznać jednak panu prezydentowi, że rzeczywiście nie mógł pojechać na Zjazd, na który zaproszono go tylko na „gaszenie świec”, czyli na ostatni dzień, kiedy wszystkie ważne uchwały zapadły już wcześniej. Jest natomiast oczywiste, że Związek nie mógł wstąpić do BBWR-u, który nie wiadomo czym będzie. „Solidarność” natomiast może stracić jeszcze część członków płacących składki, lecz nie ulega wątpliwości, że jako związek zawodowy ostatecznie się i w trwałej sytuacji kryzysu gospodarczego będzie się radykalizowała.

Gorzej jest natomiast z tzw. solidarnościowym *ethosem*. Jego koniec nie wiąże się z trzema konfliktami na V Zjeździe Związku na Zielonej Górze. Zjazd ten uwidocznił, że *ethos* skończył się nie tylko w politycznych elitach dawnej „Solidarności”, ale załamał się także w samym związku zawodowym „S”. Mówiąc w wielkim skrócie koniec *ethosu* wynikał z trzech kolejnych „wojen na górze” autorstwa dążącego do władzy i co gorsze do faktycznego rządzenia Lecha Wałęsy. Pierwszą wojnę na górze Wałęsa stoczył jeszcze w 1990 roku przeciw Komitetowi Obywatelskiemu, kiedy sam zapragnął zostać prezydentem Rzeczypospolitej. Komitet Obywatelski skupiający w rękach wszystkie nici władzy nie widział potrzeby tworzenia partii politycznych i zaprzeczał istnieniu podziału na lewicę i prawicę. Wałęsa rozbił ten komitet ze względu na własne aspiracje rządzenia Polską, ale obiektywnie przyczynił się do procesu zdecydowanie zdrowego, do powstawania systemu pluralistycznego i tworzenia normalnych w społeczeństwie demokratycznym partii politycznych. Wałęsa wygrał swą pierwszą „wojnę na górze” i został prezydentem Rzeczypospolitej.

Drugą „wojnę na górze” Wałęsa wygrał w czerwcu 1992 roku, obalając w Sejmie gabinet Jana Olszewskiego, którego minister spraw wewnętrznych pochopnie wręczył przedstawicielom parlamentu nie zweryfikowaną listę byłych agentów tajnych służb PRL, na której znaleźli się czołowi działacze państwowi i wielu parlamentarzystów. Wyglądało to na próbę zamachu stanu, choć inicjatorzy mogli nie mieć takiej intencji. Wałęsa, wyczulony na każdą grę taktyczną, odpowiedział swoistym kontrzamachem i ponownie stał się zwycięzcą, ba niemal głównym obrońcą demokracji. Nie zmienia to faktu, że wzajemne obrzucanie się błotem przez polityków III Rzeczypospolitej budziło powszechny niesmak. Co zaś tyczy się agentów, to sprawa ta jest dość beznadziejna, bo ich listę mogliby odtworzyć tylko komunistyczni szefowie MSW. Tym-

czasem oni musieli wiele zmienić w teczkach i komputerze, co robi każda szanująca się tajna służba, która musi odejść w wyniku zmiany ustroju. Potem zaś było aż czterech solidarnościowych ministrów spraw wewnętrznych i do tego przebywała w MSW jedna Komisja Społeczna i trudno oprzeć się przypuszczeniu, że wszyscy oni nie interesowali się zawartością teczek i dokumentów. Prawdziwa lustracja byłaby pożądana, lecz wątpię, czy jest ona możliwa. Natomiast oburza mnie fakt, że wielu policyjnych i wojskowych przestępców całego 45-lecia nie zostało pociągniętych do odpowiedzialności, mimo że są na ogół znani opinii społecznej i mieli krew na rękach. Zamiast nich ciąga się po prokuratorach i Komisjach Sejmowych Jaruzelskiego i Kiszczaka, którzy dobrowolnie oddali władzę „Solidarności”. A dzieje się tak z powodu, że partie polityczne usiłują na tym zbić kapitał wyborczy, natomiast o licznych prawdziwych przestępców, bez głośniejszych nazwisk, mało się troszczy. Naturalnie cierpi na tym osławiony *ethos*.

Trzecią „wojnę na górze” Lech Wałęsa rozpoczął w czerwcu 1993 roku, gdy Sejm obalił rząd, nie wysuwając kandydata na premiera, a więc wprowadzając politykę polską w ślepej uliczce. Pan prezydent ze znanym sobie wyczuciem taktycznym, natychmiast rozwiązał bezmyślny parlament i na dobre parę miesięcy został sam z dość mu uległym rządem. Kiedy zaś partie zaczęły się przygotowywać do przewidzianych na 19 września wyborów parlamentarnych, Wałęsa zaskoczył wszystkich powołując rodzaj partii prezydenckiej w postaci Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform. BBWR z 1993 r. ma się tak do BBWR-u z okresu międzywojennego, jak Wałęsa do marszałka Piłsudskiego. Wałęsa zdobył się tylko na zagranie taktyczne. Piłsudski, choć nie pochwalam i jego BBWR-u, reprezentował uniwersalistyczną koncepcję Polski wielonarodowej i przeciwstawiał ją nacjonalistycznej koncepcji państwa narodowego. Chodziło więc wtedy o różnicę zasadniczą, moralną, ideową i geopolityczną. Dzisiaj chodzi o czystą grę o władzę, która skazana jest na przegranie, bo nowy BBWR nie ma szans na otrzymanie więcej niż kilka lub maksimum kilkanaście procent głosów. Jako partia reformatorska mógłby pójść tylko z Unią Demokratyczną i liberałami, choć jego powstanie było powszechnie przyjęte jako posunięcie przeciwko partiom obecnego rządu. BBWR nie odbierze bowiem głosów partiom lewicy, ani nawet KPN-owi, lecz przede wszystkim Unii Demokratycznej, ZChN-owi i liberałom. Prezydent powołując BBWR zaraz na wstępie po-

wiedział buńczucznie, że boi się, aby jego twór nie dostał za dużo głosów, lecz myślę, że może być spokojny, bo taka możliwość w ogóle nie wchodzi w rachubę.

BBWR jest w pewnym sensie tworem postkorporacjonistycznym. Ma skupiać biznes i pracowników, samorządowców i rolników. Nie wiadomo jednak, kto miałby być arbitrem między tymi częściami składowymi ruchu. W państwach faszystowskich arbitrem było państwo, a w istocie rzeczy jego dyktator. W warunkach demokracji, której w postkomunistycznej Polsce nikt, włącznie z Wałęsą nie jest w stanie zagrozić, nie ma arbitra sprzecznych interesów społecznych. Arbitrem może być tylko parlament i szukanie równowagi między reprezentowanymi w nim partiami politycznymi. Bezpartyjny Blok Wspierania Reform Lecha Wałęsy nie będzie taką siłą parlamentarną, która mogłaby mieć głos rozstrzygający. Będzie to raczej formacja średniej wielkości politycznej, w której będą się skupiali karierowicze, liczący na poparcie prezydenta, nie mającego żadnych szans jednoosobowego rządzenia krajem. Z tego powodu wielu komentatorów polskiej sceny politycznej przewiduje, że budowany obecnie blok prezydencki po wyborach rozpadnie się na różne odłamy, broniące interesów różnych warstw społeczeństwa, a co gorsze interesów własnych. O ile dwie pierwsze „wojny na górze” Lech Wałęsa wygrał, dodajmy, nie bez pewnej korzyści dla kraju, to obecnej wojny według dość powszechnej opinii nie jest w stanie wygrać. A angażuje w nią cały swój autorytet osobisty i niestety prestiż urzędującego prezydenta Rzeczypospolitej.

Czy w tej smutnej sytuacji mogło wiele pozostać z historycznego *ethosu* „Solidarności”. Sam Związek przetrwał, ale podzielony i skonfliktowany. Jego dawny, legendarny przywódca znalazł się w ślepej uliczce, powodowany żądzą władzy odwrotnie proporcjonalną do posiadanych kompetencji. Elity solidarnościowe są zaś dokładnie skłócone i żaden *ethos* nie miarkuje stosunków między nimi. Bywało tak, że przedstawiciele prawicy i lewicy siedzieli w jednej celi więziennej. Wtedy wiele mogło ich łączyć. Realnie istniejący układ sił i interesów politycznych dzisiaj ich dzieli. Daj Boże, by pozostało choć tyle *ethosu*, żeby mogli swoje konflikty rozstrzygać w godny i kulturalny sposób. Raczej go jednak tyle nie zostało, skoro przedstawiciele jednych partii posądzają zwolenników innych o agenturalną działalność dla komunistów, a ci drudzy widzą w nich tylko „oszołomów”. Zaiste *ethos* załamał się i chwilami upada bardzo nisko. Rozmawiając z tymi ludźmi z osobna, w niektórych argumentach można dostrzec

źródło prawdy. Gdy obserwuje się ich na szerszej scenie politycznej widać więcej wzajemnej nienawiści i zwykłej niemoralności niż dawnego *ethosu*.

Nie wyciągałbym z tego stanu rzeczy zbyt pochopnych i daleko idących wniosków. Warstwa ludzi, uprawiających w Polsce politykę — nie wiadomo dlaczego nazywana szumnie „klasą polityczną” — jest zdecydowanie wąska i szczupła. Większość społeczeństwa przejawia w wyniku przeżyć w komunizmie i jakiejś kontynuacji poprzedniej niemoralności życia publicznego zdecydowaną niechęć do polityki. Ten ostatni przejaw życia polskiego martwi mnie najbardziej. W naszej sytuacji absencja wyborcza byłaby rzeczywiście grzechem. A partie polityczne, by być godne tego miana muszą obrosnąć w ciało, muszą stać się organizacjami większymi, a nie tylko klubami dobrze rozumiejących się przyjaciół lub dawnych bojowników.

W wyniku tego stanu większości partii politycznych mamy teraz w Polsce dwa swego rodzaju „strachy na wróble” — jednym jest Bezpartyjny Blok Wspierania Reform, a drugim Konfederacja Polski Niepodległej. Obydwa te ugrupowania uchodzą w pewnej mierze za nieobliczalne, przede wszystkim ze względu na cechy osobowe swoich przywódców, mających tak wygórowane ambicje osobiste, że trudno jest realnie myśleć o trwałej i stabilnej koalicji z którymś z nich. Wspomniane dwa ugrupowania mogą zebrać sporo głosów i utrudnić tworzenie koalicji, nawet w sejmie, do którego dostanie się jest utrudnione przez 5-procentową klauzulę zebrania głosów w skali całego kraju. Zabawne jest jednak, że nasz ostatni „strach na wróble” usunął niejako w cień obawy przed koalicją centroprawicową, zwłaszcza, że Jan Olszewski nabrał nieco ostrożności wobec swoich „nawiedzonych” sojuszników. Ale to są wszystkie marginesy polityki. Główne pytanie przedwyborcze polega na tym, czy wygra obóz reformatorski uwzględniający socjalne potrzeby społeczne, czy jakaś hybryda polityczna, która może zaprowadzić Polskę w ślepy zaułek.

Andrzej MICEWSKI

Widmo Perejasławia

Upraszczając można powiedzieć, że istnieją dwie szkoły pisania reportażu: pierwsza nakazuje przedstawienie nagich faktów bez jakiegokolwiek komentarza — ten ma odpowiadać sobie sam czytelnik, i druga, która zezwala na odautorskie to i owo. Obie niosą pewne ryzyko: pierwsza — możliwość opacznej interpretacji przez czytelnika, druga — podejrzenie o uprawianie propagandy przez dziennikarza. Tak czy owak, winienem panu Jerzemu Giedroyciowi podziękowanie za miejsce w *Kulturze* na „to i owo” będące odautorskim dopowiedzeniem do mojej relacji z podróży do Mińska w maju bieżącego roku.

Wyjeżdżając z Mińska usiłowałem rozwiązać dylemat: metropolita Filaret realizuje politykę moskiewskiego patriarchatu (Moskwy?) usiłując przynajmniej w sferze religii podporządkować bądź ściślej związać Białoruś z Rosją, czy też wyraźnie demonstrowane przez niego podporządkowanie moskiewskiemu patriarchatowi jest swoistą reakcją obronną na ekspansję łacińskiego (czytaj: polskiego) Kościoła w Białorusi? Dopiero po przetrwaniu rozmów jakie odbyłem z eminentną i jego księżmi, z ministrem Żylskim, zrozumiałem, że prawosławie musi czuć się poważnie zagrożone, skoro tak żarliwie, niemal demonstracyjnie jednoczy się. Oznacza to, że dostojnicy Kościoła odpowiedzialni za „księżą inwazję” na Białoruś niewiele zrozumieli z ostatnich 400 lat polskiej historii. Albo też znają tę historię doskonale, ale robią swoje nie zważając na racje 40-milionowej Polski i 11-milionowej Białorusi.

W moim rozumieniu Polska ma (niezmiennie od wieków) do odegrania podobną rolę w stosunku do Wschodu, jak

Francja w odniesieniu do nas. Niezmiennie, od wieków ta szansa jest marnotrawiona przez bzdurne rojenia mocarstwowe pewnych grup Polaków lub podobne im działania łacińskiego Kościoła, który swoje cele realizuje naszym kosztem. Bardzo chciałbym, by ktoś mi wskazał korzyści jakie Rzeczypospolita na przestrzeni czterech ostatnich wieków odniosła wskutek wprowadzenia unii na Wschodzie. Straty wyliczy nawet średnio obeznany z historią tego regionu Europy uczeń szkoły średniej: wplątanie I Rzeczypospolitej w wojny z Kozakami, którzy prowadzili je również w obronie prawosławia — zdegradowały ostatecznie kraj gospodarczo i politycznie czyniąc go łatwym łupem Szwedów a potem zaborców, wymuszenie ekspansją katolicyzmu zwrotu Ukrainy w kierunku Moskwy w XVII wieku, wtrącanie się Rosji przez całe XVIII stulecie w sprawy polskie pod pretekstem obrony krzywdzonych prawosławnych. No i wiek XX: unia pozwoliła zachować Ukraincom tożsamość narodową, kazała im myśleć o budowie własnego państwa, ale Polacy zapłacili stoma tysiącami zabitych na Podolu, Wołyniu i dalszymi dwustu tysiącami zmarłych z głodu, wycieńczenia, ran. Można by się zastanawiać czy unia w XIX stuleciu na dawnych obszarach Rzeczypospolitej nie przyjęła pierwszego impetu rusyfikacji osłaniając w ten sposób ziemie rdzennie polskie, lecz są to raczej teoretyczne rozważania.

Podobnie jak przed paroma laty na Ukrainie, Kościół łaciński stosuje w Białorusi politykę faktów dokonanych. Oczywiście rękoma Polaków — księży, biskupów. Nie mam powodu wątpić w wiarygodność danych, które mi podał metropolita Filaret (na 150 księży łacińskich Białorusinów jest tylko 26). Zamiast wsparcia naukowego, kulturalnego, moralnego, politycznego lekceważenie podmiotowości politycznej nowych, a więc szczególnie na to uczulonych, państw. Nie chciałbym by Białorusini czy Ukraińcy dopisywali do starych polskich grzechów nowe, ale najprawdopodobniej dopiszą: księży z Mozambiku, Irlandii czy Brazylii nie oskarża się o polonizację, bo ich za Bugiem nie ma, choć może przed innymi powinni tam się znaleźć. Nie można rządu Białorusi oskarżać o złą wolę, skoro zezwala na przyjazd 50 księży z Polski tylko w jednym roku. Być może to za mało jak na aspiracje polskiego Kościoła, ale czy nie wystarczające jeśli weźmie się pod uwagę potrzeby Polaków tam mieszkających?

Aż wierzyć się nie chce jak niewiele nauczyły nas rozbiory, bezgłowa polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości narodowych. Kto wie: gdyby przed wojną zamiast za-

mykać Ukraińcom, Białorusinom szkoły, wysyłać na nich karne ekspedycje wojskowe i policyjne, dać im autonomię, związać z kulturą, nauką, tradycją polską, czy po wojnie te narody nie stałyby się buforem, który odepchnąłby Polskę w bezpieczną strefę Austrii czy Finlandii? Co innego zagarnąć teren udający państwo przez kilka miesięcy a co innego państwo posiadające wszystkie struktury, związane autonomią z innym. Narody pamiętają długo nie tylko krzywdy, także dobrodziejstwa — hegemonia sowiecka nie była Bułgarem tak uciążliwa właśnie przez tę pamięć sięgającą ubiegłego stulecia.

Dwadzieścia lat rozsądnej polityki przedwojnia, szczególnie w stosunku do Ukraińców, zmieniłoby zupełnie obraz okupacji — Podola czy Wołyń nie byłoby bo zabrakłoby powodu. Akcja „Wisła” także nie ujrzałaby światła dziennego. Już nie mówię o promieniowaniu polskiej kultury, sztuki na Wschód, na ziemię od 700 lat związane z naszą państwowością więc w sposób naturalny skłonne do wchłaniania polskości. Zapominamy, że po 700 latach militarnej ekspansji na Wschodzie stoimy dokładnie w punkcie zerowym, że jeżeli coś tam zostawiliśmy, to należy to wyłącznie do szeroko rozumianej kultury.

Możemy lekceważyć podmiotowość Białorusi czy Ukrainy — poradzą sobie bez nas. Ten wariant już przerabialiśmy 350 lat temu, skończył się Perejaśławiem (oddaniem najpierw części, potem całej Ukrainy, wzmocnieniem Rosji i w konsekwencji rozbiorami). Posmak Perejaśławia czułem w słowach egzarchy Filareta, kiedy z przekonaniem mówił o patriarchalnej zwierzchności Moskwy nad Białorusią. Ta sytuacja nie wynika z miłości Białorusinów do Rosjan. Sprowokował ją polski Kościół, pozostawienie spraw swojemu biegowi przez nasz rząd, sejm, senat. Coś tam robiliśmy w ostatnich latach, i dokładnie to coś mamy. Nic więcej.

Paweł Jasienica pisał, że wielkim, nie spełnionym przeznaczeniem Rzeczypospolitej Polskiej była wolna, mocna gospodarczo i militarnie Ukraina. Wiedział co mówi: dwa przyjazne, czterdziestomilionowe narody w środku Europy z łatwością sprowadziłyby takiego Stalina do wymiaru Ceausescu, ewentualnie skrzyżowanego z cesarzem Bokassą. W takiej konfiguracji politycznej rewolucja mogłaby sięgnąć najwyżej po Syberię i Mongolię. Dziś Białoruś, Ukraina stają się wolne. Na litość boską nie udawajmy, że tego nie widzimy! Wspierajmy je nie dla nich, przede wszystkim dla samych siebie.

Ryszard Surmacz, dziennikarz, jeden z kilku (!) ludzi

wiedzących co naprawdę dzieje się na naszym Śląsku Opolskim, po wysłuchaniu mojej relacji z podróży do Mińska powiedział:

— Na Śląsku mamy sytuację identyczną. Niuans polega na tym, że my występujemy w roli Białorusinów a Niemcy Polaków. Czyżby Kościół w Polsce nie zdawał sobie z tego sprawy?

Adam W. KULIK

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 maja 1993

Mój zmarły przyjaciel K., programowy ateista, uważał zbieg okoliczności, koincydencję, za niższą formę cudu; czyli za jedyny namacalny dowód istnienia Boga. Z pobłażliwym uśmiechem słuchałem zawsze jego wywodów, zapalczywych, znaczonych błyskami w oczach, jakby z przewrotnym zadowoleniem odślaniał szczelinę w swoim ateistycznym pancerzu. Lubił, podniecony, perorować: „Tego rozumem nie obejmuję, więc muszę uczciwie przyznać, że istnieje coś nieuchwytnego. Nazywaj to, jeśli chcesz, ręką Boga. Mnie wystarczy powiedzieć: tajemnicza, niedocieczona, a zatem cudowna koincydencja”.

O „cudownej koincydencji” miałem nieco inne wyobrażenie, mniej uduchowione, bardziej za to plastyczne. Wyobrażałem sobie, dowodów na istnienie Boga szukając gdzie indziej, że wszechświat jest ogromną tkaniną z bardzo skomplikowanym, niestannie uzupełnianym, lecz dla bystrego spojrzenia czytelnym (po części przynajmniej) deseniem. Owa tkanina pruje się niekiedy, i wówczas *zbiegają się* dość odległe okoliczności (nasze i cudze losy), tworząc koincydencję właśnie, spotkanie do którego inaczej nie mogłoby w ogóle dojść. Zagadką, może boską zagadką, jest okresowe prucie się deseniowi.

Moim zbiegiem okoliczności, cudownym zaiste, było dzisiejsze wtargnięcie Burmy po tyłu, tyłu latach. Rano przyszedł list z Rangoonu, przeadresowany z *NYTimes Book Review*. Nadawca przeczytał w tygodniku artykuł o mojej

książce wydanej w Stanach i postanowił zapytać, czy go pamiętam. Bo on pamięta mnie doskonale, w roku 1952 był moim przewodnikiem w Rangoonie. Pamiętałem i ja, zwłaszcza że do listu dołączył swoją młodzieńczą fotografię. U jego boku oglądałem, słuchając objaśnień, Złotą Pagodę w Rangoonie i Kamiennego Buddę za miastem. Zadziałał mechanizm reminiscencji, obrazy zepchnięte do najgłębszych piwnic pamięci wypelzły i odżyły z nadzwyczajną wyrazistością. Autor listu chciał się dowiedzieć, czy opisałem także kiedykolwiek moją podróż do Burmy; jeśli tak, czy mógłbym mu podać tytuł i wydawcę książki. Rzecz prosta, dla mieszkańca Rangoonu, znającego poza swoim językiem ojczystym jedynie angielski, nie posiadałaby żadnej wartości informacja o mojej polskiej książeczce *Podróż do Burmy*. Napisałem więc tylko zdawkowy, serdeczny liścik. Gdy po południu wyszedłem z domu aby go wrzucić do skrzynki pocztowej, stanąłem naraz jak wryty przed świeżym plakatem na rogu ulicy: kino w górnym Neapolu wyświetla „tylko dziś” film *Harfa Burmeńska*. Widziałem ten stary film dwukrotnie, z niezmiennym zachwytem, wkrótce po powrocie z Burmy. Wieczorem, przejęty zbiegiem okoliczności, wyprawilem się do górnego Neapolu. A teraz późną nocą, usiłuję zrozumieć sens „cudownej koincydencji”.

Aby koincydencję nazwać (jak K.) „niższą formą cudu”, trzeba z niej wyłączyć czynnik zwykłego przypadku i zaufać wyłącznie intuicji, skoro nie działają tu sprawdziany „racjonalne”. Intuicja zaś jest płomykiem, który zapala się i natychmiast gaśnie. Byłem tego płomyka pewien. Musiałem odkryć co łączyło moje zwiedzanie Rangoonu i okolic z japońskim żołnierzem-harfistą z filmu.

Nie wchodziła w grę Złota Pagoda, jednostajna w swoim architektonicznym i dewocyjnym przepychu. Należało całą uwagę skupić na Kamiennym Buddzie.

Słynał ze swoich rozmiarów, z nich przede wszystkim byli dumni Burmeńczycy. Sześciopiętrowy posąg, szepnął mój przewodnik. I jak wyuczoną formułę (wszyscy na świecie przewodnicy posługują się takimi gotowymi formułami) zaliczył go, z przechwałką w głosie powołując się na Normana Douglasa, do *Upstairs Gods* przeciwstawionych greckorzymskim *Downstairs Gods*. Zacytowałem to rozróżnienie w mojej książeczce.

Kamienny Budda wykuty został w pozycji półleżącej na szczycie płaskowyzu, z głową opartą o prawą rękę. Sześć pięter liczy od pasa do czoła. Lewa ręka przyłożona wzdłuż ciała

jest gigantyczną maczugą, z potężnej głowy zrywa się i wciąż wraca na dawne miejsce stadko ptaków, jak z samotnej skały morskiej. Nie do wyrzeźbienia jest uśmiech Nirwany w takim ogromie.

U stóp posągu klęczała gromadka drobnych mężczyzn i kobiet, uderzając rytmicznie głowami o złożone na ziemi ręce. Trudno Kamiennego Buddę widzieć inaczej, a może po to właśnie legł na wzgórzu, ponad mnichami w celachziemiankach na zboczu, ponad klęczącymi, ponad Rangoonem na horyzoncie: symbol boskiej grozy i przekleństwa losu ludzkiego.

Harfa burmeńska rozgrywa się w ostatnich tygodniach wojny. Żołnierz japoński, zamiłowany harfista, odmawia powrotu do kraju ze swoimi towarzyszami broni. Złota Ziemia (tak nazywana jest Burma) usiana jest trupami poległych żołnierzy, harfista zostaje by je pogrzebać. Przemierza pobojowiska z torbą jałmużniczą i harfą na ramieniu, grabarz z miłości do bliźnich. Pewnego dnia, kopiąc gołymi rękami z pomocą mieszkańców okolicznej wsi grób w przybrzeżnym mule Irrawady, znajduje błyszczący świetlnym krzyżykiem kamień, rubin burmeński. — To dusza jednego z nich — odzywa się któryś z chłopów. Harfista chowa skarb do szkatułki i puszcza się w dalszą wędrówkę. Jego oddział odpływa do Japonii, dowódca czyta na statku żołnierzom ostatni list od ich towarzysza, który stał się mnichem-harfistą: „Nie możemy pokonać, ani opanować losu; możemy go tylko złagodzić błaganiem i osłaniać iskrę nadziei”. Dopiero teraz staje się jasne, że harfa burmeńska ma struny zrobione z cierpliwości i cierpienia, a harfista wygrywał na nich zawsze tę samą pieśń żalobną żywych nad duszami umarłych.

Mimo że głęboko pesymistyczny, film nie pozostawia przecież uczucia absolutnej beznadziejności. Jego ukryta nadzieja ma jednak niewiele wspólnego z chrześcijańskimi pojęciami o życiu i śmierci: jest to nadzieja wiecznej wędrówki buddyjskiej, w której jedyny Cel tkwi w samej Drodze. Zgodnie z naukami Mahayana (północnej, japońskiej i chińskiej szkoły buddyzmu) litość jest nie mniej ważna od mądrości. Ale litość swoista, gdyż obie odmiany buddyzmu nie dramatyzują jak chrześcijańska *pietà* cierpienie ciała i odrzucają nieśmiertelność duszy. Dusze umarłych wędrują tak samo jak ciała żywych, i śmierć jest tylko przejściem do innej formy ustawicznej pielgrzymki. Dlatego historię znalezienia rubinu w mule Irrawady należy brać prawie dosłownie: w nagrodę za swoje trudy żołnierz-mnich-harfista otrzymał znak, że drogo-

cenne jak klejnot i połyskujące iskrą nadziei ogniwo w urwanej Drodze zostało przywrócone.

Moja dzisiejsza „cudowna koincydencja” jest więc darem równoczesnego spojrzenia na dwa oblicza religii: jedno zniewala potęgą przekleństwa, drugie obiecuje litość i łaskę (bez pewności, że dotrzyma słowa). Jak w całej twórczości Kafki.

4 maja

Odnoszę się dość niechętnie do autorskich *Zeszytów*, publikowanych po śmierci wybitnych pisarzy i myślicieli. Zdaje się, że raz już wyśmiałem w dzienniku *Zeszyty doktora Czechowa*, w których wielki pisarz, gromadząc zapasy w swojej literackiej spiżarni, zapisywał jednym lub dwoma słowami a to „krowę”, a to „krajobraz za rzeką”. Takie, nic nie mówiące czytelnikowi zarodki pomysłów pisarskich, powinny trafiać do rąk zamiłowanych dębaczy uniwersyteckich, a nie do księgarń w luksusowo wydanych i pękających tomach. Jestem też pewien, że znakomici zainteresowani przyglądają się zza grobu temu procederowi co najmniej z niesmakiem, jeżeli nie z irytacją.

Miałem niegdyś takie uczucie, przeglądając *Zeszyt* Paula Valéry. Mam je znowu, wertując w prawie daremnym pościgu czwarty tom *Zeszytów* Simone Weil. Prawie. Niekiedy bowiem, rzadko niestety, trafiają się wśród niejasnych (dla czytelnika) notatek, refleksji urwanych w pół zdania, wypisów, warsztatowych uwag, stronicie o uderzającej piękności i głębi. Jak ta: „Bóg oczekuje cierpliwie, abym zgodziła się w końcu pokochać Go. Bóg oczekuje jak żebrak, który stoi bez ruchu i w milczeniu przed kimś, kto być może da mu kromkę chleba. Czas jest tym oczekiwaniem. Czas jest oczekiwaniem Boga, wyzbruczącego naszą miłość. Gwiazdy, góry, morze, wszystko co mówi nam o czasie, jest supliką Boga skierowaną do nas. Pokora w oczekiwaniu sprawia, że stajemy się podobni do Boga... Sztuka jest oczekiwaniem. Natchnienie jest oczekiwaniem”.

Ogarnia mnie lęk na samą myśl, że mógłbym ulec pokusie dopisania komentarza do stroniczki Simone Weil o oczekiwaniu. W niewielu słowach zamknęła wszystko, co jest jej i moją wiarą, wiarą burmeńskiego harfisty, i pozorną niewiarą bohaterów Becketta czekających na Godota.

7 maja

Kot Jeleński, nazajutrz po nagrodzie Nobla dla Miłosza, zatytułował swój francuski artykuł celebracyjny *Milosz: le poète a toujours raison*. Przypomniałem żartobliwie Kotowi, że w okresie faszyzmu mury miast i wsi włoskich ozdobione były napisami: *Mussolini ha sempre ragione*. Wybuchnęliśmy śmiechem, Kot zacytował powiastkę Vincenza o mądrym cadyku, który przestrzegał przed ludźmi mającymi zawsze rację. Oczywiście poeta ma rację rzadko, ale kiedy ją ma, jest to racja zniewalająca i oślepiająca. Poza tym mówi lub pisze często mało „anielskie” głupstwa, jak każdy pospolity „zjadacz chleba”.

We Włoszech wyszedł tom wierszy wybranych Zbigniewa Herberta *Rapporto dalla città assediata*. Przedmowę, w formie „listu do drogiego czytelnika włoskiego”, napisał Josif Brodski. Pełna banałów, utrzymana jest w pierwszej części w tonie bakałarsko-mentorskich pouczeń dla dość zapóźnionych w rozwoju studentów. (Zapanowała ostatnio moda na „przystępne” wyjaśnianie poezji, w stylu „ksiąg użytecznych”). W drugiej części Brodski schodzi z katedry, przechadza się między ławkami i mówi rzeczy nieco poważniejsze, jakkolwiek poronione. Przedstawia mianowicie „geometryczną” wizję poezji Herberta: trójkąty, romby, kwadraty. Tłumaczy też imbecylopatym czytelnikom włoskim co to jest totalitaryzm, czym jest Polska, kim są egzotyczni Polacy „z północy”. Wszystko to razem jest prawie nie do wiary w Roku Pańskim 1993.

W myślach i w lekturze kojarzę Herberta z Kawafisem. Kubiak, tłumacz poety aleksandryjskiego, nazywa trafnie jego twórczość „poetycką historiografią”. Coś podobnego wyczuwa się u Herberta: ironiczne i podszyte desperacją śledzenie brutalnych i oszalałych skoków historii. Pod spodem rozpościera się, jak u Kawafisa, ogromna miłość do miasta, do *polis*, idealnego obrazu życia zrzeszonego. Raz miasto-*polis* „pójdzie wszędzie za tobą” (Kawafis o Aleksandrii), kiedy indziej jest oblężone (Herbert), to znowu trzeba je ocalić przed spiskiem (Wenecja u Simone Weil). Poczucie historii wydaje się u Herberta tak organiczne, sięga tak głęboko, że wróże mu najdłuższe trwanie w sercach i umysłach czytelników polskich. W tomiku *Rovigo* zachwylił mnie wiersz *Wilki*. Kto wie, czy nie bardziej tragiczny i czystszy w wyrazie od pięknego wiersza Miłosza *W Warszawie*.

10 maja

W opinii historyków sztuki Święty Sebastian z arcydzieła Antonello da Messina (ozdoby galerii drezdeńskiej) stoi przebity strzałami na placu zmyślonym, który jest po prostu owocem wyobraźni czy kreacji syntetycznej mistrza sycylijskiego przeszczepionego do Wenecji. Zgadza się z tym Leonardo Sciascia, sugerując jednak że w syntetycznym wizerunku najwięcej cech zaczerpnął Antonello z rodzinnej Messyny. Cała atmosfera obrazu zdaje się świadczyć, że mamy do czynienia z placem sycylijskim w upalne popołudnie, gdy od morza wieje *scirocco*, gdy ostre światło słońca zamazują kędzierzawe chmurki na niebie, gdy w powietrzu wisi leniwa obojętność.

Obojętność jest w obrazie wrażeniem kluczowym. Antonello, w imię narzucenia aury obojętności widzowi, zharmonizował pierwszy plan z tłem. On, który w swoich *Ecce Homo* podkreślał grymas bólu i nawet łzy w twarzy Chrystusa, tutaj namalował Sebastiana nieczulego na rany, łagodnego, z oczami wzniesionymi lekko do góry; jak gdyby Święty nie czuł zupełnie strzał w nagim ciele. Tło jest w pełni dostosowane do Sebastiana na pierwszym planie: kobiece rozmówki na balkonach, matka z niemowlęciem w cieniu portyków, śpiący obok schodów mężczyzna, trzy pary na głównej osi — rycerzy lub strażników, kupców i dam. Wszyscy obojętni, łącznie z centralną (i największą) na placu postacią męczennika. Osoby z tła zdają się jej w ogóle nie dostrzegać.

Jestem przekonany, że „sycylijskość” placu Antonella rozpoznał Sciascia w obojętnych, którzy nic na pozór nie widzą i nic, również na pozór, nie wiedzą i nie czują. I w tym sensie arcydzieło z galerii drezdeńskiej można potraktować jako metaforę Włoch, która dziś rozpada się, pod codziennymi ciosami, w proch i pył. Obojętni Włosi obudzili się naraz, wszystko chcą widzieć i wiedzieć, mają dosyć kraju w którym wszystko odbywało się po kryjomu (głównie zło-dziejstwo i korupcja), a na „sycylijskim placu” oglądano co pewien czas trupa w kałuży krwi, dzieło mafii powiązanej tysiącami nici z polityką i nie tylko polityką. (To ja — niech mi wolno będzie się pochwalić — w opowiadaniu *Oko Opatrzności* ubiegłym wyobraźnią fakty: związki mafii z masonerią i diecezją w Trapani opisałem na długo przed wykryciem ich przez organa śledcze). Czy otrzeźwienie potrwa długo? Nie jestem pewien. We Włoszech silne jest

to, co nazywam syndromem Placu Loreto (mediolański plac, na który przywleczono zwłoki rozstrzelanej pary: Mussoliniego, tak niegdyś wielbionego przez tłumy, i jego kochanki). Andreottiego oskarża się obecnie bez pardonu o rzeczy, budzące jeszcze niedawno powszechny podziw: że przez dziesięciolecia potrafił działać nie zanadto czystymi rękami (eufemizm), nie pozostawiając nigdy i nigdzie odcisków palców.

17 maja

Odkąd zostałem „odkryty” we Włoszech, zwłaszcza w Neapolu, po czterdziestu blisko latach internowania w „reakcyjnym” leprozorium z woli czy wyroku „oboazu postępu”, największy dziennik południa Włoch, neapolitański *Mattino*, przysłała do mnie dwa razy w miesiącu inteligentną dziennikarkę na konwersacje, których tematy wybieram sam. Wczoraj wybrałem Orwella. W tym roku skończyłby dziewięćdziesiąt lat.

W roku 1984 (o czym w swoim czasie wspomniałem w dzienniku) organ komunistyczny *Unità* postanowił zrobić „liberalny” gest, pokazać że komuniści nie gęsi, i kulturalny dodatek tygodniowy poświęcił książce wykłętej dotąd w ZSSR z przyległościami, oraz w zachodnich enklawach panowania Wielkiego Brata, czyli orwellowskiej wizji *Roku 1984* napisanej w roku 1948. Chór zaproszonych (Berlinguer, Roy Miedwiediew, jakiś angielski odkrywca Wielkiego Brata w osobie Winstona Churchilla, jakiś teolog na lewo od zdrowego rozsądku) uznali jednogłośnie, za przykładem nieboszczyka Deutschera, że „w gruncie rzeczy” Orwell opisał nadchodzącą Amerykę. Dziś takie żarciki z dawnych lat komunistycznego urodzaju nie wywołują już nawet ani odruchu irytacji, ani rozbawionego uśmiechu. Dziś może interesować raczej pytanie, czym jest *Rok 1984* po krachu komunizmu i rozpadzie ZSSR. Będzie dalej czytany z uczuciem, że zostaliśmy ostrzeżeni (pamiętam całonocną lekturę książki w Londynie), czy uznamy że orwellowska Apokalipsa wypaliła się w ogniu wydarzeń w sposób naturalny i bezpowrotny?

Wpadł mi do rąk szkic Bronisława Baczki *Orwell i Sołżenicyn: stawić czoło totalitaryzmowi*, włączony do włoskiego tomu *Per una definizione dell'Utopia*. Baczko stawia obok siebie *Rok 1984* i *Archipelag Gułag* i pisze, że obie książki zaczynają teraz nowe życie, wchodzą w nową epokę i będą

inaczej czytane w świetle upadku komunizmu. Paradoksalnie *Rok 1984*, anty-utopia rozgrywająca się w imaginacyjnej przeszłości, stanie się powieścią o przeszłości, o nie istniejącym już systemie. Podobnie *Archipelag*. Ale istotne jest w jakim stopniu Orwell i Sołżenicyn spełniać będą nadal swoje podwójne zadanie: „zachowania pamięci zbiorowej i wyzwolenia wyobraźni społecznej”.

Orwell posiadał wyobraźnię społeczną i polityczną w najwyższym stopniu: pierwszą świadomie kształcił w latach włóczęgowania i nędzy w Paryżu i w Londynie („nim stał się ekspertem od totalitaryzmu — powiada celnie Skalmowski — był ekspertem od nędzy”); drugą rozwinął w trybie przyspieszonym na polach bitew wojny domowej w Hiszpanii, gdzie nabawił się wstrętu do polityki i do końca krótkiego życia traktował ją jak przedmiot wytężonej uwagi a nie osobistego zaangażowania, mimo że nie zdradził nigdy „demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem”.

Ale źródłem inspiracji *Roku 1984*, fundamentem totalitaryzmu, była przede wszystkim wyobraźnia moralna, a dopiero na dalszym planie społeczna i polityczna. Podkreśla to z wielkim i słusznym naciskiem Skalmowski w swoim znakomitym eseju o Orwelle. Wizja totalitaryzmu w *Roku 1984* powstała z poczucia szerszącej się dezorientacji etycznej, podszytej (to ważne) strachem. Wytworzyła się próżnia moralna, załamała się tradycyjna skala wartości, oparta na chrześcijańskiej koncepcji dobra i zła. Orwell nie był człowiekiem wierzącym, nie tęsknił za powrotem religii, zdawał sobie jednak dobrze sprawę co oznacza przekonanie o nieśmiertelności duszy ludzkiej (łączyło go to z Sołżenicynem, Szalamowem i innymi pisarzami rosyjskimi, dla których „dusza” stała się jedynym punktem oporu pod rządami totalitaryzmu).

Jeśli więc zastanawiamy się, czy *Rok 1984* jest rzeczywiście powieścią o bezpowrotnej przeszłości po upadku komunizmu, powinniśmy ocenić w jakiej mierze znikły zjawiska dezorientacji etycznej (podszytej strachem) i próżni moralnej. W żadnej, powiedziałabym nawet że zaostrzyły się, choć nie widać ich tak jaskrawo jak za panowania komunizmu, bo przesłania je poprawa warunków życia codziennego w atmosferze wolności. A dopóki człowiek budować będzie na moralnej próżni, na dezorientacji etycznej (podszytej strachem), na wyszydzeniu lub w najlepszym razie ignorowaniu pojęcia nieśmiertelnej duszy, totalitaryzm pozostanie jednym z wariantów przyszłości: uśpionym, lecz gotowym do ocknięcia się w stosownej chwili. Czy nie jest totalitarną

wojną, totalitarnym przebudzeniem, infamia jugosłowiańska, której z każdym dniem bardziej lęka się demokratyczny i postkomunistyczny świat?

20 maja

Paolo Morawski (syn Stanisława Augusta), utalentowany młody historyk, którego brak perspektyw uniwersyteckich pchnął do pracy w trzecim programie radia włoskiego, przygotowuje serię programów o cudzoziemcach we Włoszech. Podstawił mi na pół godziny mikrofon, prosząc o relację na temat pierwszej, wojskowej fali Polaków, którzy z tych czy innych powodów postanowili się tu osiedlić. W trakcie opowiadania przypomniał mi się zamierzchły epizod „falconarski”.

Anglicy zachowywali się po wojnie we Włoszech nieprzyzwoicie (bardzo delikatnie mówiąc), szczątkowe odruchy „fasonu imperialnego” kazały im uznać Włochów za *natives*, za niższą rasę. Skutek na naszym odcinku był taki, że w momencie wyjazdu Drugiego Korpusu z Włoch do Anglii polscy żołnierze ożenieni z Włoszkami zostali z tego „dobrodziejstwa sojuszniczego” wyłączeni. Oczywiście Anders powinien był protestować i zagrozić, że cały Korpus nie ruszy się z Włoch bez swoich kolegów ożenionych z *filthy Italian women*, ale Andersowi spieszyło się bardzo, bo według jego planów wybuchu trzeciej wojny światowej Czerwona Armia miała lada dzień uderzyć z Jugosławii przez Adriatyk. Urządzono więc obóz w miejscowości Falconara na wybrzeżu adriatyckim, gdzie żołnierze polscy ożenieni z Włoszkami mieli czekać na emigrację do innych, mniej wyczulonych rasowo krajów, albo pogodzić się stopniowo z koniecznością pozostania we Włoszech (co się w końcu stało). Pojechałem do tej Falconary na prośbę Jerzego Giedroycia, spędziłem tam dwa smutne dni, opisałem rzecz w gorzkim reportażu, przytaczając m.in. fakt, że z ramienia Francuzów pułkownik Emeryk Czapski (którego Józio nie trawił) zaczął w obozie cichy werbunek do zagłębia węglowego w Nordzie (coś w rodzaju handlu żywym towarem). Nie wymieniłem co prawda nazwiska, ale zaczepiony rozpoznał się natychmiast w reportażu, i pewnego pięknego dnia do naszego mieszkania za Tybrem zapukał znany mi wówczas słabo Pawełek Zdziechowski w roli sekundanta. Wyjaśniłem Pawełkowi, że niska ranga wojskowa i nędzna pozycja społeczna nie pozwalają mi pojedynkować się z pułkownikiem hrabią, pożartowaliśmy nad

herbatą i nawiązaliśmy przyjaźń, która przetrwała wiele lat, aż do jego śmierci w Paryżu.

25 maja

Kartkując z obowiązku ogromną powieść Susan Sontag *The Volcano Lover* (tak, z obowiązku: ofiarodawca, mój amerykański przyjaciel, przysłał mi ją jako „lekturę obowiązkową dla mieszkanka miasta u stóp Wezuwiusza”), myślałem nie tyle o jej temacie, o romansie Lady Hamilton, żony ambasadora brytyjskiego w Królestwie Obojga Sycylii, z Admirałem Nelsonem, i o Neapolu z końca XVIII wieku, ile o niepisanym kodeksie międzynarodowej gildii literatów, których z dawien dawna upieram się nie utożsamiać z pisarzami. Dla literata tylko powieść oznacza prawdziwą nobilitację, opowiadanie czy esej właściwie się nie liczą, są zapowiedzią a nie spełnieniem. Literat marzy więc o powieści, możliwe „grubej”, choćby podświadomie czuł że to nie jego rodzaj pisarski. Powieść, powieść! — brzmi jak okrzyk trzech sióstr Czechowa — Moskwa, Moskwa! Zwłaszcza wśród Rosjan. Kiedyś Maksimow opowiadał mi w Paryżu o pierwszych rękopisach przemycanych z Rosji do *Kontynentu*. Powieści?, zapytałem. Wydał pogardliwie wargi: „Jakie tam powieści, dwieście, najwyżej trzysta stron”. Autentyczna powieść zaczynała się dla niego od czterystu, jakkolwiek mógłbym się założyć, że kiedyś *Zagroda Matrony* przewyższy, w oczach znawców literatury, *Czerwone koło*. No ale na to nie ma rady, Rosja nie jest jedynym przykładem działania kodeksu literatów. Przed wojną kodeks dotyczył również poetów, skoro Tuwim wykrzyknął raz zdesperowany (przypuszczalnie w odpowiedzi wzywającym go do „większych form”): „Gdzie mi do poematu, ledwie wiersz wykrztuszę”. I zapewne dopiero po napisaniu *Kwiatów polskich* poczuł się posiadaniu poetyckiego klejnotu szlacheckiego.

Nigdy nie czytałem ani słowa pisarki amerykańskiej Susan Sontag, ale od wytrawnych czytelników za oceanem wiem, że jest autorką kilku dobrych opowiadań i inteligentnych esejów. Bożeż Ty mój, jak tu „naprawdę wejść do literatury” z takim skromnym wianem? A zatem konieczne powieść i to „gruba”. Tak pewnie powstał *The Volcano Lover*, którego nie trzeba nawet dokładnie czytać, żeby dożyć szybko dwie rzeczy: że jako tzw. „obraz epoki” mógłby co najwyżej być scenariuszem do „monumentalnego” filmu w

technikolorze; a jako dzieło sztuki opowiadania jest po prostu martwym płodem, napisanym drewnianą, konwencjonalną prozą, nieudolnym kompozycyjnie, miejscami tak płaskim pisarsko, że przestaje się ufać chwalcom opowiadań i esejów amerykańskiej autorki. Mała próbka. Pierwsza żona Hamiltona i jej młody platoniczny lowelas William jadą na wycieczkę w okolice Neapolu. „Wchodząc do groty Sybilli Kumańskiej, poczuli współbrzmienie z całym starożytnym światem. Nad jeziorem Averno stali obok ciemnych wód zatopionego krateru, który w starożytnych czasach uważano za wejście do piekła, gdzie Wirgiliusz sprowadził Eneasza pod ziemię. Pamiętasz ostrzeżenie Sybilli skierowane do Eneasza? *Facilis descensus Averno*, powiedział William swoim wysokim nerwowym głosem, rzucając czułe spojrzenie na towarzyszkę. *Sed revocare... hoc opus, hic labor est*. Tak, drogi chłopcze, tak. Nie wolno ci być próżniakiem”. Przeszło czterysta stronice na taką nutę.

Literaci, piszcie tylko to co potraficie, staniecie się może po latach wybitnymi pisarzami, a nie nadętymi śmiesznie fuszerami!

1 czerwca

Mała, jednodniowa zaledwie, podróż umbryjsko-toskańska. Przeminięły z wiatrem, i ze zdrowym sercem, moje dawne skłonności i zdolności podróżnicze. A zatem skromna trasa Orvieto, Montepulciano, Pienza.

Orvieto jest moją namiętnością od momentu osiedlenia się we Włoszech. Ile lat upłynęło od mojej pierwszej tam wizyty! Stałem przed frontonem Katedry oszołomiony. Ochłonąłem nieco na urwisku obok Pałacu Papieskiego, patrząc to na Papieską Wieżę po przeciwnej stronie Placu Katedralnego, to na złotawo-zieloną Umbrię u stóp wzgórza i dalej, dalej, aż do horyzontu. Przyjechałem z Bolseny, gdzie zakiełkował pomysł *Drugiego Przyjścia*; dojrzał w Orvieto wraz z wizją stojącego już nad grobem Urbana IV. I stało się to zanim połknęło mnie wnętrze o wiele późniejszej Katedry, zanim odurzili mnie swoimi freskami Luca Signorelli i Beato Angelico w kaplicy *San Brizio*. Kiedy w samo południe, po zamknięciu Katedry, odrętwiałem na długo przed jej frontonem, ogarnęła mnie słodycz duchowego uwiezienia w Orvieto po kres moich dni.

Nie, nie byłem wierny mojej miłości, jak miała prawo

oczekiwać. Owszem, przyjeżdżałem co dwa lub trzy lata, ale nie tak postępują, nie tak cedzą swoje odwiedziny, prawdziwi zakochani. I nagle, pod koniec kwietnia tego roku, gdy rozchwał się niespodzianie projekt wyjazdu do Polski, poczęło mnie dławić, przyzywać Orvieto. Może zobaczę je ostatni raz? Było w tym coś z paniki „odejścia bez pożegnania”.

Upały drugiej połowy maja zrobiły swoje. Prócz soczystej zieleni drzew, umbryjskie pola były, jak na wczesną porę roku, płowe i popielate, prawie spalone. Czekałem w samochodzie z napięciem na pojawienie się *Duomo*. Pojawił się późno, już blisko szczytu wzgórza. Wiedziałem oczywiście, że Katedra jest restaurowana od blisko dziesięciu lat, poprzedniego dnia musiałem telefonicznie wyzbrykać pozwolenie na wejście w asyście jednego z restauratorów do zabłokowanej kaplicy *San Brizio*. Ale wiedzieć i widzieć to dwie różne rzeczy. Cudowna Katedra, nie tracąc co prawda swej cudowności, była w dole chora, zabandażowana żelaznymi rusztowaniami. Główna brama, która niegdyś zdawała się być szeroko otwartą bramą raju, służyła wyłącznie robotnikom. Wchodziło się do środka boczną furtką, jakby chyłkiem.

Jest nonsensem porównywać piękno z pięknem, dla ułożenia gradacyjnej tabeli. Od pewnego punktu piękno nie zna gradacji, wymyka się hierarchiom, przemawia we wszystkich wypadkach tym samym językiem. Istotne są tylko odcienie, drobne różnice leksykalne. One zaś zależą od wrażliwości zakochanego. Amiens? Chartres? Kolonia? Burgos? Siena? Orvieto? Dla mnie Orvieto. Od roku 1290 do pierwszej połowy XVI stulecia rósł wolno, pokolenie po pokoleniu, Geniusz Chrześcijaństwa, który prawdziwy wyraz znajduje w sztuce, w modlitwie rąk ludzkich i ludzkiej wyobraźni. Gdy zamilknie całkowicie sztuka, gdy na przykład zniszczą wielkie Katedry przeszłości a ich miejsce zajmą brzydkie i bezduszne kościoły współczesne, modlitwa z chóralnej przemieni się w czysto prywatną. Co sprawiło, że *Duomo* w Orvieto, tak masywny i ciężki na oko, staje się po jakimś czasie dziełem natchnionej lekkości?

Od dziesięciu lat kaplica *San Brizio* jest dla przybysza przedsionkiem do piekła, a nie jak dawniej wejściem na Sąd Ostateczny. Gęsta sieć żelaznych drążków, belek, desek pokładowych, rozchylbotanej dykty na przejściach; zaiste było naiwnością sądzić, że w tym kłębowisku — schylając się, odginając, przepychając, wspinając na wyższe trochę poziomy rusztowania — uda się zobaczyć więcej niż fragmenty, wyrwane i w dużej części zasłonięte fragmenty. Oprowadzający

wskazuje sklepienie sufitu z uciętą głową *Cristo Giudice* pędzla Beato Angelico. Ale gdzie jego *Chór Proroków*? Zgięty w pół, z kolanami blisko ziemi, dobijam jednak do *Zdjęcia z Krzyża*, tego arcydzieła, w którym chłopskiego Chrystusa namalował postawny, zwalisty Signorelli o wielkich i muskularnych rękach. Beato i Luca podzielili role, jeden malował ulotną nieziemskość, drugi wkorzenioną ziemskość. Zerkając w bok kątem oczu, dosięga się przecież *Potępiionych*. Wśród nich niektórzy z odsłoniętymi genitaliami, co oznacza że artysta z Cortony nie padł ofiarą tej cenzury potrydenckiej i papieskiej, która w Kaplicy Sykstyńskiej dotknęła Michała Anioła: w dwadzieścia lat po namalowaniu „łażni publicznej a nie świętego przybytku” (wyrażenie zgorzonego Pawła III) „poprawił” twórcę Sykstyńscy posłedni malarz Daniele da Volterra, głośny „majtkarz”, gorliwie ukrywający pod bogobojną maską domalowanych majtek zuchwałę goliźny Mistrza. Michał Anioł ukarał co prawda później Pawła III strąceniem do piekieł, dziś jednak nie można już majtek usunąć, skoro domalowując je Daniele da Volterra musiał w znacznym stopniu wyskrobać „rozkrocza boskiej obrazu”.

Znowu południe, jak za pierwszym razem. I znowu nieme znieruchomienie, nabrzmiałe zachwytem, przed muzyczną kompozycją frontonu, jak gdyby za chwilę miała w czystym, rozplómiionym powietrzu zabrzmieć uwertura symfonii. Rozeta Orcagni, mozaikowe obrazy, płaskorzeźby na szerokich kolumnach wejściowych — Katedra boskiej laudacji i ludzkiego wlotu. Potem drugie na nią spojrzenie z belwederu, który otwiera Umbrię w dole, subtelną w kolorach, przyprószoną światłem słonecznym, odgrodzoną od świata spokojem i ciszą. Umbrię, która w tej dolinie odbija niby w jeziorze Koronę orwietiańskiego wzgórze.

Przeskok z Umbrii do Toskanii jest z początku niezauważalny. Bystre oko dostrzeże jedynie różnicę w drzewostanie, więcej cyprysów w Toskanii niż w Umbrii. Dopiero wjazd głębiej daje odczuć różnicę w atmosferze. Umbria wydaje się, w przeciwieństwie do nasycionej historią Toskanii, mitopłodna czy legendopłodna, w jej aurze unoszą się marzenia, urojenia, widzenia. Pewnie dlatego tak do niej przyłągnąłem, wybrałem ją sercem, pochodząc z mitopłodnego Kraju Świętokrzyskiego.

Plan podróży przewidywał postój w dwóch miastach położonych tuż obok siebie na wysokich wzgórzach i przesiąkniętych właśnie po toskańsku historią. Schemat obu jest podobny, tyle że pusty w obiadowej porze plac Montepulcia-

no uderza surowością w swoim tradycyjnym sprzężeniu dwuwładzy, Katedry o szerokiej i nagiej fasadzie z taranem Pałacu Komunalnego. W mieście Pienza to samo sprzężenie dwuwładzy wzbogacone jest elegancją kilku innych pałaców, przede wszystkim Pałacu Piccolominich, konstrukcji o wielkiej architektonicznej gracji. Plac w Pienzy robi wrażenie renesansowego salonu. Tkwi w tym coś naturalnego i zrozumiałego, zważywszy że miasto powstało z inicjatywy i woli, a także według szkicowego projektu, kardynała Enea Silvio Piccolominiego, człowieka o wybornym smaku, erudyty, dyplomaty i... pisarza. W ciągu trzech lat, od 1459 do 1462, Sienieńczyk Piccolomini stworzył Miasto Autorskie, Miasto Idealne, Miasto Utopijne. Jak miniaturowy pałac, pełen wdzięku, zbudowane jest też jego opowiadanie *Historia dwojga kochanków*, odrobinę nieprzystojne, delikatne w fakturze, dowcipne i poważne zarazem — mały majstersztyk sztuki narracyjnej. Nie jestem pewien, czy napisał je jako kardynał jeszcze, czy już jako papież Pius II. W każdym razie papieństwo może się poszczycić dwoma pisarzami (nie licząc Jana Pawła I, autora bajek dla dzieci). Niech mi nie będzie poczytane za narodową apostazję, jeśli *Historię dwojga kochanków* postawię wyżej od *Sklepu jubilera*.

6 czerwca

Lubię listy Włodzimierza Boleckiego, inteligentnego i wrażliwego ostrowidza, który w dodatku posiada cechę zanikającą w szybkim tempie wśród piszących o literaturze w Polsce: poczucie troski obywatelskiej. Na tle wzmagającego się wciąż „estetyzmu” naszych post-socrealistycznych pięknoduchów i rafinatów Bolecki wysuwa się na czoło poważnych krytyków literackich. Uprawia też, z dużym powodzeniem, publicystykę.

W jego liście z 20 maja czytam: „w tym co wtedy (w dziesięcioleciu powojennym) pisałeś widzę klucz do wielu spraw, które dziś są nadal aktualne, np. brutalnego rozerwania więzi pomiędzy inteligencją a innymi warstwami społecznymi. Zmieniło się to na chwilę w czasie KOR-u i wczesnej Solidarności, ale dziś wszystko wróciło do... komunistycznej normy. Po jednej stronie „wyjąca tłuszczka” a po drugiej „europejskie elity”. Mówiła mi Lidia Ciolkoszowa, że dla niej to największy szok, bo tu została zerwana tradycja społecznej wrażliwości przedwojennej inteligencji symbolizowanej przez Żeromskiego, Struga etc.”.

Może warto w paru słowach podsumować co się stało, jak doszło do groźnego, samobójczego rozłamu społeczeństwa polskiego na samodurne „elity” (skłonne nawet założyć własną partię) i całą resztę. Kiedy i jak zaczął się ten podział, coraz podobniejszy do przepaści, w którym ogromny i apатыczny korpus społeczny „zwieńczony” jest małą, przemądrzałą, zarozumiałą, żarłoczną, oszalałą główką, raczej przyśrubowaną sztucznie niż przyrośniętą naturalnie do tułowiu. Trzeba się cofnąć do Okrągłego Stołu. Pomieszano w nim politykę z moralnością. Był w istocie rzeczy, i powinien być, układem czysto politycznym między słabnącym obłączaniem i rosnącym w siłę obłączonym. Ale aspekt polityczny wydał się niebawem wodzirejom zanadto skromny i ograniczony, zatęsknili do wymiaru moralnego. Tak powstał specyficzny „język Okrągłego Stołu”, zwalczający zaciekle rzekomą „retorykę dekomunizacji”. „Język” ów doprowadził rychło do ogólnego „kochajmy się”, do braterskich obłapek byłych prześladowanych z byłymi prześladowcami, do gwałtownego zamazywania czy rozmazywania przeszłości, do retuszowania historii w imię „mądrości narodu”, do przeciwstawiania walenrodzycznego Generała sprzedajnemu Pułkownikowi, do wyłudzenia od Oberpolicmajstra patentu *ex post* na „patriotyzm” i miano „dobrego (prawdziwego?) Polaka”. Głupi, krótkowzroczny „manewr postkomunistyczny”, który część społeczeństwa po prostu wykołował i otumaniał, a część nauczył zobojeźniałego wzruszenia ramionami, stopniowego ignorowania nowych „onych”. A „europejskie elity”? Nie potrafią opanować chciwości, ciągle do czegoś „aspirują”, zra się nawzajem, skaczą sobie do gardeł, podstawiają jedna drugiej nogi, uważają „centra spraw” („byłem w centrum spraw”, pisał przed wojną Sławoj-Składkowski w *Strzępach meldunków*) za oderwany nareszcie od „tłuszczy” folwark arywizmu zasłużonych i manipulacyjnych umiejętności spryciarzy-*pieriekińczyków*. W sytuacji pewnej poprawy gospodarczej Polacy dotknięci są bzikiem politycznym i społecznym, z każdym dniem bardziej chronicznym i nieuleczalnym.

W innym fragmencie swego długiego listu Bolecki dziwi się, że moje *Upiory rewolucji* (wydane w Lublinie w wersji znacznie rozszerzonej przez Zdzisława Kudelskiego) „nie są dostatecznie zauważane, a przecież o kilka długości były przed wszystkimi prorocत्वami na temat obudzenia się innej Rosji. Moja diagnoza jest smętna i nieoryginalna: nie ceni się u nas ani intelektu, ani mądrości. I to nie jest wina czytelników, lecz tych którzy pośredniczą między czytelnikami a autorem”.

Moja interpretacja przeoczenia *Upiorów rewolucji* jest szersza. Ceni się w Polsce opisy rosyjskiej czy sowieckiej opresji (mój *Inny Świat* przekroczył ćwierć miliona egzemplarzy, gdy *Upiory rewolucji* rozchodzą się kapaniną w niewielkim nakładzie), natomiast nie chce się słyszeć o istnieniu „innej Rosji”. Jakież to umysłowe marnotrawstwo w naszym położeniu! Lekcję komunizmu i sowytyzmu musimy solidnie przerobić, we wszystkich jej składnikach, bo należy do naszego doświadczenia narodowego, bo w jakiś sposób staniemy się dzięki niej dojrzałsi w spojrzeniu na współczesny świat. Niech nikt mi nie mówi, że przerobiliśmy ją na własnej skórze. To nie dosyć, musimy ją *przemysleć*. Pisał o tym kiedyś Gombrowicz, w podobnym duchu odezwał się ostatnio Błoński. Moje *Upiory rewolucji* są koniecznym uzupełnieniem *Innego Świata*.

Ale nam wystarczy widocznie (jak świadczą zachwyty O. Jana Andrzeja Kłoczowskiego) ewokowany przez Wata w *Moim wieku* obraz diabła postukującego kopytkami (sic!) na dachu więzienia sowieckiego...

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

OD HERBERTA DO HERBERTA

Historia Nagrody WIADOMOŚCI 1958-1990

Opracowanie i przedmowa — STEFANIA KOSSOWSKA

Postscriptum — TADEUSZ NOWAKOWSKI

Str. 424, fotografie

Cena £ 10,99, porto £ 1

Wyd. POLSKA FUNDACJA KULTURALNA

23, Coleridge St., HOVE, SUSSEX BN3 5AB

Wielka Brytania

KOMUNIKAT

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w lipcu 1993 r. Dziękujemy:

- Wydawnictwu „Głos” Sp.z.o.o. za 1.568 egz. książek,
- Instytutowi Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN za 1.910 egz. książek,
- Fundacji NOWEJ za 5.087 egz. książek,
- Instytutowi Sztuki PAN za 2.586 egz. książek,
- Ludowej Spółdzielni Wydawniczej za 3.030 egz. książek,
- Fundacji „Historia pro futuro” za 1.580 egz. książek,
- Wydawnictwu „W drodze” za 62.615 egz. książek,
- Oficynie Wydawniczej „Rytm” za 3.395 egz. książek,
- Teatrowi Współczesnemu w Warszawie za 7.006 pism,
- Wydawnictwu „KARTA” za 2.100 egz. książek,
- Panu Bonifacemu Miązek za 36 egz. książek,
- Pani Józefie Radzyńskiej za 120 egz. książek,
- Jadwidze Rossa za 243 egz. książek.

Otrzymane książki i pisma przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim, PBK III ODDZIAŁ w Warszawie, nr konta 370015-975148-132-3.

Nasz adres: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM
00-524 WARSZAWA, ul. Hoża 29/31
tel./fax: 628.42.57, tel. 21.70.75

XII UNIWERSYTET LETNI

20 września br. w Bibliotece Polskiej w Paryżu zostanie otwarty XII Letni Uniwersytet zorganizowany przez Wspólnotę Polsko-Francuską oraz Towarzystwo Historyczno-Literackie. Sesję otworzy p. Leszek Talko, prezydent Wspólnoty Polsko-Francuskiej.

Inauguracyjny wykład „Demokratyczna Europa widziana z Litwy” wygłosi ambasador Republiki Litewskiej w Paryżu, Osvaldas Balakauskas. 21.09.br. Marc Blondel, sekretarz generalny Force Ouvrière, będzie mówił o „Europie społecznej”. Następne wykłady wygłoszą: 21.09.br. gen. Yves Faury — „Kapitan Charles de Gaulle w Polsce 1920-1921” oraz Bernard Lecomte, współpracownik tygodnika *L'Express* — „Jak Papież zwalczył komunizm”; 22.09.br. prof. Waldemar Voisé — „Kopernik, Monteskiusz i Einstein” oraz André de Couedic — „Stanisław Leszczyński, król Polski i ostatni książę lotaryński”, a 24.09.br. prof. Jerzy Kłoczowski, delegat Polski do UNESCO — „Europa środkowa i wschodnia dzisiaj”.

Uniwersytet Letni zostanie zamknięty 25.09.br.

Wiersze

Wacław IWANIUK

MIĘDZY PRZESZŁOŚCIĄ A TERAŻNIEJSZOŚCIĄ

Stefanii Kossowskiej
serdecznie

Na oknie doniczka z chropawym kaktusem
w kolczastym okryciu
niczego nie wyjaśnia —
ani mój nalóg pisania wierszy.

Patrzę na jego zielen
wśród porannych mgieł
na moje słowa bez echa
gdy słońce oczyszcza ziemię
z nocnych rupieci —
na obudzonego motyla
w sennej drzemce
którego puder kolorów
w gorący dzień —
jest żywy.

Myszę o uwięzionym kaktusie
w glinianej doniczce
i wiem
że wie on o życiu
więcej
niż ja na wolności.

ŚWIATOWE ROZGRYWKI TENISOWE W 1993, W WIMBLEDON — ANGIELSKIEJ MEKCE SPORTU

Korty tenisowe to chluba Anglii —
wypieszczone pracowitą ręką i żyznym klimatem
jak cała Anglia; Wimbledon to ich Mekka
walczą tu zwycięzcy po krajowych
eliminacjach; przeważają Amerykanie.
Wśród nich najbardziej znany to Sampras
ale ulubieniec widzów to Courier
z zamyśloną twarzą wypełnioną słońcem Kalifornii
z lokami do szyi
z wewnętrznym na twarzy uśmiechem, to ich faworyt
wpatrzony w siebie gdy unosi raketę celnym ruchem.

Wśród znanych asów wyróżnia się Chang
kiedyś najmłodszy z nich, dziś dojrzały zawodnik.
Rakiety krzyżują się jak szpady rasowych szermierzy
wszyscy z nich to zwycięzcy.
Moje wawrzyny otrzymali wszyscy których widziałem
na słonecznych kortach Wimbledon.

Jutro pojawiają się z pewnością nowi:
angielski Forster, Sampras z Kalifornii
Byron Black z Zimbabwe i nowy faworyt Courier —
zwycięzcy i zwyciężeni
polityczni i niepolityczni
z łaski sportu oczyszczeni nagrodą zwycięstwa.

Wacław IWANIUK

Krzysztof LISOWSKI

GDZIE JESTEŚ, CZŁOWIEKU?

znów usłyszałem głos Twój, Panie

— jestem w Warszawie
w jarmarcznym centrum
zwarowanego państwa
ukrywam się przed Tobą
w hotelowych lustrach
czytam „Martwą naturę z wędzidłem”
i tęsknię za domem
ale tej wiosny głośniejsze śpiewają
Twoje syreny, Panie,
i pożądam ich wiotkich ciał

jestem schowany w Tobie
przykryty liściem niskiej chmury
przed Twoim jasnym okiem
z którego teraz płynię łza

Krzysztof LISOWSKI

Piotr PIASZCZYŃSKI

CZYTAJĄC ZYGMUNTA HERTZA „LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979”

Dobrze jest być za granicą,
w słodkiej a gorzkiej Francji
i umrzeć w łóżku mieć szczęście,
wierząc w tryumf Formacji,
która ze Wschodu nadejdzie...
Dobrze jest suto podjąć,
wychylić butelkę wina;
długie dialogi wieść
z Jankiem; dobrze wspominać.

Dobrze jest pisać listy
 hen, hen aż na Peak Grizzly;
 tyrać w kibucu „Kultura”,
 przed którą tak drży komuna.
 Dobrze jest ciągle myśлами
 uciekać do Nadwiślanii:
 ona siermiężna, daleka,
 w ogóle „rozlane mleko”.
 Dobrze, gdy „Józio Czapski
 opyla swoje obrazki”.
 Dobrze jest spędzać życie
 w okropnym Maisons-Lafficie.
 Dobrze być dobrym z natury.
 Ten wniosek wysnuwam z lektury
 i się na koniec ośmielam
 uściskać Pana serdecznie.
 Proszę posyłać z nieba
 listy i plotki tamtejsze...

Piotr PIASZCZYŃSKI

Archiwum polityczne

Wizyta u Słoweńców

Na dziedzińcu muzeum miasta Lublany, okolonym także budynkiem biblioteki słowiańskiej (Slovenska Knjižnica), stoi wykuty w białym marmurze pomnik Józefa Broz Tity. Wyrzucony z gmachu słoweńskiego Zgromadzenia Narodowego, znalazł przytułek w obskurnym, zakurzonym krużganku stołecznego muzeum. Wszechpotężny niegdyś władca dzieli dziś los swego imiennika z Moskwy.

Niepodległość: argumenty za i przeciw

Obrazek powyższy charakteryzuje chyba najtrafniej zmiany jakie zaszły w Słowenii na przestrzeni ostatnich trzech lat. Po „dziesięciu dniach, które wstrząsnęły” małą Słowenią w czerwcu 1990r. i radosnej euforii połączonej z „pobrzękiwaniem szabelką” z powodu uzyskania niezależności państwowej, nastąpił okres trzeźwej refleksji i zimnej analizy. Słowenia jest dziś najmniejszym samodzielnym państwem wśród Słowian. Czy uznać to za błogosławieństwo czy też przekleństwo? Prasa amerykańska nazwała Słoweńców *the lucky ones*, tzn. szczęściarzy, bo jak dotychczas uniknęli krwawej rzezi bałkańskiej, ale pytanie powyższe zadaje sobie mimo wszystko spora część społeczeństwa, szczególnie zaś młodzież dotknięta bezrobociem, niskimi zarobkami i brakiem perspektyw.

Z lotniska do centrum Lublany wiozą mnie dwie sympatyczne i młode panie. Staram się od razu tak pokierować rozmową, aby zorientować się jak oceniają obecną zmianę sytuacji politycznej, przede wszystkim zaś fakt uzyskania nie-

zależności państwowej. Następuje krępująca nieco chwila milczenia i po chwili odpowiedź: dziś nie jesteśmy już takie pewne czy to co się stało jest czymś pozytywnym, przyszłość dopiero pokaże kto tu miał rację. Następnego dnia spotykam na uniwersytecie pracownika naukowego, literaturoznawcę; należy do średniego pokolenia wychowanego już całkowicie w powojennej Jugosławii. Jego sądy są znacznie bardziej zdecydowane i jednoznaczne. Rozpad Jugosławii uważa za tragedię, także za tragedię osobistą. Jest wyraźnie zdeprimowany i nieszczęśliwy. Przedtem, powiada, byłem obywatelem dosyć rozległego, pięknego kraju o dużym prestiżu międzynarodowym. Zjeździłem ten kraj wzdłuż i wszerz. Wszędzie witano mnie przyjaźnie, a gdy wędrowałem za granicą z dumą przypinałem do plecaka flagę jugosłowiańską. A teraz? Jestem zamknięty w małym kraiku o wątpliwej, niepewnej przyszłości, całkowicie nie znanym na szerszej arenie międzynarodowej. Mówiąc to, prosi, abym zachował dyskrecję i nie ujawniał jego nazwiska jeśli będę rozmawiał na ten temat z innymi, bo „może mieć nieprzyjemności”.

Całkiem inaczej reaguje starszy profesor, zajmujący się literaturą południowych Słowian. „Niepodległość? — Ależ tak, oczywiście. To najlepsze co mogło się nam przydarzyć, w przeciwnym wypadku zostalibyśmy całkowicie wynarodowieni, wchłonięci przez innych. Przecież tu był taki duży napływ ludności z innych części Jugosławii. Przyjeżdżali dla pieniędzy, osiedlali się dla zarobku, bo mieliśmy znacznie wyższy standard życia. Trzeba im było zapewnić szkoły w ich narodowych językach, mieszkania, otworzyć instytucje kulturalne, itp. W niektórych ośrodkach przemysłowych powstawały całe obce enklawy. To by się źle skończyło — stalibyśmy się mniejszością narodową we własnym kraju”. Dodaje też na poparcie swoich racji, że w Słowenii przebywa obecnie pół miliona przybyszów z innych części Jugosławii, nie licząc oczywiście uchodźców (później zorientowałem się, że jest to liczba przesadzona). Innym argumentem jakim najchętniej posługują się zwolennicy niezależności jest to, że Słowenia musiała przekazywać (wplacać) do skarbu federalnego prawie jedną trzecią swego dochodu narodowego. „To kłamstwo” — oponują zwolennicy federacji. „Podatek ten — twierdzą — wynosił zaledwie 17% (słyszałem też liczbę dwudziestu siedmiu procent, co jest chyba bliższe prawdzie — E.M.), a w zamian za to Słowenia, będąc najbardziej przemysłowo rozwiniętą i technicznie zaawansowaną częścią Jugosławii, otrzymywała z nawiązką to co wносиła do kasy fe-

deralnej. Zakłady budowane były na skalę obliczoną dla potrzeb ponad dwudziestomilionowego państwa i Słowenia miała zapewnione rynki zbytu; teraz nagle to wszystko się urwało. Zakłady muszą gwałtownie zredukować produkcję, dostosowywać ją do małego wewnętrznego zapotrzebowania lub współzawodniczyć na arenie międzynarodowej z firmami zachodnimi, co nie jest łatwe”. Istotnie, to co zaliczało się do zaawansowanej bazy technicznej w ramach dawnej Jugosławii przestaje nią być w zetknięciu się z konkurencją światową, a w związku z tym rośnie gwałtownie bezrobocie. Brak funduszy uniemożliwia szybkie przestawienie i technologiczne udoskonalenie produkcji. Wprawdzie inflacja jest niższa niż w pozostałych krajach postkomunistycznych, to jednak nie zdolano jej zahamować (podobno 10% w skali rocznej), ale moim zdaniem jest to ocena zaniżona). Siła nabywca nowego talara słoweńskiego miała być utrzymana na tym samym poziomie (*pegged to...*) dzięki przytwierdzeniu jego wartości do wahań wartości szylinga austriackiego, a więc „twardą”, wymienialną walutą. Niestety nic nie wskazuje na to, aby ta operacja finansowa się powiodła. Talar pozostaje w tyle, jego wartość w stosunku do innych walut europejskich i amerykańskiego dolara maleje. „Zanim zaczęliśmy 'wchodzić do Europy', w czasach 'nieeuropejskości', pisze uszczypliwie czołowy dziennik lublański *Delo*, mieliśmy najniższy procent bezrobocia, mniej niż szesnaście tysięcy ludzi, teraz bezrobocie osiągnęło 14% całej siły roboczej i proces ten postępuje dalej”. Wiosną br. liczba bezrobotnych osiągnęła ponad 120 tysięcy osób na ogólną ilość 632 tysięcy zatrudnionych. Niektóre prognozy zapowiadają wzrost bezrobocia do 20%.

Specyfika i dylematy prawne nowej administracji

Dzięki stosunkowo pokojowemu wymknięciu się Słowenii z granic federacji jugosłowiańskiej, jej dzisiejsze trudności przypominają raczej to co obserwujemy w innych krajach Europy Centralnej i Wschodniej (dotyczy to głównie problematyki gospodarczej) niż to co się dzieje tuż za miedzą u ich federalnych pobratymców, którzy tępią się nawzajem z niestabnącą gorliwością w trwającej już od prawie dwóch lat krwawej wojnie. Ten ostatni fakt nie pozostaje jednak bez wpływu na stosunki wewnętrzne Słowenii, określa w pewnym sensie ich społeczne napięcia i konflikty etniczne, słowem — determinuje ich specyfikę. Pomijam już istniejące w społeczeń-

stwie poczucie ciągłego zagrożenia, niepewności z powodu zbrojnego konfliktu w Bośni i nie rozwiązanych spraw terytorialnych między Serbią i Chorwacją. Przecież wojna toczy się w bezpośrednim sąsiedztwie granic Słowenii i zaledwie jakieś sto czy sto pięćdziesiąt km od Lublany. Kto może zagwarantować, że z biegiem czasu konflikt ten nie rozszerzy się na tereny słoweńskie? Nieustanny strumień uchodźców wciąż przypomina o tym niebezpieczeństwie. Opisywano mi niewiarygodne wręcz sceny nielegalnego stłoczenia dzieci, kobiet i mężczyzn w małych pokojkach, aby tylko uniknąć deportacji lub zamknięcia w obozach dla uchodźców. Często pomagają w takich wypadkach osiadłe tu wcześniej, jeszcze za pokojowych czasów rodziny Bośniaków, Chorwatów lub Serbów. Tych ostatnich oskarża się powszechnie o wywołanie kryzysu i rozpad Jugosławii, na murach serbskiej cerkwi św. Sawy w Lublanie pojawiają się antyserbskie napisy, ale na ogół nie żywi się do nich jakiejś specjalnej nienawiści czy urazów. Poważnym problemem prawnym staje się pytanie o statut tych, którzy przybyli z innych republik i osiedlili się w Słowenii na długo przed rozpadem Jugosławii — powstanie nowych państweczek na gruzach dawnej federacji czyni z nich przecież obywateli obcych państw. Ustawa z dn. 25. VI. 1991, która zezwalała na podwójne obywatelstwo jest obecnie zagrożona: rząd zamierza ją zastąpić inną, bardziej restrykcyjną, zmierzającą do zniesienia takiego przywileju. Wprawdzie stara ustawa także przewidywała konieczność zrzeczenia się obywatelstwa innego kraju w terminie od trzech do pięciu lat, to jednak w sumie była ona bardzo liberalna, bo stwarzała duże możliwości pozostania w Słowenii i uzyskania pełni praw obywatelskich dla tych, którzy sobie tego życzyli czyli głównie osób pochodzących z Chorwacji, Serbii, Bośni, Macedonii lub Czarnogóry. Według ostatnich danych, 169.062 osoby z byłej Jugosławii przyjęły obywatelstwo słoweńskie, chodzi tu o osoby, które w dniu plebiscytu narodowego w sprawie niezależności politycznej zamieszkiwały na terenie Słowenii. Nowa ustawa nie przewiduje możliwości nawet przejściowego zachowania podwójnego obywatelstwa, ale pewne wyjątki są jednak przewidziane. Prawo do podwójnego obywatelstwa będą mieli ci, którzy udowodnią, że inne państwo nie zwalnia ich z obywatelstwa, a ich powrót do kraju pochodzenia byłby równoznaczny z niemożliwością zdobycia środków utrzymania. Ubiegać się o obywatelstwo można będzie po dziesięciu latach pobytu w Słowenii, przy czym każdy składający podanie o obywatelstwo będzie musiał wy-

kazać się stałym, nieprzerwanym pobytym w kraju w ciągu ostatnich pięciu lat przed złożeniem wymaganych dokumentów. Odmawiać się będzie obywatelstwa osobom, które zamierzają powrócić do kraju swego pochodzenia. Projekt nowej ustawy wpłynął już do Zgromadzenia Narodowego Słowenii.

Kłopoty gospodarcze: prywatyzacja i nadużycia

Tak jak we wszystkich krajach pokomunistycznych Słowenia dokonuje epokowego skoku z systemu gospodarki społecznie kontrolowanej, podporządkowanej odgórnym normom planowania do gospodarki kierującej się prawami rynkowej konkurencji i konsumpcyjnego zapotrzebowania. Cały proces prywatyzacji posuwa się jednak bardzo powoli, brak ponoć pieniędzy, a Zachód nie śpieszy się z pomocą finansową. Mówi się też o negatywnej roli dawnej, komunistycznej nomenklatury, która dzięki szerokim powiązaniom i stosunkom utrwalonym w czasie długoletniego panowania zdołała zapewnić sobie korzystne pozycje wyjściowe do robienia interesów. Ze względu na swe położenie geograficzne, najbardziej lukratywnym przemysłem w Słowenii jest oczywiście przemysł turystyczny. I tu właśnie pojawił się cały splot wciąż nie wyjaśnionych powiązań i nadużyć, które wstrząsnęły krajem. Chodzi o głośną aferę finansową znaną jako HIT, czyli hotele i turystykę, sposób ich prywatyzacji a także dochody pochodzące z kasyn gry.

2 lipca 1990 r., a więc zaledwie w tydzień po oficjalnym ogłoszeniu niepodległości, poseł partii demokratycznej odnowy Aurelio Juri postawił podczas debaty parlamentarnej pytanie: „Kto dysponuje środkami uzyskanymi z aktywności kasyn gry w Republice Słowenii? Istnieje niesprawdzona informacja, że z tych środków finansowana jest służba bezpieczeństwa państwowego. Jeśli tak, to na jakiej podstawie?”. Kwestia finansowania służby bezpieczeństwa z pieniędzy o wątpliwej proveniencji wywołała burzę, która trwa do dziś, a całej afery nie widać końca. Wszyscy oskarżają wszystkich. Partie opozycyjne starają się zbić na tym odpowiedni kapitał moralny, oskarżają rząd liberalno-demokratyczny (przemianowani komuniści) Janeža Drnovška o korupcję, służbę bezpieczeństwa o próby zatuszowania całej afery, a wymiar sprawiedliwości — o opieszałość. Wspomniane już *Delo* twierdzi, że w aferę HIT-VIS (*Varnostno-informativna služba*) czyli

urząd bezpieczeństwa państwowego; ostatnio dodano i ten skrót) wmieszana jest połowa elity słoweńskiego życia społeczno-politycznego. Skandal zatacza coraz szersze kręgi i nie ma dnia, aby prasa nie przyniosła jakiegoś nowego szczegółu, czy nie podjęła jakiegoś nowego aspektu tej sprawy. Nie brak w tym wszystkim momentów dramatycznych przechodzących niekiedy w gatunek teatralnego wodewilu naspikowanego elementami groteski. W połowie kwietnia prasa przyniosła wiadomość, że zginęła nagle cała dokumentacja afery HIT gromadzona dotychczas przez policję. Po kilku dniach papiery się odnalazły: przyniósł je na posiedzenie komisji parlamentarnej rozplywający się w uśmiechu Miha Brejc, były minister bezpieczeństwa. Czy zostały usunięte jakieś kompromitujące akta tej całej afery? Nikt tego nie potrafi sprawdzić, a M. Brejc zapewnia, że wcale nie można mówić o zniknięciu dokumentacji — po prostu chodziło właśnie o jej należyte zabezpieczenie. Inny był minister spraw wewnętrznych, Igor Bovčar, podejrzany o nieuczciwość i współudział w skandalu, twierdzi, że afera HIT musi być zbadana „do dna”, aby uniknąć fałszywych oskarżeń. Niektóre czasopisma domagają się rozpisania nowych wyborów, a przeciętni Słowenci na ulicy żartują, że gdy chodzi o korupcję to Słowenia „weszła już do Europy” bo jej rozmiary dorównują największym w Europie. Podobno dochód jaki czerpali ludzie związani z HIT-em wyniósł ponad 121 mln marek niemieckich rocznie. Jak na mały kraj to całkiem niezłe. „Właściwie, pisze jedna z gazet lublańskich, afera ta powinna napawać nas optymizmem, bo wskazuje na to jak wielkie możliwości tkwią w łonie małego kraju”.

Byłoby jednak rzeczą krzywdzącą dostrzegać wyłącznie zjawiska negatywne. Czynniki rządowe wkładają wiele wysiłku w uzdrowienie produkcji, udoskonalenie jej standardów. Jakość i estetyka wyrobów słoweńskich stoi na dość wysokim poziomie. W sklepach nie widać tej strasznej importowanej tandety, jaka zalewa np. rynek polski. Rząd słoweński nie waha się interweniować, kiedy dostrzega niebezpieczeństwo, że produkcja krajowa może ucierpieć z powodu nadmiernego importu. Dotyczy to szczególnie artykułów spożywczych. W drugiej połowie kwietnia Słowenia całkowicie zamknęła granice dla wwozu mleka, mięsa i bydła oraz nie zawahała się objąć tym zakazem także krajów Wspólnoty Europejskiej. Oficjalnie uzasadniono tę decyzję panującą rzekomo epidemią jakichś chorób zakaźnych bydła, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że chodzi tu o zabieg protekcyjny, mający na celu

danie oddechu zarówno rolnikom jak i przemysłowi spożywcemu. Przybysza z zagranicy nie powinien więc zdziwić fakt, że w sklepach spożywczych widzi się przede wszystkim produkty wyrobu krajowego. Dlatego prasa słusznie chyba określiła tę sytuację jako mleczno-mięsną wojnę. Oczywiście stosowanie tak drastycznych środków w handlu zagranicznym nie jest dziś zalecane i może mieć tylko charakter tymczasowy, a Słowenci wciąż przecież liczą na to, że ich okres oczekiwania na przyjęcie do EWG zostanie skrócony. Muszą zatem wykazać się tym, że są „otwarcymi”, zainteresowanymi w rozszerzaniu handlu, a nie w jego ograniczaniu. Polityka restrykcyjna musi być zatem bardzo ostrożna i zrównoważona.

Kultura

Kiedy w Lublanie lub Zagrzebiu próbuje się dziś wytlumaczyć tragedię jaka rozgrywa się na terenach byłej Jugosławii, najczęściej używanym słowem-kluczem jest wyraz *atawizm*. „Uwierzyliśmy, mówi jeden z moich rozmówców, że upowszechnianie kultury, oświaty, a i ciągła propaganda, popularyzowanie idei o konieczności współżycia różnych etnicznie i religijnie społeczności zażegnały dawne konflikty, utrwały wzajemne zrozumienie czy nawet przyjaźń, a tymczasem pod zewnętrzną powłoką, kryły się, drzemały przykryte często banałami, blichtrzem frazeologii i sloganów zadawnione urazy, animozje, a niekiedy jakaś ślepa zwierzęca nienawiść. Wzięliśmy życzenia za rzeczywistość. Czy wobec tego to co się składa na pojęcie kultury i jej funkcję wychowawczą, jej społeczne znaczenie, zawiodło i należy się od niej odwrócić, a przynajmniej zrewidować krytycznie swój stosunek do niej? Nic nie wskazuje na to, aby tego typu postawa zaczęła dominować. Przeciwnie, to co z łatwością da się zaobserwować w dzisiejszej Słowenii to niezwykła prężność życia kulturalnego w jego wielorakich odmianach, chociaż rozpad Jugosławii przyniósł w tym zakresie ogromne zmiany. Jest też rzeczą oczywistą i zrozumiałą, że sprawy kultury przeplatają się często ze sprawami polityki. Ukierunkowanie tych zależności jest jednak inne niż dawniej. Wśród twórców szczególnie młodszego pokolenia panuje niewątpliwie nostalgia za tym co nazywano „jugosłowiańską przestrzenią kulturalną”, a więc pewną jednością gwarantującą szybką wymianę wartości kulturalnych tworzonych w różnych częściach Jugosławii i wykazujących często podobieństwo tematyczne lub formalne.

Jeden z najwybitniejszych poetów młodszego pokolenia, krytyk i autor znakomitej książki o postmodernizmie pt. *Sfinks postmoderny* (1989, Postmoderna Sfinga), Aleš Debeljak chyba najlepiej scharakteryzował korzyści płynące z istnienia jugosłowiańskiej przestrzeni kulturalnej. „W przeszłości, jeśli napisałem dobry wiersz to mogłem się spodziewać, że zostanie on za tydzień przetłumaczony i wydrukowany w Belgradzie, Zagrzebiu lub Skopie; teraz jest to już nie do pomyslenia bo jesteśmy od siebie wyobcowani, żyjemy w innych, nawet wrogich sobie państwach”. To niekoniecznie wyraża dezaprobatę wobec uzyskanej niezależności politycznej, ale raczej żal z powodu rozpadu czegoś co wydawało się być budowane na bardzo szlachetnych, humanistycznych zasadach.

Siedzę w obszernym gabinecie p. Dimitrija Rupla, mieszczącym się w dawnym gmachu KC Związku Komunistów Słowenii, gdzie obecnie znajdują się biura różnych partii politycznych mających swych przedstawicieli w Zgromadzeniu Narodowym. Budynek położony jest tuż za parlamentem. Dimitrij Rupel jest założycielem partii demokratycznej, pierwszej partii opozycyjnej na Słowenii przed obaleniem komunistów. Po zmianach jakie nastąpiły latem 1990 r. został pierwszym ministrem spraw zagranicznych niepodległej Słowenii; ustąpił z tej funkcji w marcu br. Na ścianach zdjęcia z zagranicznych wizyt i spotkań z kierownikami międzynarodowej dyplomacji, m.in. zdjęcie z Hansem Genscherem. Należy do średniego pokolenia intelektualistów, które w latach siedemdziesiątych zakwestionowało istniejące w Jugosławii układy polityczne domagając się przede wszystkim większej autonomii dla poszczególnych republik. Jest znanym pisarzem, który otwarcie przyznaje się do swych związków „pokrewieństwa” z postmodernizmem. Nadarza się dobra okazja, aby porozmawiać zarówno o polityce jak i kulturze. Pytam o przyczyny rozpadu Jugosławii. Odpowiada mi pytaniem: „A dlaczego upadło imperium austro-węgierskie? Dlaczego rozpadł się Związek Sowiecki?” Kiedy jednak dalej nalegam, aby był bardziej konkretny i że niekoniecznie w tych wypadkach działały te same przyczyny, odpowiada już bez wahania. Jugosławia, w jego mniemaniu, była od początku swego istnienia tworem sztucznym. Tito wprowadził zmiany do konstytucji mające zapewnić przetrwanie Jugosławii po jego śmierci, ale nie zapewnił, nie wypracował żadnych demokratycznych podstaw czy mechanizmów, które by takie przetrwanie gwarantowały. Nadal wszystko miało się opierać na władzy autorytatywnej, scentralizowanej głównie w

Belgradzie, ale już bez dyktatora. Po drugie, Jugosławia jako państwo była zawsze przykrywką dla ekspansjonistycznych dążeń Serbów. Serbia widziała w Jugosławii okazję do powiększenia swoich wpływów. Wspomina, że w przeszłości wskazywano na konieczność luźniejszych związków, „proponowaliśmy przekształcenie federacji w konfederację, ale Serbowie od razu widzieli w tym zagrożenie własnych interesów”.

W odróżnieniu od tego co słyszałem od innych, „przebiegłych” Słowenów, p. Rupel reprezentuje niezachwiany optymizm. „Różnice między nami a resztą Jugosławii ciągle rosły. Przez uzyskanie niepodległości przenieśliśmy się od razu z Bałkanów do Europy Centralnej. Teraz zamiast z Belgradem będziemy musieli rozmawiać z Brukselą. Będzie to łatwiej, bo nie będziemy poddawani ciągłej presji zmierzającej do coraz większej unifikacji politycznej, jak to miało miejsce z Belgradem”. Pan Rupel nie sądzi, aby Europa zmierzała do jakiegoś scentralizowanego tygła, amerykańskiego *melting-pot*. Obawia się tylko, że Słowenia nie posiada jeszcze dostatecznie wytrenowanej kadry fachowców, która by mogła skutecznie prowadzić interesy z Brukselą. „Wiedzieliśmy jak należy postępować z Belgradem, ale jeszcze nie nauczyliśmy się tego robić z Brukselą”. Wyczuwam podtekst tych uwag, nie wiem tylko czy uzasadniony: „W Brukseli będziemy mieli do czynienia z ludźmi bardziej cywilizowanymi”. Na zakończenie naszej rozmowy pytam jeszcze o losy kultury w nowym niepodległym państwie. Czy zasada popytu i podaży zda tu egzamin? Jak np. będzie wyglądać wydawanie książek? Przecież w małej Słowenii nawet bestsellery nie będą się opłacać, bo po prostu rynek jest za mały. W przeszłości wielu pisarzy słoweńskich tłumaczono od razu na inne języki Jugosławii. Teraz nie można już na to liczyć. Mój rozmówca bez wahania przyznaje, że państwo będzie musiało podjąć się roli mecenatu nad kulturą w większym stopniu niż to praktykowano dotychczas. Chcę jeszcze zadać pytanie czy znajdują się na to odpowiednie środki finansowe. Przecież kłóci się to z kapitalistyczną zasadą ekonomicznej opłacalności, ale musimy już się pożegnać bo mój rozmówca śpieszy się właśnie na posiedzenie komisji parlamentarnej do spraw kultury. Jest bowiem jej przewodniczącym.

Jedną z najbardziej dyskutowanych w Lublanie kwestii jest obecnie pytanie o tożsamość narodową Słowenii. Czym jest Słowenia? Dotychczas Słowenia była identyfikowana z Jugosławią, albo „poprzez” Jugosławię jako jej najbardziej prosperującą i cywilizacyjnie zaawansowaną część. Co dalej?

Sprawa ta ma dwa aspekty: wewnętrzny, krajowy i międzynarodowy. W prasie słoweńskiej poświęca się sporo miejsca i pisze się o historii. Wspomniany już dziennik *Delo*, prowadzi w odcinkach specjalną kolumnę pt. „To jest Słowenia: jej historia i kultura”. Ukazało się nagle sporo prac o zbrodniach popełnionych na Słowenii przez komunistów, jak np. dwa tomy zatytułowane *Zbrodnie komunistyczne na Słowenii* czy też książka profesora Janeža Rotara *Koszmar i cierpienie słoweńskiego narodu* (1990) oskarżająca titowską partyzantkę o likwidację przeciwników politycznych jeszcze podczas okupacji w latach 1940-1945, o spowodowanie masowej emigracji Słoweńców po r. 1945 oraz niszczenie narodowej kultury. Czy zwrot ku historii, jej odkłamywanie i poszukiwanie tradycji odrębnego istnienia pomaga w utrwaleniu obrazu (tzw. angielskiego *image*) Słowenii na arenie międzynarodowej? Prasa przytacza niekiedy wręcz humorystyczne przykłady zachodniej ignorancji. Dyplomaci i dziennikarze myślą niekiedy Słowenię ze Słowacją, nie potrafią wymienić nazwy jej stolicy czy bardziej wybitnych polityków. Słoweńcy nie uznają bowiem wodzostwa: nie ma u nich Tudjmanów, Miloševićów czy Izetbegovićów. „Wodzowie to nie dla nas — zwierza mi się jeden z moich znajomych — pojęcie to jest dla nas obce”. Myślę, że w tym też tkwi jedna z różnic dzieląca Słoweńców od reszty byłej Jugosławii. I cóż za ironia historycznego losu! Mała, pokojowa i mimo wszystko zasobna Słowenia, wyróżniająca się wręcz mówczą pracowitością swoich ludzi, istnieje w cieniu krwawych wydarzeń rozgrywających się na terenie Bośni i Hercegowiny. Na tym terenie nikt już nie ma trudności z identyfikowaniem nazw. Nic też dziwnego, że w ostatnich miesiącach wyłoniło się pytanie: z kim się identyfikować, do jakiej „paczki” należeć? Jugosławii w dawnym pojęciu politycznym już nie ma, z Bałkanami Słowenia nie chce być identyfikowana pod żadnym pozorem, a perspektywy wejścia do wspólnego rynku są raczej mgliste. Wyłynęła więc koncepcja przyłączenia się do Grupy Wyszehradzkiej, do której należą obecnie Czechy, Polska, Węgry i Słowacja (Słowenia jest członkiem tzw. ISE czyli Inicjatywy Środkowo-Europejskiej, luźnego i niezbyt aktywnego ugrupowania, w którego skład wchodzi również, obok Polski, Austria, Chorwacja, Czechy, Słowacja, Węgry i Włochy). Niedawna wizyta premiera Janeža Drnovška w Pradze miała chyba m.in. na celu zbadanie tej możliwości.

Wśród tzw. inteligencji twórczej, pisarzy, artystów, naukowców panuje powszechne przekonanie, że najważniejszym

zadaniem obecnie jest nawiązywanie samodzielnych, bezpośrednich kontaktów z zagranicą. Słoweńcom bardzo na tym zależy, a jest wśród nich wielu zdolnych i energicznych młodych ludzi. Rozmach życia kulturalnego jest doprawdy imponujący i przejawia się na wielu płaszczyznach twórczego działania. Już od początku lat osiemdziesiątych toczyła się w Słowenii gorąca dyskusja na temat postmodernizmu, która ostatnio zaowocowała znakomitymi pracami profesorów i wykładowców uniwersyteckich Janko Kosa, Aleša Debeljaka, Tine Hribara, Tomo Virka i wielu innych. Tu już nie chodzi o podpatrywanie czy naśladowanie Zachodu, ale o twórczą interpretację i samodzielne rozwijanie też postmodernistycznych w odniesieniu do zjawisk artystycznych zarówno w Słowenii jak i w Europie Zachodniej. Młodzi naukowcy próbują też publikować swoje prace (niekiedy nawet całe książki) w obcych językach (szczególnie w angielskim), aby w ten sposób znaleźć płaszczyznę do wymiany myśli z kolegami za granicą.

Kontakty z Polską są bardzo żywe i płodne. We wrześniu ubiegłego roku przyjechał do Vilenicy, grotty położonej niedaleko miejscowości Sežana, Adam Michnik; odbywają się tu doroczne międzynarodowe spotkania pisarzy oraz działaczy kultury. Michnik wziął udział w dyskusji ze znanym pisarzem słoweńskim Drago Jančarem. Dyskusję prowadził p. Nico Jež, wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie Lublany, niezwykle miły człowiek i wielki przyjaciel Polski. Tematem tego dwugłosu stała się próba odpowiedzi na pytanie „Kim jesteśmy i dokąd idziemy?” Jej treść ukazała się (tytuł: *Disput*) nakładem wydawnictwa Wieser w Salzburgu (1992). Jest coś wzruszającego w tym, że małe, borykająca się z trudnościami gospodarczymi Słowenia nie szczędzi pieniędzy na lektorat języka polskiego. Prowadzi go dr J. Sławińska z Krakowa. W Lublanie mieszka na stałe p. Jolanta Grô-Kozak, absolwentka krakowskiej sławistyki, wdowa po jednym z najwybitniejszych dramaturgów słoweńskich Primožu Kozaku. Jej gościnność i ciepło jakim otacza przyjeżdżających tu rodaków, a także nieoceniona pomoc w nawiązywaniu kontaktów ze Słoweńcami z lublańskiego świata kulturalnego, stwarza niezwykle sprzyjającą atmosferę do pracy i powoduje, że po kilku dniach przybysz czuje się w Lublanie jak u siebie w domu.

Wyjeżdżałem ze Słowenii z dużą dozą optymizmu i w przekonaniu, że ten kraj wybrnie z obecnego kryzysu szybciej niż pozostałe kraje byłego bloku komunistycznego. W po-

równaniu zaś z krajami Europy Centralnej i Wschodniej (i mimo istniejących, oczywistych podobieństw) Słowenia wydaje się być znacznie lepiej przygotowana do stawiania czoła bieżącym trudnościom ekonomicznym. Wniosek taki wyprowadzić można ze sprawnego funkcjonowania jej instytucji gospodarczych i urzędów administracji; banki funkcjonują tu normalnie, sklepy są obficie zaopatrzone a ich wystawy gustownie urządzone; widać porządek i zdyscyplinowanie społeczne, a przede wszystkim wielką pracowitość i samozaparcie. Kiedy pytałam co stanowi najlepszą gwarancję gospodarczego odrodzenia Słowenii, odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: pracowitość jej społeczeństwa.

Lublana, kwiecień-maj 1993

Edward MOŻEJKO

RPA — czas teraźniejszy, czas przyszły

Zmarły niedawno w Afryce Południowej, Edward de Virion, obiecał nam artykuł o sytuacji w Afryce Południowej. Niestety śmierć przerwała jego opracowanie. Zamieszczamy je poniżej z uzupełnieniem, czy jakby z dokończeniem, napisanym przez p. Małgorzatę Dziewięcką, która blisko z nim współpracowała.

Redakcja

Jestem umiarkowanym optymistą jeśli chodzi o przyszłość Południowej Afryki, ale tylko jasnowidz potrafi trafnie przewidzieć, jak się tu ułoży sytuacja polityczna. Obecnie, po 300 latach kolonializmu, mamy zaledwie 5,5 mln białych i 29 mln czarnych, 3,3 mln kolorowych (przeważnie pochodzących ze zmieszania Hotentotów z białymi i czarnymi, tudzież czarnych z Malajami) oraz ponad milion Azjatów — w ogromnej większości Hindusi i kilkanaście tysięcy Chińczyków. Z białej ludności ponad 60% stanowią Afrykanerzy z pochodzenia Holendrzy, którzy przybyli tu już w XVII wie-

ku, 30% jest pochodzenia anglosaskiego (pokaźna ilość przybyła z niedawnych kolonii brytyjskich), zaś reszta to emigranci głównie z krajów Europy Zachodniej (zwłaszcza z Grecji) oraz z Polski — 15 tysięcy osób — i z byłych kolonii portugalskich: Mozambiku i Angoli przede wszystkim.

Kiedy po drugiej wojnie światowej w całej Afryce powiał *wind of change*, w RPA „wiatr powiał w drugą stronę”. Do władzy doszła afrykanerska Partia Narodowa, wprowadzając ze sobą system segregacji rasowej. Nacjonalisci podzielili kraj, przeznaczając dla czarnych około 15% obszaru, zaś dla białych 85%, odwrotnie do procentu ludności afrykańskiej i europejskiej. Powstałe w 1936 roku (z inicjatywy Ligi Narodów!) tzw. *homeland*'y zaczęły obowiązywać jako jedyne miejsca stałego pobytu czarnych, poza którymi przebywanie wymagało pozwolenia i dowodu tożsamości. Obecnie cztery z owych „ziem pod administracją plemienną” głoszą się niby niepodległymi państwami (co wykorzystują czarni ekstremiści z APLA, utrzymując sześć zbrojnych obozów szkoleniowych na terenie Transkei generała Holomisa!).

Polityka *apartheid*'u nie zdała jednak egzaminu w praktyce. Ludność murzyńska nie chciała się tłoczyć w *homeland*'ach — gdzie nie było pracy, nie było z czego żyć — i pozostała w części RPA przeznaczonej dla białych, atrakcyjniejszej pod względem możliwości do życia, z czasem poważnie zwiększając swoją liczbę. Już premier Botha w początkach lat osiemdziesiątych zrozumiał, że dotychczasowej polityki *apartheid*'u nie da się utrzymać, że jest za kosztowna i już niekontrolowalna, ale wtedy istniało jeszcze niebezpieczeństwo komunizmu i o całkowitym demontażu *apartheid*'u mowy być nie mogło. Największa organizacja czarnych Południowoafrykańczyków — Afrykański Kongres Narodowy — była (i jest nadal) zdominowana przez komunistów i dlatego demokracje zachodnie — pomimo że nie kochały *apartheid*'u — po cichu popierały go w obawie, by ANC nie doszło do władzy i tym samym nie przemieniło RPA w satelitę Sowietów. Sowiety miałyby wtedy większość produkcji złota i diamentów oraz innych materiałów, w tym wielu strategicznych, a także silną bazę na granicy dwóch oceanów. Do tego nie można było dopuścić.

Obecnie sytuacja polityczna zmieniła się radykalnie. Straszak sowiecki przestał istnieć, *apartheid*'u można się pozbyć wymieniając go na demokrację. Zachód dał do zrozumienia RPA, że albo szybkie reformy ustrojowe, albo wprowadzenie poważnych sankcji i zniszczenie jej gospodarki. Stany Zjedno-

zione już wycofały prawie wszystkie swoje inwestycje i pod ich naciskiem to samo mogłyby uczynić Zachodnia Europa i Japonia. Partia Narodowa, a przynajmniej jej kierownictwo, doszła do wniosku, że 5 milionów białych nie może wygrać wojny nie tylko z 30 milionami czarnych, ale właściwie z całym światem. Lepiej jest negocjować teraz, z pozycji siły (bo w rękach białych są policja, wojsko i administracja), niż później być zmuszonym do kapitulacji. Obecnie rząd De Klerka może liczyć w wyborach na poparcie 65-70 % białych głosów, około 50 % głosów Hindusów i kolorowych, w najlepszym razie także na 5-10 % głosów Murzynów.

ANC może dostać 60-70 % głosów czarnych oraz około 50 % kolorowych i Hindusów. Inkatha czyli partia Zulusów spodziewać się może 30 % głosów ludności czarnej. Oczywiście De Klerk wolałby zawrzeć sojusz z wodzem Inkathy Buthelezim, przeciwnikiem komunizmu i popularnym wśród białych demokratą. Jednakże sojusz z Inkathą nie dałby większości głosów. ANC, a właściwie inteligentniejsi z jego przywódców, zdają sobie sprawę, iż jeśli nawet otrzymają większość głosów w wyborach, to jednak trudno będzie rządzić samemu w kraju o tak skrajnych nastrojach politycznych, i że jedynym wyjściem jest „małżeństwo z rozsądku” z partią białych nacjonalistów. Później oczywiście można wziąć „rozwód”, ale w tej chwili jest to jedyna rozsądna droga wyjścia z obecnego kryzysu. Zachodzi tu podobna sytuacja, jak w Polsce w 1989 roku, kiedy przy okrągłym stole komuniści dogadali się z „Solidarnością” i przez jakiś czas razem rządzili krajem. Czy uda się to w RPA? — trudno przewidzieć. Partie ekstremistyczne: z jednej strony PAC, SACP a z drugiej CP i AWB są może liczebnie niezbyt silne, lecz zdecydowane na wszystko i mogą zrobić dużo kłopotu.

Chociaż właściwie nie ma już sankcji gospodarczych Europa Zachodnia i Ameryka wstrzymują się z inwestycjami w Południowej Afryce ze względu na niepewną sytuację polityczną. Aby gospodarka się tu rozwijała potrzebny jest potężny zastrzyk kapitału zagranicznego, bowiem cena złota, głównego towaru eksportowego RPA, jest najniższa od wielu lat, przez co wiele kopalni jest nieopłacalnych i trzeba je zamknąć. Bezrobocie wśród czarnej ludności szacuje się na 43 %, a nawet białym z wykształceniem technicznym coraz trudniej o pracę. Bezrobocie powoduje frustrację, niezadowolenie z rządów, wzrost przestępczości, nastroje rewolucyjne. Sytuację taką może uzdrowić jedynie silny rząd, który zagwarantuje stabilność i co za tym idzie, zaufanie inwestorów z

USA, Japonii, Europy. Niestety, ekstremiści biali i czarni nie chcą żadnego kompromisu i chociaż są w mniejszości, jednak mogą spowodować wojnę domową.

Biali ekstremiści z Partii Konserwatywnej (CP) mówią o podziale RPA, jednakże nie wypowiadają się oficjalnie, jak sobie ów podział wyobrażają w praktyce. Zgadzą się na pewne poprawki w obecnym stanie posiadania białych i czarnych — zwłaszcza ziemi. Idea podziału wygląda raczej na mrzonki, bowiem ludność RPA jest bardzo wymieszana i w żadnej części tego kraju nie ma większości białych. Jest pewna możliwość utworzenia niepodległego państwa z prowincji Natal, gdzie biali i Zulusi rządziliby wspólnie, ale Natal nie ma zbyt wielu bogactw naturalnych ani rozwiniętego wysoko przemysłu, co daje mu małe szanse na utrzymanie się bez pomocy materialnej innej prowincji.

Podstawową przeszkodą w postępie w konstytucyjnych rozmowach nad tworzeniem demokracji w Nowej Południowej Afryce jest sięgająca obecnie szczytu, dzika, krwawa wojna, bazująca na starej plemiennej waśni, pomiędzy zdominowanym przez Xosa Afrykańskim Kongresem Narodowym — ANC a zuluską Partią Wolności, Inkatha. Rzecz, w której prezydent De Klerk mało co może uczynić. Przywódcy ANC krzyczą bezustannie, by De Klerk położył kres przemocy pomiędzy zawziętymi stronami, a równocześnie z tymi głosami kadra Kongresu wzywa do kontynuowania kampanii morderstw, zabójstw, brutalności wobec członków Inkatha.

Z drugiej strony wódz Buthelezi głosi pokojowe intencje, potępia wojnę, ale w tym samym czasie z jego warowni w Natalu, hosteli w Transvaalu sypią się zuluscy impis, by zabić po *township*'ach i slumsach Xosów, których uważają za wrogów.

Pewne jest to, że biała społeczność, której siła i pewność siebie kurczą się z dnia na dzień, jest niemal bezsilna wobec czarnej części społeczeństwa i na pewno nie jest w stanie jej powstrzymać.

Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna, wywołana częściowo sankcjami gospodarczymi lat 80-tych, a także długotrwała susza w wielu regionach kraju, zwłaszcza w Transvaalu, rosnące bezrobocie (sięga 43 %), napływ — wskutek skreślenia z rejestru obowiązujących zakazów *apartheid*'u — do miast niekontrolowanych, nie do ogarnięcia, rzesz Afry-

kańczyków, powodujący przeludnienie czarnych osiedli i eksplozję przestępczości, narastająca wrogość i arogancja białych ekstremistów stwarzają ponadto atmosferę nie sprzyjającą niczyjemu zadowoleniu. Dla białych demokracja w ich kraju zaczyna być jednoznaczna z pogorszeniem warunków życia we wszystkich jego aspektach. Czarni, którym demokracja kojarzyła się z polepszeniem życia pod każdym względem, wątpią już w jej nastanie. Biali uważają prezydenta za zdracę, czarni za cwane lisa, który to, co czyni, czyni obłudnie, bo w imię utrzymania przy władzy swej Narodowej Partii, a nie w imię demokracji. Według obu stron demokracja będzie — o ile będzie — ubocznym produktem walki o władzę.

W ostatnim roku aktywność prawicy politycznej RPA jak i liczba jej członków i zwolenników wzrosły na tyle, by traktować ją poważnie jako zagrożenie dla pokojowego rozwiązania konfliktu w Południowej Afryce. Prawicowi biali ekstremiści wierzą, iż „białe plemię” Afryki posiada wyższe i niemal mistyczne wartości, że Południowa Afryka jest Ziemią Obiecaną, a zatem — jak mówi Terre Blanche, szef Afrykanerskiego Ruchu Oporu, AWB — „czarny, komunistyczny antychryst z ANC nie ma prawa do naszej ziemi”. Ekstremiści (AWB, BWP, HNP, ANS) uważają, że ANC nie interesuje dzielenie się władzą, lecz kontrola nad rządem, państwem po to, by białego człowieka wypędzić tak, jak to miało miejsce w Kongo, Kenii, Rodezji.

Dlaczego i kto staje się prawicowy w RPA? Jest to kwestia klas społecznych oraz bezpośrednio odczuwalnych negatywnych wpływów reform na codzienne życie. Dochodzi do tego działalność czarnej ekstremy — PAC i jego zbrojnego skrzydła APLA tudzież Ligi Młodzieżowej ANC atakujących białych i głoszących „Afryka dla czarnych”, rzucających slogan: *Kill the Boer!*

Polak w Południowej Afryce jest odbiciem białej społeczności: jest bardziej lub mniej niechętny czarnym, twierdzi, że to nie kolor skóry, lecz klasa człowieka budzi w nim sympatię lub niechęć.

B. Kucharska: „Na początku pobytu w RPA naszymi sąsiadkami były Burki. Głupie, wścibskie, brzydkie! Zatrwały mi życie. Potem sąsiadem został Czarny — lekarz. I nastał spokój. Bo człowiek na poziomie!”

Obraz Polaka w RPA oraz sytuację w tym kraju fałszują — zawiedzeni nieudaną emigracją do RPA (czy to ze względów materialnych, zawodowych czy z lenistwa umysłowego) — Polonusi powracający do Polski po zaledwie 2-3 latach

pobytu tutaj, pretendujący do rozumienia 300-letniej historii narodów Południowej Afryki, którzy udzielają — jak niedawno B.M. Kępiński — absurdalnych wywiadów TV i prasy polskiej. Co oburzyło Polonię Johannesburga. Piętnastotysięczna Polonia w większości zbliżona jest swymi poglądami do białych konserwatystów. Polacy południowoafrykańscy nie są rasistami, są mniejszością narodową apolityczną, mit Polaka walczącego po stronie białych nacjonalistów jest fałszywy. Bardzo rzadkie są przypadki Polaka-ekstremisty i jego utożsamiania się z AWB, czy PAC lub nawet ANC. Zwykle są to osoby niezadowolone ze swego życia osobistego, a nie rasiści.

Polacy uważają, że prasa południowoafrykańska nadużyła faktu pochodzenia wykonawcy wyroku śmierci na Chrisie Hanim, że jest to krzywdzące w stosunku do polskiej społeczności (bowiem w RPA każdy skądś pochodzi, jeżeli nie jest Burem), że prasa pokazała tu strach Bura przed ewentualną zemstą Czarnych. Bowiem wielu Burów ścisłało rękę kolegom i przyjaciółom Polakom mówiąc: „*We are sorry that a Pol did it, but thanks God none of us!*”

Według nich Janusz Waluś był doskonałym narzędziem: emigrant z byłego komunistycznego kraju, a więc na pewno „zjadły antykomunista” — to wystarczający powód do zabójstwa szefa SACP, młodego, o silnej osobowości i wielkim autorytecie wśród młodzieży afrykańskiej, niewątpliwie jednego z przyszłych członków rządu nowej RPA.

Oczywiście prezydent De Klerk, jak i Nelson Mandela oświadczyli polskiemu przedstawicielstwu w Pretorii, że nie utożsamiają owego czynu z polskim społeczeństwem. „*We appreciate Polish people in this country, their skill. We want them to stay here!*”, zapewnił ich Mandela.

Dla Polaków wszelkiego czasu emigracji (w tym dla ponad 10.000 przybyłych w latach 80-tych) RPA to kraj — jak często mówią — „realizacji siebie, swych marzeń i więcej niż marzeń”. Nikogo z nich *apartheid* nie obchodził, nikomu nie przeszkadzał. Jedyne co może mieli za „złe” RPA to to, że zarabiali w brązowych randach a nie zielonych dolarach!

Ale od 1990 roku, tj. od początku procesu reform w RPA, wśród Polaków pojawił się niepokój o przyszłość: osiągniętych standardów życiowych nie chcą tracić, z komfortu psychicznego rezygnować, stylu życia porzucać. A zachodzące zmiany w stosunku do lat osiemdziesiątych są poważne, bo dotyczą systemu i kryzysu gospodarczego.

Większość Polaków zostanie w RPA. Nie tylko dlatego,

że dorobili się tu materialnie, że zajmują wysokie stanowiska, są szanowani, doceniani, o wysokiej pozycji społecznej, że odpowiada im styl życia i z tego wszystkiego nie chcą rezygnować. Ale też dlatego, że Południową Afrykę uznali za swój kraj, tj. za kraj, który rozumieją lepiej niż Polskę, kraj, gdzie czują się u siebie, podczas gdy w obecnej Polsce są obcymi. I to niezależnie od stażu emigracyjnego. Twierdzą, że myśl o wyjeździe jest im obca, są optymistami co do rozwoju sytuacji politycznej RPA. O wyjeździe myślą oportuniści, których przewodnikiem życiowym jest motto: „Gorzej mi, więc co tu będę siedział”. Znajdują się oni pośród emigracji lat osiemdziesiątych i ostatnich. Polak taki często nie ma swego zdania, powtarza opinie obiegowe biorąc je za swoje. Nie mając nic do stracenia, pożycza pieniądze na bilet dla żony i dzieci, pozostawia długi żyrantom i leci do Polski, której nie chce, ale jedynej, która go przyjmie. Dla pięciu rodzin, które ostatnio powróciły do Polski, powodem były zwiększone opłaty szkolne! A przecież reporterom i rodzinie w Polsce tego nie powiedzą! Będą opowiadać o strachu, morderstwach, rasizmie, prześladowaniach Polaków za śmierć Haniego etc.

Są też tacy, którzy wyjeżdżają przyznając szczerze, że z emigracją do RPA się spóźnili, że w Polsce posiadają więcej, że te 2-3 lata tutaj to wspaniała przygoda.

Polacy w RPA, jak większość białych, sentymentem darzą wodza Butheleziego i jego partię — Inkathę, sądząc naiwnie, że w nowym układzie będzie on miał wiele do powiedzenia i owe sympatie im odwdzięczy. (Buthelezi ma zaledwie 10% poparcia czarnych, gdy Mandela 50%). Tak jak Polaków trzeba bronić przed fałszywym obrazem szaleńca Walusia, tak też trzeba, by Polacy zrozumieli, że w ich interesie nie jest ukierunkowywanie się na jedną organizację polityczną.

W Polsce zainteresowanie RPA ogranicza się do tzw. *Polish Connection*. Wiedza o tym kraju (jak i o reszcie czarnej Afryki) jest nader ograniczona, formowana wypowiedziami autorytetów naukowych komunistycznego wylęgu (jak np. M. Malinowski) czy przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych spędzających w RPA aż 14 dni (może 21) tudzież powracających frustratów.

Edward DE VIRION —
Małgorzata DZIEWIĘCKA

Nowe oblicze Japonii?

Porażka rządu premiera Miyazawy po zgłoszonym 18 czerwca br. przez opozycję votum nieufności pociągnęła za sobą bieg wydarzeń, które mogą radykalnie zmienić polityczne oblicze Japonii. Inspiratorom porażki rządu udało się podłożyć dynamit, który może wstrząsnąć fundamentami powojennego systemu politycznego Japonii, bez względu na taki czy inny układ koalicji rządowej po wyborach 18 lipca.

U podłoża obecnego kryzysu politycznego jest głęboko zakorzeniona niechęć rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej do autentycznych zmian systemu. Pod naciskiem bossów partyjnych, rząd w ostatniej chwili wycofał się z przedstawienia w parlamencie nawet bardzo okrojonego programu reform, obawiając się przegranej w przetargach o szeroko projektowane poprawki do ordynacji wyborczej. W rezultacie doprowadził nie tylko do własnego upadku, ale do sytuacji, w której dalsza, monolityczna ciągłość rządów PLD stanęła pod znakiem zapytania. Przyczyny obecnego kryzysu politycznego w Japonii mają swe korzenie w specyficznym japońskim systemie polityki wyborczej, który umożliwił nieprzerwane przez prawie 40 lat rządy jednej partii.

System polityki wyborczej

Japoński system ordynacji wyborczej, odziedziczony po okresie międzywojennym, różni się dosyć znacznie od pokrewnych modeli zachodnich. W odróżnieniu od krajów anglosaskich (jednomandatowe okręgi wyborcze), jak również krajów kontynentu europejskiego (system proporcjonalny), w Japonii przyjął się jedyny w swoim rodzaju system wielomandatowych (4-5 mandatów) okręgów wyborczych. Przypomina on poniekąd system proporcjonalny reprezentacji, lecz stawia wyraźnie na zdolności polityczne jednostki. A więc bardziej niż „bilet partyjny” liczy się podobnie jak w Ameryce osobista charyzma kandydata. System ten otwiera drogę do parlamentu małym partiom (jeżeli w 5-mandatowym okręgu zdobędą ok. 20% głosów), lecz jest kłopotliwy dla wielkich partii. Muszą one przeprowadzać karkołomne kalkulacje, by w danym okręgu nie wystawić więcej kandydatów niż trzeba dla zdobycia odpowiedniego procentu głosów. Względna zaletą japońskiego systemu jest to, iż zapewnia niezwykle stabilność polityki wyborczej. Np. w Stanach Zjednoczonych nawet nieznaczne przesunięcia balansu pro-

centowego mogą spowodować nagłe zmiany, przesądając o wyniku wyborów. W Japonii utrata jednego mandatu, nawet w dużej ilości okręgów, jeszcze nie przesądza o wyniku wyborów w skali krajowej.

Wielką słabością japońskiego systemu wyborczego jest brak mechanizmów dla dostosowania okręgów wyborczych do demograficznych zmian ludności, co doprowadziło do wygórowanej nadreprezentacji okręgów z prowincji na niekorzyść miast. W połowie lat 70-tych podjęto próby naprawy takich dysproporcji, lecz bezskutecznie.

Rywalizacja kilku kandydatów z jednej partii w jednym okręgu wyborczym sprawia, iż muszą oni polegać na rozbudowaniu własnej bazy wsparcia (tzw. *koenkai*), na własnej machinie finansowej. Trudno im rywalizować na identycznej platformie programowej, dlatego też głównym celem ich kampanii stają się lokalne interesy grupowe i społeczne. Wymaga to zapewnienia nieustannego przyływu funduszy, głównie ze źródeł prywatnego biznesu. W ten sposób powstaje i rozrasta się zawiła sieć wzajemnych zobowiązań. Skrajnym przejawem takiego stanu rzeczy jest system sprawowania i podziału władzy, oparty całkowicie na *polityce pieniądza*. Jego istotnym elementem jest z jednej strony system współzależności i przywilejów, łączący różne agentury rządowe ze światem biznesu, a z drugiej nieustanna walka między poszczególnymi ministerstwami i klikami PLD w obronie własnych interesów grupowych. Liderzy poszczególnych klik PLD walczą między sobą nie o jakieś abstrakcyjne cele polityczne, lecz o wygranie finansowo najbardziej atrakcyjnych resortów rządowych, celem wywiązywania się z zaciągniętych zobowiązań wobec swoich wyborców. Walka ta jest też źródłem coraz to większych i częstszych skandali politycznych, na tle rozpowszechnionej korupcji i nadużyć finansowych.

Próby reform

Skandale polityczne, związane z korupcją, nie są wyjątkową cechą polityków japońskich. Wyjątkową jest tylko ich regularna częstotliwość. Temu, że elektorat japoński na ogół przechodził nad nimi do porządku dziennego, rządząca PLD zawdzięcza prawie cztery dekady pomyślnego rozwoju gospodarczego i względnej stabilności politycznej Japonii. Nasilenie presji na konieczność reformy systemu politycznego było w Japonii bardzo rzadkie. Tak np. pierwszy raz, po głośnej aferze Lockheeda b. premiera Kakuei Tanaka, który w połowie lat 70-tych zapoczątkował ostrą rywalizację o władzę między tzw. „*habatsu*”, czyli klikami w rządzącej PLD. Jednak wszystkie kolejne próby refor-

my systemu politycznego, podejmowane przez premierów z „czystymi rękami”, kończyły się niepowodzeniem. Podobny los spotkał ostatni projekt reform, b. premiera Kaifu, cichaczem umorzony przez Miyazawę. Dopiero niedawny skandal wokół b. wiceprezydenta PLD, Shin Kanemaru, spotęgowany na dodatek dowodami mafijnych powiązań finansowych jego podopiecznego b. premiera Takeshity, poruszył na nowo emocje antysystemowe w Japonii, zmuszając Miyazawę do wznowienia obietnic reformy systemu.

Niemniej za pierwszy, zasadniczy punkt zwrotny na drodze do obecnego kryzysu politycznego należy uznać fiasko pakietu reform Kaifu oraz sposób odsunięcia go od władzy w październiku 1991 r. Projekt reform Kaifu, uważany za największe osiągnięcie jego kadencji, proponował radykalne zmiany systemu polityki wyborczej, oraz ostrą kontrolę nad funduszami państwowymi używanymi dla celów politycznych. Usunięcie Kaifu od władzy pociągnęło za sobą głosy krytyki również ze strony wielkiego biznesu japońskiego, dotychczas największego sojusznika japońskiego *establishmentu* politycznego. Tak np. Toshiaki Yamaguchi, wiceprzewodniczący wpływowego zrzeszenia dyrektorów wielkich koncernów przemysłowych (tzw. *Keizai Doyu-kai*), ostro skrytykował w prasie „dziecinna mentalność polityków japońskich”, zarzucając im brak wiedzy politycznej i wyrobienia na arenie międzynarodowej. Zażądał on przeprowadzenia gruntownej reformy systemu politycznego oraz stworzenia odpowiednich warunków dla nowej i prężnej kadry polityków. Z kolei prof. K. Masumara, piszący na łamach wpływowego tygodnika gospodarczego *Toyo Keizai* stwierdza, iż „obecna kadra polityków japońskich wykazuje karygodny brak wizji politycznej i strategicznego myślenia w wymiarze globalnym. Dla zmiany takiego stanu rzeczy jest więc potrzebna gruntowna reforma polityczna, w pierwszym rzędzie dotychczasowego systemu wyborczego. Im bardziej biurokraci rządowi w Tokio drżą na myśl o takich reformach, tym bardziej trzeba je jak najszybciej i z całą stanowczością przeprowadzić”. Jeden z największych autorytetów w Japonii w dziedzinie prawa i nauk politycznych, prof. Takeshi Sasaki (Wydział Prawa Uniw. Tokijskiego), dołączył się do chóru takiej krytyki stwierdzeniem, iż „system japoński uniemożliwia dojście do władzy wybitnym jednostkom i politykom z prawdziwego zdarzenia, zdolnym do myślenia w skali interesów ogólnonarodowych, a nie tylko partykularnych interesów grupowych. Niezdrowy stan parlamentaryzmu odbija się tu siłą rzeczy niekorzystnie na międzynarodowej polityce Japonii, w formie niezdecydowania, podatności na presje w domu i uległości na zewnątrz, szczególnie wobec USA, z coraz to bardziej ujemnymi konsekwencjami dla kieszeni podatnika japoń-

skiego w domu, a prestiżu Japonii na zewnątrz". Na tle przedstawionej tu fali krytyki i wzmagającej się presji dotyczącej zmian, był przygotowany grunt czerwcowego 'puczu' wewnątrzpartyjnego, który przesądził o upadku rządu Miyazawy.

Perspektywy zmian

Wydarzenia w Japonii po upadku rządu Miyazawy sygnalizują, iż pierwszy raz po wojnie Japonia może stać się autentyczną demokracją parlamentarną. Według komentarzy czołowych dzienników japońskich, wynik lipcowych wyborów parlamentarnych nie oznacza wprawdzie jeszcze załamania się powojennego systemu politycznego, lecz pierwszy poważny wyłom. Wszystkie trzy nowe partie polityczne uzyskały wystarczającą ilość głosów i mandatów, by odegrać znaczącą rolę w parlamencie w walce o autentyczne reformy polityczne. Najsilniejszym, chociaż niekoniecznie najbardziej dynamicznym nurtem jest tu nowa partia Haty i Ozawy. Obaj reprezentują młodsze pokolenie polityków, rozczarowanych dotychczasowymi praktykami rządowej PLD i pragnących radykalnych zmian. 23 czerwca Hata formalnie ogłosił powstanie nowej Partii Odrodzenia („*shinseito*”), rzucając wyzwanie monopartyjnemu rządowi PLD. Zdaniem ekspertów japońskich pod powierzchnią górnolotnych sloganów kryją się jednak mocne ambicje stworzenia nowej, politycznie bardziej agresywnej Japonii. Takiej Japonii, która z powodzeniem będzie stawiać czoło wygórowanym ambicjom mocarstwowym USA oraz zabierać zdecydowany głos w polityce międzynarodowej.

Szansę zasadniczych zmian systemu politycznego, na skutek zmian układu sił w parlamencie, będą zależały od wielu czynników. Sprawa reformy politycznej, zdaniem komentatorów japońskich, będzie priorytetowym zadaniem dla nowego rządu, bez względu na układ koalicyjny. Reforma ta obejmie w pierwszym rzędzie zmiany w systemie polityki i ordynacji wyborczej, prawdopodobnie w kierunku większej reprezentacji proporcjonalnej. Uchwalanie i wprowadzanie w życie tej reformy musi zachwiać podstawami dotychczasowego systemu i wzmocnić pozycję nowych partii konserwatywnych. Partie lewicy japońskiej, osłabione druzgocącą porażką byłej Partii Socjalistycznej, nie odegrają w tym procesie większej roli. W dalszej kolejności powodzenie zmian będzie zależało od wizji politycznej i determinacji liderów nowych partii. Zdobyli sobie już okazałą bazę wyborczą, którą muszą poszerzać o kręgi wielkiego biznesu. Zdaniem prof. K. Inoguchi z katolickiego Sophia University w Tokio, pierwszy raz po wojnie w japońskim systemie sprawowania władzy wyłaniają się alternatywne siły polityczne. Nowe partie mogą się stać

załączkiem nowego ośrodka władzy, zdolnego do przeprowadzenia radykalnych zmian w dotychczasowym systemie zarządzania gospodarczego.

Niemniej wprowadzenie w życie zmian politycznych będzie procesem powolnym. Rządowa PLD, pomimo utraty większości parlamentarnej, wykazała w wyborach duży stopień odporności politycznej, pozostając nadal znaczącą siłą. Japonię czeka więc okres słabych i niestabilnych rządów, częstych wyborów i przetarasowań rządowych. Odbije się to siłą rzeczy negatywnie na stosunkach Japonii ze światem. W początkowym okresie może to oznaczać większe wahania, niepewności i brak zdecydowania w politycznych i gospodarczo-handlowych stosunkach Japonii ze swymi partnerami, głównie z USA.

Janusz MONDRY

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z Jackiem Merkle

TERESA TORAŃSKA: — *Jacek, ile już razy prognozowano, że zostaniesz premierem?*

JACEK MERKEL: — Daj spokój!

T.T. — *To ci przypomnę. Pierwszy raz w podziemiu. Marysia Machnikowska z Ewą Piwowar, 5-6 lat temu — nudząc się — wymyśliły skład rządu niepodległej Polski. Ty miałeś być premierem, a Krzysio Bielecki wicepremierem.*

J.M.: — Tak? Nie wiedziałem.

T.T. — *Zapytaj je, chyba jeszcze z nimi rozmawiasz.*

J.M.: — Oczywiście, a dlaczego miałbym z nimi nie rozmawiać?

T.T. — *No wiesz, teraz większość siebie nienawidzi. Potem o tobie, jako kandydacie na premiera powiedział publicznie Wałęsa.*

J.M.: — Jeżeli chcesz wiedzieć dokładnie, to następną osobą był Mazowiecki a nie Wałęsa. W moim przypadku Mazowieckiemu udało się Wałęsę wyprzedzić (śmiech). A zdarzyło się to w czerwcu 1990, konkretnie w Boże Ciało. Rozpoczęła się właśnie „wojna na górze”, środowisko gdańskie wymyśliło, że absolutnie należy doprowadzić do spotkania Wałęsy z Mazowieckim i ja bardzo silnie zaangażowałem się w jego organizowanie.

T.T. — *Wałęsa chciał?*

J.M.: — Szczegóły tych moich zabiegów pamiętam jak przez mgłę, ale na pewno bez jego pozwolenia, gdyby powiedział: nie rób tego, nie załatwaj — to by się żadnego spotkania nie organizowało. Chyba było tak, iż najpierw z kolegami ustaliliśmy, że

— należy, potem przyszedłem na posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności”, albo jakiegoś ciała związkowego, na którym Wałęsa siedział w prezydium, a kiedy się skończyło wymieniliśmy ze sobą kilka zdań i przedstawiłem mu sprawę. Wałęsa nie powiedział: nie. Przystał — tak bym określił, więc zacząłem dzwonić do Woźniakowskiego, albo do Wóycickiego, raczej do Wóycickiego — czysto technicznego człowieka w URM-ie. Już po pierwszej rozmowie wyraźnie wyczułem, że Mazowiecki chciałby, owszem, ale żeby Wałęsa przyjechał do niego do Warszawy jak do premiera; Wałęsa z kolei, o czym wiedziałem wcześniej, wołał Mazowieckiego widzieć w Gdańsku, bo Gdańsk to siedziba przewodniczącego „Solidarności”, a więc rolę grały takie tam małe ambicyjki. Obaj bowiem: i Mazowiecki i Wałęsa, byli strasznie na swoim punkcie przewrażliwieni. Zaproponowałem, żeby spotkali się gdzieś pośrodku — w Toruniu albo w Łańsku. W rozmowie z Wóycickim, pamiętam, chodziło o znalezienie miejsca, które byłoby dla obu stron do zaakceptowania i Toruń jawił się nam jako taka realna możliwość. Akurat coś miało się tam zdarzyć, jakaś uroczystość, nie wiem, czy Mazowiecki się tam wybierał, czy Wałęsie było po drodze, ale pamiętam, że była szansa by niby przypadkowo mogli się tam zetknąć. Tę przypadkowość zresztą można było jakoś zainscenizować, nie problem, bo głównie chodziło przecież o to, żeby dla ludzi z boku wyglądało na spotkanie dwóch niezależnych osób, których działania publiczne zająbiają się akurat w Toruniu.

T.T. — *I co?*

J.M.: — Nic. Nic z tego — oczywiście — nie wyszło i odniosłem wrażenie, że z jednej strony — obu dżentelmenom na takim spotkaniu nie zależało, a z drugiej — otoczenie Mazowieckiego nie wykazało dość determinacji, czy inicjatywy, by do niego doprowadzić nawet wbrew oporowi swego szefa. Z tego, co pamiętam, chyba miałem nawet wówczas pretensję do otoczenia Mazowieckiego, że od początku kulawo załatwiali. Wtedy poprosiłem Mazowieckiego o osobiste spotkanie. Zaproponował mi przyjazd do Lasek pod Warszawą. Było Boże Ciało, Mazowiecki uczestniczył w procesji, która się tam odbywała, czekałem na niego w jednym z domków. Po procesji przyszedł. Zwróciłem mu uwagę na konieczność dogadania się z Wałęsą, zaakceptowania go, zrozumienia. Mazowiecki — wyprzedzając jakby moje argumenty — powiedział: to nie jest tak, że ja jestem premierem dzięki Wałęsie, bo przecież można też powiedzieć, że Wałęsa zaistniał dzięki nam. Okropne spętlenie.

T.T. — *Ale i prawda.*

J.M.: — Jasne, że prawda. I nagle zapytał: a czy ty chciałbyś z telewizji dowiedzieć się, że Polska jest członkiem NATO? (Wałęsa coś wówczas publicznie głosił na ten temat). Nie — odpowiedziałem mu — oczywiście, że nie. Sytuacja nie do pozazdroszczenia, ale Tadeusz (byłem z Mazowieckim „na ty” od strajków 1988 r.) — tłumaczyłem — Wałęsa jest nie do omińnięcia, coś trzeba zrobić. I on zadał mi wtedy pytanie: czy ty chciałbyś być premierem pod prezydentem Wałęsą? Powiedziałem: Tadeusz, przecież znamy Wałęsę, nie o to chodzi. To nie jest tak, że ja ciebie nie rozumiem, że ja nie przyjmuję twoich argumentów, tylko sytuacja wygląda tak, że Wałęsa jest nie do omińnięcia, kilka razy powtórzyłem: nie do omińnięcia.

T.T. — *Nie był rzeczywistością?*

J.M.: — Wiesz, Lech Kaczyński wtedy mówił — bardzo słusznie — że oprócz 100 powodów, dla których Wałęsa musi zostać wybrany prezydentem, jest jeszcze 101-szy, że nie może być nie wybrany. Przeanalizuj sytuację, konkretnie tamtą sytuację.

T.T. — *No właśnie. Miłosz mówił: panie Lechu, pan jest jak Piłsudski, Brzeziński: najlepszy Polak, Jan Paweł II...*

J.M.: — Ja nie, zresztą nie jestem Miłozsem. Za to wiedziałem, że Kazimierza Wielkiego, niestety, u nas nie ma. Rozmowa z Mazowieckim była dla mnie bardzo trudna. Mazowiecki uważał mnie za człowieka Wałęsy, co niewątpliwie było prawdą. Wystąpiłem przecież w roli jego emisariusza, przez to nie mogłem być zupełnie obiektywny, ale mimo tych okoliczności Mazowiecki zaskoczył mnie swoją sztywnością oraz poczuciem siły. Odniosłem wrażenie, że Mazowiecki czuje się pewnie na swoim stanowisku, jest zdecydowany przeciwstawić się Wałęsie, i wierzy, że z nim wygra.

T.T. — *Był przekonany, że ma poparcie Kościoła, właśnie zgodził się na lekcje religii w szkole. Prymas Glemp w Boże Ciało publicznie to oznajmił.*

J.M.: — Nie wiedziałem o tym, nie wiedziałem. Zaskoczył mnie też swoim przekonaniem, nie pamiętam czy zwerbalizowanym, ale wyczuwalnym w tonie i sposobie argumentacji, że to on reprezentuje całą Polskę, a Wałęsa tylko związek „Solidarność”, dlatego pretensje Wałęsy są niczym nieuzasadnione, a długi wdzięczności skasowane. Zupełnie też, zupełnie nie widział potrzeby rozmawiania z Wałęsą. Nie pamiętam czy wyraził to wprost, bo słów nie pamiętam, czy tylko dał mi to do zrozumienia. Przekazuję ci jedynie klimat tej rozmowy, nie konkretne słowa. Mazowiecki powiedział coś w tym stylu, że — ja mogę przy-

jąć Wałęsę w Urzędzie Rady Ministrów, że — ja przywódcę jednego z ważnych związków chętnie przyjmę u siebie w gabinecie, w każdej chwili.

T.T. — *A premierem chciałeś być w końcu, czy nie?*

J.M.: — A po co, Teresiu? Ja chciałem spokojnie pracować. Szczerze mówię. I na to, że wtedy ani nie oczekiwałem, iż będę premierem, ani nie pragnąłem, mam dowód. Latem 1990 Wałęsa zwrócił się do mnie: napisz projekt rządu — powiedział — napisz, jak powinien według ciebie wyglądać skład rządu. I ja wymyśliłem.

T.T. — *Że sobie przydzielasz co?*

J.M.: — Ministerstwo łączności, a Bieleckiemu ministerstwo przemysłu, ale to nieważne, ja wymyśliłem naprawdę dobrą rzecz: premier — Balcerowicz. Wałęsa, jak mu pokazałem listę, aż zachnął się w pierwszej chwili: co ty wymyśliłeś! — rzucił się na mnie. A ja: popatrz, wszyscy cię atakują, nie? że jesteś za populizmem, że inflacja wróci, że rozpieprzysz cały ten tworzący się w bólach układ gospodarczy, a ty twarzą to wytrzymujesz i następnego dnia po wyborach mówisz: Balcerowicz. I wszyscy padają na kolana. Bo działa prosta konstrukcja cepa. Wałęsa się zastanowił i powiedział: wiesz, to jest myśl.

T.T. — *I też nic?*

J.M.: — Nic. Myśl była świetna, ale pod dwoma warunkami: że do końca utrzymana będzie w tajemnicy i że nominacja Balcerowicza na premiera ogłoszona zostanie następnego dnia po wyborach prezydenckich. Wtedy jest dopiero szok, jest Zwanzig, nie? Co tak na mnie patrzysz?

T.T. — *Nie wierzę ci.*

J.M.: — Bo co?

T.T. — *Bo w tym kraju, Jacek, każdy chce być premierem. Chociaż przez jeden miesiąc.*

J.M.: — Teresiu, ja wtedy miałem 36 lat. I ja w ogóle jestem z Torunia.

T.T. — *Jak Bielecki.*

J.M.: — A człowiek z Torunia nadaje się przede wszystkim do roboty. Ja jestem pełnym Pomorzanie, z urodzenia i wychowania. Moja żona też. Z dziada pradziada. A Pomorze to jest

inny świat. Zawsze mówię, że między Toruniem a Gdańskiem jest różnica ilościowa, a między Toruniem a takim Włocławkiem chociażby, który przynależał do Kongresówki, jakościowa.

T. T. — *Na czym polega?*

J. M.: — Wyższa cywilizacja po prostu — miasta inaczej wyglądają, gęstsza sieć kolejowa. Nie ma też bojaźni przed Niemcami, bo u nas na Pomorzu się mówi: Niemcy? A co to za problem? Przecież to sąsiedzi, z którymi różne chwile się przeżywało, różne historyczne sytuacje, mego dziadka rozstrzelali w Piaśnicy, Donald Tusk stracił połowę rodziny w Sztutowie, ale to nie powód, żeby się bać. Bo po co? Inny jest też stosunek do pracy. Widzisz, ja kocham robotę, ja jestem szalony, jeśli chodzi o robotę na zasadzie: zadanie — wykonać.

T. T. — *Każde?*

J. M.: — O czym myślisz?

T. T. — *Bo szybko je dostałeś. Wałęsa zrobił cię szefem swojej kampanii wyborczej.*

J. M.: — Nie, nie każde. Za kogo mnie masz! Ja nie jestem facetem, który kiedykolwiek służył diabelskiej sprawie, i o tym doskonale wiesz. Kiedy Wałęsa poprosił mnie o zajęcie się kampanią, powtórzyłem mu tylko to, co wielokrotnie już mówiłem: podejmę się tego zadania, wykonam je, ale nie dla ciebie, Lechu, tylko dlatego że uważam je za korzystne dla Polski. A potem, kiedy mnie pytano, dlaczego zgodziłem się zostać szefem kampanii wyborczej Wałęsy, odpowiadałem: czego się nie robi dla kolegi ze stoczni! I tak właśnie było. Ja nie mogłem Wałęsie odmówić. Wałęsa był przecież moim kolegą ze stoczni, był przewodniczącym stoczniowej „Solidarności”, to jest ponad 10 lat współpracy.

T. T. — *Która różnie przebiegała, zapomniałeś?*

J. M.: — Różnie, zgadza się, bo czasy były i są trudne, a uprawianie polityki nie jest rzeczą łatwą, ani przyjemną. W polityce zresztą liczy się umiejętność gry i tej mi cholernie brakuje, to moja wada.

T. T. — *To polityka jest dla ciebie grą?*

J. M.: — Jest według mnie jednym z najtrudniejszych zawodów na świecie, bo polityk, dobry polityk, czyli skuteczny, musi być jednocześnie graczem, organizatorem, trybunem ludowym, mediatozem — w zależności od układu i okoliczności.

T. T. — *Aktorem? Jak Papież i Reagan?*

J. M.: — Nigdy aktorem. Ale reżyserem. Tak, reżyserem.

T. T. — *Do roztawiania innych?*

J. M.: — Poczekaj, bo ty chyba mnie nie rozumiesz i wpuszczasz w drugorzędne, taktyczne sprawy. Polityk przede wszystkim musi mieć sumienie, bo musi przez cały czas pamiętać, czemu jego działania służą, jaki jest ich cel.

T. T. — *Ideę?*

J. M.: — Oczywiście, oczywiście. Jeśli polityk dąży do zdobycia władzy, to musi wiedzieć do czego mu ta władza potrzebna, mieć wyobrażenie jak ta Polska powinna być zorganizowana i jak on chce ją zorganizować. Bo inaczej jego działania są puste, uprawia sztukę dla sztuki, czyli kręci się wokół własnego ogona.

T. T. — *Ale idea łączy się z wiarą w słuszność jednej racji.*

J. M.: — Powiedziałbym raczej, że łączy się z pewnym uzależnieniem od tych racji. Są zresztą dwie kategorie polityków: cynicy, dla których władza jest funkcją celu i gotowi są dla jej utrzymania czy osiągnięcia każdą bzdurę powiedzieć, jakkolwiek nieuczciwą metodą się posłużyć; oni często osiągają lepsze wyniki we wszystkich partyjnych grach, są w nich skuteczniejsi, bo nie skrupowani ideologicznymi racjami, a często nawet i etycznymi normami — rozgrywają je na zimno, wykazują większą elastyczność w kompromisach. Drugą kategorią polityków są politycy z sumieniem, do których siebie zaliczam. Ja mam określoną wizję rozwoju Polski (zorganizowania społeczeństwa, sposobów funkcjonowania państwa), głoszę je publicznie, bo nie wyobrażam sobie, bym mógł mówić co innego niż myślę i chcę wraz z moją partią wygrać te i inne wybory po to, by móc naszą koncepcję państwa zrealizować.

T. T. — *Bo uważasz, że jest najlepsza?*

J. M.: — Tak, uważam, że jest dla Polski najkorzystniejsza.

T. T. — *No właśnie problem w tym, że naszych 211 partii też mają najlepszą.*

J. M.: — Dlatego mamy wybory, w których naród wydaje werdykt, którą partię wybiera. Demokracja jest mechanizmem, który poprzez wybory feruje wyroki i — jak mawiał Churchill — ma same wady i jedną zaletę: nikt niczego lepszego nie wymyślił.

T.T. — *W porządku, tylko co zrobić z Parysem, Olszewskim, Kwaśniewskim?*

J.M.: W demokracji przecież jest miejsce dla opozycji. Zadaniem tych, którzy znaleźli się w mniejszości, jest krytykowanie, szukanie dziury w całym, czyhanie na potknięcia partii sprawującej władzę. Opozycja pełni rolę homeostatu, mówiąc językiem cybernetycznym, czyli bezpiecznika. Utrzymywanie tego systemu homeostatycznego oczywiście kosztuje, w sensie materialnym i psychicznym, jest obciążeniem dla rządzącej partii, ale kosztuje mniej niż władza dyktatorska, bo w systemie dyktatorskim, gdy cały aparat państwowy i energia społeczna są podporządkowane realizacji jednej wizji zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że błąd w wyborze drogi rozwoju prowadzi państwo do katastrofy, co już przeżywalimy. Okres prezydenckiej kampanii wspominam bardzo miło. Dobrze wykonana robota. Zebrałem świetnych ludzi, był to jeden z najlepszych zespołów, jaki udało mi się skupić wokół siebie. Ja zresztą lubię pracę w zespole, lubię być wśród ludzi, którzy mają do siebie pełne zaufanie.

T.T. — *W przeciwieństwie do szefa.*

J.M.: — W pracy zespołowej zawsze przyjmuję zasadę, że jeśli deleguję ci jakieś uprawnienia, przydzielam zadanie, a ty popełniasz błąd, to jest mój błąd. Ja ciebie, oczywiście bronie, a jeśli obronić do końca nie potrafię — lecimy wszyscy. Nie uznaję zasady szukania kozła ofiarnego.

T.T. — *Też w przeciwieństwie do szefa.*

J.M.: — Wałęsa lubił powtarzać publicznie: jak będzie sukces to medal dostanę ja, a jak będzie porażka to wy polecicie.

T.T. — *No właśnie, czy naprawdę uważałeś, że ma kwalifikacje na prezydenta?*

J.M.: — Jedyłą kwalifikacją w ustroju demokratycznym jest być wybranym.

T.T. — *Masz rację. Przepraszam.*

J.M.: — Jedyłą — innej nie ma.

T.T. — *Bo pamiętasz, wtedy Wałęsa wykreował nową szkołę rządzenia — wariantami, która mi nie odpowiada. Ty, w grudniu 90r., miałeś być jednym z pięciu kandydatów na premiera.*

J.M.: — Opowiem ci dobrą scenę. 10 grudnia 90, następnego dnia po wygranych wyborach, po tym świętowaniu pół nocy...

T.T. — *w sztabie wyborczym w Gdańsku — muszę być złośliwa — którego byłeś szefem i gdzie powiewały balony i wisiaty transparenty z napisem „wygraliśmy Polskę”.*

J.M.: — Tak nam się wtedy wydawało. Ja liczyłem zresztą — przyznaję się — na jakościową zmianę rządu ze strony Wałęsy. Wydawało mi się, że jak już osiągnie ten największy tytuł, o którym marzył, skupi się na realizacji władzy, którą dostał, zrezygnuje z walki, ze zdobywania kolejnych pól. Ale skończę ci tę scenę, bo śmieszna. Więc rano następnego dnia po wyborach przestał mi działać akumulator w samochodzie. Poleciałem do sklepu, który znajduje się naprzeciwko siedziby „Solidarności”. Wychodzę z tym akumulatorem ciężkim jak diabli i widzę: z samochodu wysiada Wałęsa. Zobaczył mnie i: panie premierze — woła — a co pan tutaj robi? Zezłościł mnie: słuchaj, ty jesteś teraz prezydentem, to już nie wiesz, ale zwykli ludzie muszą sobie jakoś radzić, nie? Wtedy do mnie naprawdę dotarło, że przez noc świat się zmienił. I że Wałęsę już władowano do pancernego samochodu z grubymi szybami.

T.T. — *Zostałeś szefem jego kancelarii na dwa tygodnie, potem szefem Bezpieczeństwa Narodowego — na dwa miesiące...*

J.M.: — Wałęsa lubi mieć wszystkie kamienie luźne. Układa je jak mozaikę w taki układ, inny układ, rozsypuje i znowu układa, a w personaliach jest świetny, nie? Dla niego personalia to sam żywioł. Sądzę, że w ogóle uważa, że rządzenie państwem polega na obsadzie stanowisk. Czas uciekał, a on te kamienie wciąż rozsypywał i składał.

T.T. — *I to mu zostało. A później cię wyrzucił. Oczywiście brutalnie, jak on to potrafi.*

J.M.: — (Śmiech). A w rok później, na jakiejś konferencji prasowej, kiedy znowu trzeba było konstruować rząd i Wałęsa po raz kolejny ogłosił, że ma kilka wariantów, jakiś dziennikarz zapytał, czy myśli także o Merkle. Wałęsa odpowiedział, że on zawsze się ze mną liczył i mnie cenil, ale wcześniej powinniśmy przy pomocy butelki czegoś mocniejszego pewne sprawy sobie wyjaśnić. I dziennik „Nowa Europa” napisał: według naszych informacji Jacek Merkel jest abstynentem (śmiech).

T.T. — *Bo jesteś.*

J.M.: — Rzeczywiście jestem, ale nie o to chodzi.

T.T. — *A o co?*

J.M.: — Że nie ma co wyjaśniać.

T.T. — *Nie ma rzeczywiście.*

J.M.: — Teresiu, znasz mnie?

T.T. — *Znam i dlatego jak doszło do mnie, do Waszyngtonu, że Wałęsa chce zrobić z ciebie agenta, przysłałam ci kartkę.*

J.M.: — Zachowałem ją na pamiątkę. Napisałaś żebym przyjeżdżał, dajesz mi metę.

T.T. — *Nie śmieję się, ale ja jestem strasznie obciążona znajomością PRL-u i wyobraziłam sobie, że znowu zaczyna się czystka, a czystka kojarzy mi się z pustką wokół i z sytuacją, w której każdy chwyt jest dozwolony, aby zniszczyć przeciwnika.*

J.M.: — Dozwolony jest, ale jednak coś się w tej Polsce zmieniło i już nie każdy numer przechodzi.

T.T. — *I pustki wokół ciebie nie było?*

J.M.: — Nie. Od razu zgłosiło się do mnie wielu przyjaciół. W sytuacji dramatycznej, kiedy człowiekowi zdaje się, że jest skreślony, poznaje się przyjaciół. Oczywiście znalazł się cały szereg oślizłych koniunkturalistów, którzy jak zauważyli, że wyleciałem, postanowili dokopać i zademonstrować swoją aktywność na polu rewolucyjnej czujności.

T.T. — *Od takiego właśnie dowiedziałam się o sprawie w Waszyngtonie. Zapytałam go: widziałeś Jacka? rozmawiałeś? Powiedział: nie, bo wiesz, coś tam było.*

J.M.: — Słuchaj, to normalne. Zawsze w takiej chwili znajdują się gorliwcy, którzy natychmiast zaczynają paplać, że oni już dawno podejrzewali, iż jestem agentem KGB, bo — jak pamiętasz — i takie plotki na mój temat się pojawiły, i że oni przyczynili się do zdemaskowania wroga, czyli mnie. Dzisiaj się do mnie uśmiechają i udają, że wszystko jest OK. I jest, bo ja — widzisz — uważam, że każde trudne doświadczenie jest szalenie w życiu potrzebne i w gruncie rzeczy to było darem od Boga. Darem od Boga. Dzięki niemu miałem możliwość sprawdzenia, kto naprawdę jest moim przyjacielem.

T.T. — *I milczałeś.*

J.M.: — A co miałem robić? Kiedy Wałęsa mnie wezwał i powiedział, że dochodzą do niego przeróżne sygnały o mojej niejasnej przeszłości, a było to na kilka dni przed jego wizytą w Stanach Zjednoczonych, dokąd miałem także jechać i zapytał: co ty na to — odpowiedziałem pytaniem: a czego oczekujesz ode

mnie? Ja oczywiście mogę się wałnąć w piersi i ci przysiąc, że mam czyste sumienie, ale jak ktoś się uprze, to w podziemiu było tyle niejasnych spraw, że zawsze jakąś łatkę mi przylepi.

T.T. — *Mielicie jakiś konflikt?*

J.M.: — Konflikty były stale, głównie o kształt Rady Bezpieczeństwa Narodowego, którą ja wyobrażałem sobie na wzór francuski jako instytucję zobowiązującą rząd i prezydenta do współpracy w najważniejszych sprawach państwa, stąd taki a nie inny jej skład zaproponowany przeze mnie: prezydent, minister stanu działający w ramach uprawnień prezydenckich, premier, minister obrony narodowej, minister finansów, minister spraw zagranicznych, minister — szef Urzędu Rady Ministrów, minister spraw wewnętrznych. A na marginesie ci powiem, że to co potem zaczął robić mój następca, Maciek Zalewski, było karykaturą tego pomysłu. No właśnie — powiedział Wałęsa — są dowody. Jakie dowody? — i zażądałem dowodów. Nie było ich. Następnego dnia zadzwoniłem do Wałęsy i zażądałem konfrontacji z oskarżycielami. Nie uzyskałem, więc spakowałem swoje manatki i tego samego dnia wyjechałem do Gdańska. Moi przyjaciele, którzy ze mną przyjechali do Warszawy, także. Oni się nawet trochę ucieszyli, bo oni w ogóle nie chcieli do tej Warszawy jechać. To wcale nie była miła perspektywa: szwendać się po hotelach, w jakichś urzędach, wśród obcych. W Gdańsku wszystko wydawało im się lepsze: lepszy klimat, przyjemniejsze otoczenie, większe pieniądze, prawdziwsi przyjaciele. I jeżeli się zdecydowali, to wyłącznie z lojalności wobec mnie. Więc jak teraz się dziwisz, dlaczego milczałem, to pytam: co — według ciebie — miałem robić? Krzyczeć! Protestować! Gdzie? Tylko Basia, moja żona, płakała.

T.T. — *Kiedy mnie coś takiego spotkało, wiele lat temu, na mniejszą oczywiście skalę, bo było to gadanie tylko środowiskowe, też postanowiłam niczego nie wyjaśniać, nigdzie nie protestować i robić swoje. Na szczęście czekałam krótko, bo tylko trzy lata. Wybuchł stan wojenny i się wyjaśniło.*

J.M.: — Ja krócej. Tylko pół roku. Ogłoszono wybory do sejmu i z otwartą przyłbicą postanowiłem w nich startować. Spotkałem wtedy Michnika i on zapytał, czy będę kandydować. Odpowiedziałem pytaniem: a mam inne wyjście? No nie — powiedział i zdradził mi kilka szczegółów, jak do niego dzwonił — nie powiem kto, do niego, do Geremka, do ks. Jankowskiego, uprzedzając żeby się ze mną nie kontaktowali, bo jestem agent i trzeba na mnie uważać.

T. T. — *Zostałeś posłem i w pół roku później Macierewicz otworzył teczkę. Bales się?*

J. M.: — Nie, absolutnie nie. Po pierwsze: to ja byłem już w pewnym sensie oćwiczony i co miałem przeżyć, wcześniej przeżyłem. Z fałszywymi oskarżeniami, jak z utratą pracy, za pierwszym razem — wali się świat, powstaje wielka czarna dziura, której nie ma czym wypełnić, za drugim razem — człowiek zachowuje się jak rutyniarz, a za trzecim — to jak splunąć. Od czasu kiedy wyszedłem z internowania w 1983 r. pracę traciłem wielokrotnie. Najpierw wyrzucili mnie ze stoczni, potem z Politechniki i najdłuższym moim doświadczeniem zawodowym okazała się praca — bez pracowania — u księdza. Jestem więc pod każdym względem zahartowany — swój tor przeszkód pokonałem zwycięsko. Po drugie: ja naprawdę nie mam czasu zajmować się bzdurami i kiedy sejm uchwalał uchwałę o lustracji, nie byłem obecny na posiedzeniu sejmu, bo ostatnie dwa tygodnie spędziłem na intensywnym organizowaniu zebrania prezesów banków prywatnych, co naprawdę dla Polski jest ważniejsze niż walkowanie przeszłości. A po trzecie: przez to, że byłem tak okropnie zajęty w ogóle do mnie nie dotarło, że szykuje się jakaś awantura. Coś usłyszałem w radio, że Macierewicz ma tam jakiś pomysł dekomunizacyjny, który w każdym postkomunistycznym kraju jest przecież narzędziem walki politycznej, ale prawdę powiedziawszy nie chciało mi się dochodzić, co to konkretnie za pomysł, nie chciało mi się tej cebuli rozbierać, zastanawiać — po co? dlaczego? — bo mnie na to szkoda czasu, Teresa, szkoda czasu. Spotkanie prezesów było wyznaczona na godz. 9-tą, właśnie 4 czerwca. Rano jest telefon od Donalda. Tusk, jako przewodniczący klubu parlamentarnego, prosi mnie o natychmiastowy przyjazd do Warszawy, obecność w sejmie obowiązkowa. Więc ja szybko do banku, otworzyłem posiedzenie, pobylem ze dwie godziny i w samochód. W Warszawie zjawiłem się między 5 a 6 po południu. Kamienne twarze. Pytam: co się stało? Donald mówi: wyciągnęli teczkę, trzasnęli w trzech od nas, co robimy? Jak to co robimy, atakujemy! Tusk mówi: wiesz, jedyne co można zrobić, to obalić ten rząd.

T. T. — *Przepraszam cię, a może Macierewicz rzeczywiście ujawnił agentów?*

J. M.: — Od udowadniania jest prokurator, sąd, obowiązuje jakaś procedura prawna, a nie listy, o których kształcie decyduje minister spraw wewnętrznych i które z daleka pachną manipulacją, bo są dwie, nie jedna: lista A z kilkudziesięcioma nazwiskami, lista B z kilkoma. Skrajna głupota, skrajna głupota.

T. T. — *Ciebie na nich nie było.*

J. M.: — To nieważne. Na liście B był prezydent i marszałek sejmu i ten fakt z punktu widzenia interesów państwa dla mnie nie był już głupotą — był zbrodnią. Zdumiało mnie, że Olszewski zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, iż rząd jest powoływany i odwoływany przez parlament, pochodzi z tego parlamentu, jakby w ogóle nie czytał konstytucji. On wobec sejmu wykazywał zupełnie dla mnie prześmieszłą agresję. On tu jest namaszczonej przez Boga, a my to dziwna zbieranina, która nie mając żadnej odpowiedzialności za państwo, rozgrywa sobie jakieś partykularne interesy. Jak się ma taką filozofię, to rzeczywiście można potem nie rozumieć, dlaczego przestało się być premierem. Nie ma sprawy — powiedziałem do Tuska — obalamy rząd. Scenariusz rozpisaliśmy na role, jak to w parlamencie się robi, że ten pogada z tym, tamten z owym, siamty z owamtym, jeden wysonduje nastroje w jednym klubie, drugi — w innym...

T. T. — *I rząd się obaliło, nie? Trzeci w ciągu trzech lat.*

J. M.: — Donald Tusk to wymyślił. Bardzo zręcznie.

T. T. — *Bo chciałeś?*

J. M.: — Szczerze? Wszelkie gadanie o stanowisku dla mnie w Warszawie to jak czarny sen dla mojej rodziny, a dla mojej żony — kataklizm. Ja sobie postanowiłem: ja mieszkam w Gdańsku. W Warszawie mogę koczować od kreski do kreski, ale mój dom jest w Gdańsku, kropka. Prawdziwy dom, w którym czuję się świetnie, z za długów mnie nie widać, co normalne, ale każda córka ma pokój, każda z trzech córek ma w nim własny pokój.

T. T. — *Znaczy zgodzili się?*

J. M.: — Ale pamiętasz w jakiej sytuacji? Obalony jest rząd Olszewskiego, Pawlak zostaje premierem bez szans na sformowanie rządu i trzeba szybko zaproponować nowego kandydata. Przy czym, oczywiście dla wszystkich było, że kandydatem na premiera nie może być ktoś, kto jest liderem jakiegokolwiek partii. Proste, jak konstrukcja cepa, nie? i się nie pouklada.

T. T. — *Nie rozumiem, tego cepa nie rozumiem.*

J. M.: — Proste. Gdyby w wyborach parlamentarnych jakaś partia zdobyła 35% mandatów, nie wspominając już o 51%, to oczywiście jej lider byłby naturalnym kandydatem na premiera, ale jeżeli największa uzyskała w wyborach 12%, to rząd musi

być koalicyjny, a jeżeli koalicyjny, to kandydatury na premiera nie należy szukać we władzach żadnej z partii, bo każda zantagonizuje kontrahentów, ale trzeba znaleźć osobę z drugiej, trzeciej linii, która będzie do zaakceptowania przez wszystkich. Czyli najpierw potrzebny jest człowiek, spełniający kryteria polityczne.

T. T. — *Jakie?*

J. M.: — Najważniejszym kryterium jest akceptacja przez 51 % posłów, nie? Czyli musi być to człowiek do zaakceptowania.

T. T. — *Czyli z nikim nie skonfliktowany?*

J. M.: — No właśnie. Do przelknięcia. Do przelknięcia dla większości. I Donald wpadł na pomysł, że ja właśnie jestem taką osobą. Do tego mam dobry życiorys, dobre korzenie, bo w „Solidarności” od początku, potem internowanie, przez cały czas w podziemiu. Pomysł spodobał mi się, dobra, wyważona kandydatura. Rzeczywiście pasowałem do tego układu. Ale jak padło nazwisko Suchockiej, dla mnie było oczywiste, że Suchocka znacznie lepiej pasuje do układu, z wielu powodów.

T. T. — *Bo kobieta?*

J. M.: — Z wielu. Powodem zasadniczym było to, że ja będę politycznie bardziej aktywny, miałem wyższy poziom minusów niż ona, bo przeżyłem parę konfliktów z różnymi ludźmi i oni mogliby wnosić jakieś zastrzeżenia, lub kręcić nosem, czego w przypadku Suchockiej praktycznie nie było. Jej zaangażowanie parlamentarne ograniczyło się tylko do pracy przy tworzeniu ustaw, gdzie człowiek z natury rzeczy się mniej naraża. Nawiasem mówiąc, moi koledzy w klubie parlamentarnym w ogóle nie mogli tego mechanizmu zrozumieć i jak się dowiedzieli, że premierem będzie Suchocka a nie Merkel zapanowała pełna frustracja i podniósł się krzyk, że nasi negocjatorzy znowu źle walczyli, znowu zepsuli robotę, bo oni przecież ustalili, że ma być Merkel. Musiałem im tłumaczyć: panowie, spokojnie panowie, my w wyborach uzyskaliśmy 8 %, a nie 51 %, które są wymagane by decydować o stanowisku premiera, więc nam naprawdę nie wypada się obrażać. Bo w parlamencie, jak w grze w piłkę nożną, liczy się wynik.

T. T. — *A kwalifikacje, Jacek? Kwalifikacje się nie liczą?*

J. M.: — Na drugim planie. Na drugim planie. Najpierw kryteria polityczne, a potem dopiero menedżerskie. Dlatego w kontekście dwóch osób — Merkel-Suchocka — Suchocka pasowała

znacznie lepiej do tego układu niż ja. Tak jak z trójki: Mazowiecki-Kuroń-Geremek, Mazowiecki był kandydaturą idealną. W tamtym czasie, podkreślam, bo żaden układ nie jest wieczny i po pewnym czasie się wyczerpuje. Potem Mazowieckiego zastąpił Bielecki — też nieznany, a później Olszewski, nie żaden sztandarowy polityk, ale też człowiek z drugiej linii, wynaleziony — nota bene — przez Jarka Kaczyńskiego, który — trzeba mu oddać — ma niezwykłą umiejętność w montowaniu różnych układów. Nie oceniam, co to było warte, ale mówię o skuteczności jego poczynąń.

T. T. — *Ale czy ciebie to nie niszczy? Ta pozycja permanentnego kandydata?*

J. M.: — Ja ci powiem tak. Jest to stresogenne, ale nie oznacza, że nie można wytrzymać.

T. T. — *Olszewski, Romaszewski, odnoszę wrażenie, nie wytrzymali.*

J. M.: — No dobrze, ale pamiętaj że ja mam 39 lat, a oni dużo więcej. Ja mam tę swobodę, że ja nie muszę się spieszyć. Ja spokojnie mogę jeszcze się uczyć i uczyć. Reagan został prezydentem mając 69 lat, Adenauer też był stary. Ja mam jeszcze czas, rozumiesz!

Rozmawiała *Teresa TORAŃSKA*

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Znów trzeba wybierać

1. Przed kilku tygodniami zwróciła się do mnie *Gazeta Wyborcza* z prośbą o wyrażenie opinii, jakiego bym sobie życzył wyniku wyborów jako, moim zdaniem, najlepszego z możliwych. Z odpowiedzi nie skorzystano, co mnie nie zaskoczyło. Ogłosiłem ją w nowo powstałym offsetowym piśmie Unii Pracy *Nowa Lewica* i od niej pozwolę sobie zacząć tę korespondencję. Koronnym argumentem partii aktualnej koalicji pozostaje bowiem twierdzenie, jakoby nie było w Polsce innego programu i innej koalicji, jeśli nie ma upaść albo gospodarka albo demokracja, a najlepiej obie razem.

Oto więc ta opinia:

„Zwolennicy eks-wicepremiera Balcerowicza są zdania, że demokracja w Polsce zagraża polityce reform. Myślę, że to taka polityka reform zagraża demokracji: nie może rządzić się demokratycznie kraj, który jedną trzecią swych obywateli uważa za ludzi mniej czy bardziej zbędnych*. Zagrożenie dla demokracji wyraża się, przy okazji wyborów, na rozmaite sposoby i żaden segment skali politycznej nie jest wolny od zarazy. Zwolennicy triumfalnego powrotu komuny i wyznawcy zbawienia w wodzu, narodowcy i teokraci — wszyscy oni to właśnie mają wspólnego: odrzucając demokrację czerpią argumenty i energię z sytuacji stworzonych przez rządy demokratów.

W wyborach 19 września demokracja może ocaleć, jeśli sukces odniosą w nich ugrupowania i skrzydła ugrupowań gotowe jej bronić, ale zarazem poddać politykę reform takiej

* Rachunek jest prosty, jeśli do wszystkich bezrobotnych dodać i tych, którzy „powinni” być bezrobotnymi, jako pracownicy sektorów do likwidacji.

rewizji, by przestała ona być pokarmem dla przeciwników demokracji: Unia Pracy, PSL, społecznie wrażliwe skrzydło Unii Demokratycznej i te formacje chrześcijańskie, dla których nauka kościoła nie jest pustą kazuistyką. Wtedy możliwe byłoby skonstruowanie wokół tego trzonu rozsądnej większości”.

W końcu lipca znane były wyniki dwóch sondaży, Demoskopu (15-21 lipca) i Pracowni Badań Społecznych (24-25 lipca). Nie są one całkiem porównywalne wskutek różnic metodycznych, niemniej dają rezultaty zbliżone, z pięcioma istotnymi różnicami.

PBS Deklaruje udział w głosowaniu w %: Demoskop

61 63

z tego zamierza głosować na:

16	SLD*	11
14	UD*	21
13	PSL	14
10	BBWR*	7
7	KPN	7
7	NSZZ„S”	6
6	UP*	10
5	KLD	4
3	ZChN	4
3	Samoobronę	2
2	PL	2
1	UPR	3
2	RdR	1
1	PC*	5
10	inne	3

* — oznacza znaczną różnicę.

Jak widać, każdy z sondaży przewiduje, że tylko 8 ugrupowań przekroczy próg 5% i będzie uczestniczyć w podziale mandatów. (Jest ostatecznie 15 list ogólnokrajowych). Nie zmienia tego wyniku fakt nie uwzględniony jeszcze przez badających, że różne „płatki” z rubryki „inne” dołączyły tymczasem do większych ugrupowań: np. PC z Ruchem III RP Parysa stało się Zjednoczeniem Polskim, ZChN z Konwencją Polską — Katolickim Komitetem Wyborczym, RdR przyłączył b. paxowców, Akcję Polską Macierewicza i Partię Wolności Morawieckiego i jest teraz Koalicją dla Rzeczypospolitej, Solidarność „80” stowarzyszyła

się z PSL, z nicości powróciła też Partia „X”. Chyba jedynie dwie z tych zmian spowodują istotniejsze retusze: Solidarność „80” jest dla PSL poważnym wzmocnieniem w przemysłowych okręgach Śląska, Wałbrzycha i Szczecina, a ekspaxowcy ze swoim zapleczem finansowym i organizacyjnym są ostatnią deską ratunku dla Olszewskiego i Macierewicza: gdyby np. nie ich transport, Koalicja dla Rzeczypospolitej nie zdążyłaby się 10 sierpnia zarejestrować.

Czy w świetle tych sondażowych zapowiedzi „najlepszy z możliwych” rezultat wyborów jest jeszcze... możliwy? Jakie znaki zapytania wypada odnotować?

2. Postulowana przeze mnie koalicja wymagałaby:

Po pierwsze — dobrze, a nawet bardzo dobrego wyniku Unii Pracy. Ta w zamierzeniu nowa polska socjaldemokracja musiałaby się stać pierwszorzędnym podmiotem politycznym i parlamentarnym — a nie tylko przedrzeć się do sejmku przez pięcioprocentową barierę — ponieważ tylko wówczas proponowana nowa koalicja byłaby dostatecznie wiarygodna i kusząca dla pozostałych partnerów (wynik Demoskopu 21 % UD, 14 % — PSL i 10 % — UP dawałby tym trzem partiom ok. 250-255 mandatów a więc komfortową większość). Ponadto, a na dalszą metę ten właśnie efekt byłby najdonioślejszy, wyłonienie się takiej wiarygodnej politycznie socjaldemokracji pohamowałoby i odwróciło niebezpieczny aktualny dryf w ruchu związkowym ku skrajnościom prawym i lewym.

Po drugie — nie nazbyt dobrego wyniku SLD, gdyż zdecydowany sukces tego ugrupowania da w nim przewagę nurtowi swoistego rewanżyzmu. Według Janka Rokity, z którym rzadko się ostatnio zgadzam, tym więc chętniej go zacytuję, głównym niebezpieczeństwem byłoby wyłonienie się zza pleców Aleksandra Kwaśniewskiego towarzysza Szma-ciaka.

Po trzecie — kłęski KLD. To niewielkie ugrupowanie, wydobyte niegdyś z nicości przez Wałęsę, stało się ideowym centrum obecnej koalicji, przynajmniej w dziedzinie społecznej i gospodarczej. W szczególności jego wpływ na Unię Demokratyczną sprawił, że w politycznym kierownictwie tej partii zupełnie zmarginalizowane zostały myślenie społeczne i społeczna wrażliwość, zarówno w wersji laickiej Jacka Kuronia, jak chrześcijańskiej Tadeusza Mazowieckiego. W rezultacie wszystko, co pozostaje obecnie ze społecznego etosu Unii Demokratycznej, to tzw. paktu społeczne, sprowadzone do chwytu socjotechnicznego wedle nieśmiertelnego wzoru z

„Rewizora”: robotnicy, nauczyciele, służba zdrowia mają się, jak żona podoficera, sami wytłuc po tyłku. Nic dziwnego, że liberałowie inteligentni jak Jan Krzysztof Bielecki popierają dziś z całego serca te pomysły Jacka Kuronia; warczą tylko tacy ortodoksi jak Janusz Korwin Mikke, który głównym punktem programu Unii Polityki Realnej uczynił zaprowadzenie w Polsce „ustawodawstwa amerykańskiego z początków stulecia” (chodzi oczywiście o prawa antyzwiązkowe). Właśnie w rezultacie współpracy z liberałami Unia Demokratyczna odcięła się samochcąc od wszelkiego wpływu na Solidarność, pozostawiając nieszczęsny związek na pastwę demonom prawicy.

Na szczęście, przedwyborcza *hybris* oświadczyła umysłami liberałów, którzy postanowili wystąpić z programem typu „przodem do przodu”: jedyny w ciągu 4 lat istotny błąd, do którego np. przyznaje się Jan Krzysztof Bielecki, to poluzowanie przez Balcerowicza rygorów w lipcu 1990 (opuścił wtedy ministerstwo finansów wicepremier Marek Dąbrowski, w porównaniu z którym pani Thatcher może robić za Różę Luksemburg). Innymi słowy, liberałowie chcieli programu „to samo, tylko więcej”, na co Unia Demokratyczna nie mogła sobie pozwolić. Nie doszło do koalicji, dzięki czemu przynajmniej nie przekreślono możliwości dalszej ewolucji UD. To ważne bowiem

Po czwarte, kolejnym warunkiem jest, by wyborcy nie zadali Unii Demokratycznej kłęski, ale przesunęli swymi „krzyżykami” na karcie wyborczej skład klubu parlamentarnego UD. Jest to, stwierdzmy od razu, warunek najbardziej problematyczny, chociażby dlatego, że tzw. lewica UD nie jest wcale takim lewym skrzydłem, o które tu chodzi, skłócona jest z klerykałami, nie zaś z liberałami. Mimo wszystko, kłęska KLD i parę spektakularnych porażek — choćby tylko prestiżowych — w kierowniczej ekipie UD, może zmusić tę partię do namysłu.

Po piąte, nie wygląda wprawdzie na to, by udało się pozyskać spośród ugrupowań katolickich jakąś formację „socjalną”, ale w perspektywie nie jest to wykluczone. Jeżeli potwierdzą się choćby częściowo, fatalne dla ugrupowań katolickich wyniki sondaży, episkopat będzie musiał zrewidować swoją dotychczasową politykę całej stawki na prawicę. Nie będzie to łatwe, gdyż w episkopacie polskim nie widać dosłownie ani jednego biskupa, który by umiał rozmawiać z lewicą i związkami zawodowymi inaczej niż na pielgrzymkach. Szczególnie natrętna aktywność przedwyborcza nuncju-

sza Kowalczyka, u którego spotykali się Kaczyński z Olszewskim, oraz abp. Gocłowski, który zmontował Katolicki Komitet Wyborczy, a próbował nawet zorganizować rodzaj „paktu wyborczego” całej koalicji rządowej z BBWR, dowodzą, że dostępne biskupom idee nie sięgają poza tradycyjne wzory endeckie i chadeckie. Konkordat narzucony przez Watykan w najgorszym dla koalicji momencie dowodzi ponadto, że Kościół stracił wiele ze swego poczucia rzeczywistości polskiej.

Z tym wszystkim nie zanosi się by w nadchodzących wyborach ingerencje kościelne miały zaważyć w istotniejszy sposób na szalach.

Po szóste wreszcie, warunkiem powodzenia koncepcji „najlepszy z możliwych” jest, aby nie powiodło się zbyt dobrze BBWR, który zapowiada się na siłę mającą zapewnić prezydentowi i jego otoczeniu zapanowanie nad parlamentem i całkowitą dyspozycyjność rządu, czego przedsmak daje dziś MSW. Jeśliby BBWR uzyskał pozycję pozwalającą mu zdecydować o kształcie przyszłej koalicji rządowej (tzn. pozycję, o której roił po poprzednich wyborach KPN), wówczas wszelkie inne względy musiałyby ustąpić wobec konieczności walki o ratowanie demokracji. I można się obawiać, że bardzo wielu jej wyznawców przystosowałoby się raczej do obroży. Pisząc w *Kulturze* (5/93), że skończyły się możliwości pozytywnego działania Wałęsy jako prezydenta, nie sądziłem, iż wydarzenia tak szybko przyznają mi rację. Sukces BBWR groziłby destrukcją demokracji parlamentarnej w Polsce.

3. Problemem politycznym w Polsce nie jest dziś czy kontynuować reformę gospodarki, ani tym bardziej jakakolwiek recydywa. (Przewodniczący komitetu wyborczego KLD, Jacek Merkel, oświadczył nawet, że SLD choć atakuje liberałów, to kopiuje ich program...). Problemem jest, jak ją kontynuować, aby zmniejszyć i sprawiedliwiej rozłożyć koszty społeczne. Oczywiście, systemy gospodarcze, do których prowadzi ostatecznie jedna i druga strategia nie będą tożsame.

Obserwator z zewnątrz, który by zajął się wyłącznie lekturą dokumentów programowych — mowa o ugrupowaniach poważnych — odniósłby wrażenie, że skala polityczna jest ciągła, a różnice są ilościowe raczej, jak z owym sakramentalnym deficytem budżetowym, pięć procent PNB, czy może sześć, lub siedem. Ten sam obserwator, gdy zjeździe pomiędzy ludzi, przekona się ze zdumieniem, że w Polsce w cztery lata po zwycięstwie Solidarności funkcjonują dwie całkowicie różne i nieraz sprzeczne optyki społeczne, sposoby

widzenia, odczuwania i wartościowania rzeczywistości społecznej.

Nie chodzi mi tu o banalne „szklanka na wpół pusta, szklanka na wpół pełna” z okazji kampanii wyborczej, choć wypada przyznać, że w ostatnich miesiącach rząd przeszedł sam siebie. W szczególności, comiesięczne wahania zapasów, a w okresie przed wprowadzeniem podatku od wartości dodanej bardzo wiele produkowano i kupowano na skład, chętnie ogłaszano definitywnym wyjściem z recesji.

Znacznie istotniejsza jest dwoistość w ocenie takich zjawisk jak bezrobocie. Spotyka się bardzo wielu ludzi — nie mówiąc już o dziennikarzach — którzy głoszą szczerze, że z tym bezrobociem to przesada, bo ich ciocia nie może znaleźć „kobiety do sprzątania”, a tamten przedsiębiorca budowlany nikogo do układania cegieł. Dopiero po dłuższej rozmowie można się zorientować, że nasi informatorzy już instynktownie chcą widzieć w bezrobotnym istotę spod progu wszelkiej możliwości wyboru, absolutnie dyspozycyjną, wobec tego wszelki opór uznają za nadużywanie tytułu do zasiłku.

Leszek Balcerowicz oświadczył kiedyś (w wykładzie inauguracyjnym w SGH, 30 września 1992), że:

„W budowie demokracji, przynajmniej w naszej części Europy, można, jak sądzę, rozróżnić już w tej chwili dwie fazy, okres polityki nadzwyczajnej i okres polityki normalnej. Okres polityki nadzwyczajnej, to jest taki czas, gdy partie polityczne jeszcze nie okrzepły, albo nie całkiem okrzepły, gdy występuje skłonność do myślenia kategoriami całości w większym jeszcze stopniu niż kategoriami wąskich interesów partyjnych i gdy jeszcze zachowały się struktury, które powstały wcześniej po to, aby wywalczyć wolność (...) Z punktu widzenia realizacji zmian w gospodarce, okres nadzwyczajny powinien trwać możliwie długo, jego skracanie jest szkodliwe”.

Balcerowicz miał oczywiście sporo racji. Ale wiadomo również, że najpierw cały obóz prawicy — z Olszewskim, Hallem itd — a zaraz potem Wałęsa ze swoimi liberałami zrobili, co mogli, aby „okres nadzwyczajny” skrócić, rozbijając Solidarność i redukując ją do roli związku zawodowego, któremu dzisiaj zarzucają wąskość perspektyw. Ale i to nie jest cała prawda: „okresu nadzwyczajnego” nie wystarczy nie skraćć, trzeba go podtrzymywać staranną dbałością o wytrzymałość materii społecznej i ludzkie poczucie sprawiedliwości. W okresie nadzwyczajnym trzeba powściągać egoizmy grupowe...

Słusznie! Ale przecież najpierw egoizm tych, którzy go mają najwięcej... Postępowano dokładnie odwrotnie.

86% Polaków (sondaż OBOP z 2-4 maja br.) sądzi, że korupcja w Polsce występuje często lub bardzo często. Ze szczególną siłą generuje ją prywatyzacja: od wielu już miesięcy nie ma dnia, by nie wychodziły na jaw coraz nowe skandale i mimo to Ministerstwo Przekształceń Własnościowych, a za nim cały rząd z niezachwianym spokojem kontynuują tę samą grę. Coraz więcej ludzi orientuje się już teraz, że rozkradanie majątku narodowego, jakim stała się prywatyzacja w Polsce, nie jest skutkiem indywidualnego złodziejstwa. Odwrotnie, to prywatyzacja przyciąga amatorów łatwego zysku równie naturalnie jak otwarta na rozcież kasa, ponieważ owo rozkradanie jest najwyczajniej elementem planowej polityki. Jeśli ktoś w kraju, gdzie zakumulowanego kapitału jest bardzo mało, proklamuje jak najszybszą prywatyzację, to nie może to nie być prywatyzacja za bezcen! Zresztą, ta prywatyzacja obrosła już w całą „literaturę” teoretyczną, z której dowiadujemy się, że fabrykę bankrutującą „opłaca się” oddać za symboliczną złotówkę. A dlaczego nie załódze? Ano, bo załoga nie ma pieniędzy na inwestycje: fabrykę za darmo dostaje ten, który już ma pieniądze („któren ma, temu będzie dodane”...). To też zresztą tylko teoria: cwaniak, który bierze fabrykę, ma najczęściej więcej długów niż kapitału, dzięki zaś nowemu nabytkowi dostanie dodatkowy kredyt pod zastaw... I tak dalej. U socjologów ze szkoły liberalnej nazywa się to kreacją klasy średniej*.

Dwoje naukowców z Instytutu Rozwoju Gospodarczego SGH, którzy prowadzą od początku 1990 ciekawie badania kondycji gospodarstw domowych, konstatuje w ostatniej publikacji (Katarzyna Duczkowska-Małysz i Jerzy Małysz: Kondycja polskich gospodarstw domowych w drugim kwartale 1993 r. IRGSGH), że spadek dochodów średnich trwa, w szczególności obniża się poziom wyżywienia. W rodzinach uboższych wydatki na żywność już nie są priorytetowe, są funkcją tego, co zostaje po zapłaceniu „kosztów stałych” (czynsze, rachunki, bilety miesięczne). Zarazem badacze konstatują już w roku bieżącym wydatne postępy w różnicowaniu dochodów.

* Miło mi przy okazji poinformować, że jeden z tych socjologów, Krzysztof Nowak, którego tekst referowałem bardzo polemicznie w *Kulturze* (6/93), został właśnie rzecznikiem prasowym rządu pani Suchockiej. Co to znaczy mieć nosa!

Z kolei Wojewódzki Urząd Statystyczny w Warszawie zbadał w 1993 300 gospodarstw domowych w stolicy i okolicach (157 pracowników najemnych, 113 emerytów i rencistów, 10 chłopów i chłopo-robotników, 20 pracujących na własny rachunek). Wyniki w rejonie, który przecież należy do uprzywilejowanych, są dość zatrważające: co piątej rodzinie starcza tylko na najtańsze jedzenie i ubranie, następnej jednej szóstej już tylko na jedzenie, a co pięćdziesiątej nawet na ochłapy nie starcza. 56% badanych nie liczy na żadną poprawę warunków życia w najbliższych 2-3 latach, 35% odpowiada „nie wiem” a w poprawę wierzy zaledwie 9%. A do tego jeszcze badanie (Pracownia Badań Społecznych, grudzień 1992), ile pieniędzy mają w porównaniu z czasami PRL polskie rodziny w ogóle i zwolennicy różnych partii. Więcej ma, ich własnym zdaniem, 20% respondentów, mniej — 71%. Mniej pieniędzy niż za PRL ma 80% zwolenników SLD, 74% — PSL, 69% — ZChN, 63% — KPN i 57% — UD. Tylko zwolennikom KLD powodzi się lepiej niż za PRL: 51% ma więcej pieniędzy, a tylko 37% mniej. I co tu się dziwić, że liberałowie postanowili prowadzić kampanię optymistyczną i przebojową, z majoretkami i puzonami.

Z prasy ostatnich tygodni wyłowilem dwa cytaty, które, moim zdaniem, ilustrują najlepiej ową radykalną już dziś dwoistość optyki społecznej u ludzi. Oba dotyczą skutków prywatyzacji.

Korespondentowi *Gazety Wyborczej* (10.VIII) w Gorzowie jeden z robotników wyjaśnia, dlaczego tamtejsza załoga pragnie ponownego połączenia się z państwowym Ursusem, nie zaś wydania w ręce Sobiesława Zasady, który chciałby montować Mercedesy:

„Dopóki mnie raz nie zwolnili, czułem się jak właściciel tego zakładu. A teraz wiem, że każdy mnie stąd może szurnąć!”.

Korespondent *Polityki* (7.VIII) rozmawiał z Henrykiem Świerczyńskim z Wałbrzycha, piekarzem, właścicielem giełdy towarowej i wreszcie nabywcą, wraz z Wiesławem Kułakowskim, lekarzem z przychodni przyzakładowej, wałbrzyskiej „Porcelany”, gdzie załoga strajkuje, domagając się przede wszystkim unieważnienia transakcji sprzedaży fabryki. Powód: dziesięciokrotne, zdaniem załogi, zaniżenie ceny. Właścicielei związek zawodowy „S” oskarża ponadto o upokarzanie pracowników i wysysanie z zakładów pieniędzy pod pretekstem tantiem za zasiadanie w radzie nadzorczej (pano-

wie płacili sobie i żonom 37 tys. dolarów miesięcznie, obchodząc w ten sposób zobowiązanie umowne reinwestowania dywidend). Mówi piekarz kapitalista:

„Społeczny protest kończy się dla mnie tam, gdzie zaczyna prywatna własność”.

W wyborach 19 września obywatele będą odpowiadać na wiele trudnych pytań. Czy przyznajesz rację Henrykowi Świerczyńskiemu z Wałbrzycha, jest jednym z nich. Nie najmniej ważnym.

Warszawa, 12 sierpnia

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

W tyłu mieszkaniach niegdyś mi bliskich ludzi gnieździ się już inne życie, a nowi właściciele o twarzach nabrzmiałych od obcości wypatroszają wnętrza, by zaznaczyć je na swój sposób, ci z parteru okratowują okna, cały parter dzisiaj w Polsce chowa się za kratami w obawie przed gwałtem, ci zamożniejsi wstawiają drugie drzwi a ściany objijają boazerią.

Ale najbardziej poruszający spektakl czyni czas z kształtem ludzi, deformuje ich, rozpuszcza w sobie. Jestem w wieku kiedy moje pokolenie podlega zasadniczej zmianie, kiedy zacierane są ślady młodości, i jak korzenie drzew na ścieżkach wychodzą na wierzch pierwsze nabrzmienia zbliżającej się starości. Jest taki okres kilku lat, kiedy wahadło wychyla się w jedną stronę i już nie wraca. Oczywiście najbardziej dramatycznie dotyka to niegdyś ładne dziewczęta, tu czasami monstrum czasu czyni prawdziwy gwałt na płatkach kwiatu. Przy tym co się rodzi z tego wymuszonego związku, czymże jest cała gorycz naszej wolności, branie się za czuby naszych polityków — jest niczym. Choroby serca zaczynają spłacać swój czarny warkocz z chorobami nowotworowymi na plecach idących przed nami. Przyjaźń okrywa swoją łodygę korą i sztywnieje, miłość nie ma już liści.

Wieczorem na Wawelu zamkniętym na cztery spusty, ale

nie dla mnie. Dopiero w tym zamkniętym półmroku Wawel już bez zapachu potu, perfum i dezodorantów współczesności ujawnia swój wiek, jak oceaniczny okręt nagle wzniesiony przez falę pokazuje swój wewnętrzny kadłub pełen grudek soli i zastygłych skorupiaków. Tu się czuje powagę losu tego kraju, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Również mimo wbrew głupocie i wrzaskom naszych dzisiejszych małych nacjonalistów, którzy zbyt są hałaśliwi, by mogli usłyszeć skąd są naprawdę. Niewiele mądrzejsi wydawali mi się kibice klubu piłkarskiego Legia, gdy w Warszawie na moich oczach, i niestety też uszach, demonstrowali przed siedzibą władz Polskiej Piłki Nożnej, które to władze deliberowały, czy z powodu dopingu i kupionego meczu, nie odebrać Legii świeżego tytułu mistrza Polski. Kibice piłkarscy wydają się znakomitym materiałem do badania nacjonalizmów i stereotypów narodowych, jak pewne owady i pierwotniaki, dzięki prostocie narządów i funkcji, oraz łatwości hodowli. Czy nie można by zbudować nowych organizmów państwowych wokół klubów piłkarskich, utrzymywanych przy życiu i animowanych do wysiłku, gdy zbliżać się będzie kolejny mecz. Powstałaby zapewne cywilizacja szalikowo skurczowa, gdzie muzea są pełne skórzanych piłek, a prace naukowe rozważają detale dryblingu i rzutów wolnych.

Na Wawelu pociemniałem od zmierzchu, ale też od upływu czasu jak obrazy Rembrandta, a rozłożonym nagle łuską dachówki z kaplicy zygmuntońskiej, patrzyłem na panoramę Krakowa, z kopcem Kościuszki, na który już nie umiem patrzeć inaczej jak poprzez obrazy Wyspiańskiego. I aż mnie boli ten widok z wawelskiego wzgórza, bo moja pamięć wie, że malował go z zupełnie innego miejsca. Tak boli mnie chwilami cały Kraków widziany oczyma naszej poezji i malarstwa, a nie przylegający do współczesnego. Na dole ślimaczy się Wisła i jest wejście do Smoczej Jamy. I jakby to było wczoraj, boli mnie rozpacz mojego dziecięcego organizmu, bo kiedy małym dzieckiem zwiedzałem zamek, Smocza Jama była zamknięta. Tyle rzeczy stało się po drodze i wszystkie zdruzgotane w pył, a ta rozpacz ocalała prawie nietknięta. Dzisiaj już wiem, że wszystkie prawdziwe smoki są niewidzialne, a widać jedynie te które udają.

Ten pogrążony w ciszy Wawel ujawniał ze swego wnętrza, jak z brzucha leżącego cyklopa niespodziewane dźwięki, które były brzęczeniem telefonów w mieszkaniach personelu. Jak niezwykłym zdarzeniem w historii ludzkości jest telefon, co słycać dopiero na tle skamieniałej przeszłości. Telefon

tak się zadomowił w naszym życiu — mimo wielkich polskich w tej dziedzinie zaniedbań — że fakt, iż dzwonić do nas nie mogą nasi zmarli i my do nich, wydaje się przede wszystkim jakimś defektem technicznym. Pewnie dlatego po śmierci znajomych ze swego notesu, nie potrafię skreślić ich numeru telefonu, bo czuję, że dopiero wtedy skazuję ich na niebyt ostateczny. A książki telefoniczne, w których mieszczą się miasta żywych, które stały się miastami zmarłych, są jak skamieniałe mrowisko, gdzie każdy owad zastygł niezmienny. Kiedyś ze szczerym wzruszeniem oglądałem książkę telefoniczną Warszawy lat 30, gdzie zastygły numery telefonów do tych wszystkich, których nie ma, a którzy zostali w naszej zbiorowej pamięci.

Przez lata żyłem bez telefonu, jak z głuchym i durnym sublokatorom. I pomyśleć, że miliony ludzi nadal w Polsce jest na to skazanych, jakby w ciągu czterech lat tego problemu nie można było rozwiązać, jeden z dowodów na liczne nieudolności nowej władzy. Pamiętam jak brak telefonu napędzał moją nienawiść do komunizmu i nie dawał jej ani na chwilę usnąć.

Doprowadzony do ostateczności udałem się do dzielnicowego urzędu telefonicznego. Miałem w oczach wielu znajomych, którzy przez protekcje lub łapówki telefon sobie załatwili, a ja szedłem tylko z urokiem osobistym. Przyjął mnie wysoki urzędnik Stanisław Ł. Jadł właśnie bułkę z szynką popijając jej wdzięki herbatą. Jak kiedyś królowie przyjmowali poddanych na nocniku, ten przyjął mnie na bułce z szynką. Gębę miał straszną a z tej gęby patrzyły na mnie niechętnie oczy. Polska nadal ma armię takich urzędników płci obojga, i to jest armia, która toczy podziemną wojnę z tą nową Polską, której ciągle nie ma, a której zarysy kreślone przez naszą wyobraźnię są zamazywane przez podejrzaną wydzielinę wolności.

Nie pamiętam nawet czy w ogóle rozmawialiśmy. Tą bułką mnie załatwił. Pamiętam, że wyszedłem bez nadziei, a z nienawiścią, której nie potrafiłem udźwignąć. Chciałem więc wrócić i dokonać mordu, wtedy zdawało mi się, że tylko śmierć Stanisława Ł. pozwoli mi dalej żyć. Jako że uległem nie impulsowi chwili, a swej małości, Stanisław Ł. przeżył i dalej panował w dzielnicowym urzędzie telekomunikacji, siedząc na bułce z szynką. Ale do czasu. Wczoraj otwieram gazetę, i oto ja który nie czytam nekrologów, pchnięty niewidocznym palcem, wchodzę na ścieżkę żałobnej strony i spotykam nekrolog Stanisława Ł. W tym nekrologu napisano

„Szlachetny człowiek o dobrym sercu i umyśle”. Czy mi ulżyło? Nie. Nadal mam w sobie tamto upokorzenie tylko otorbione przez czas, stwardniałe miejsce, o które złamałby się skalpel chirurga przy sekcji moich zwłok. Wszyscy jesteśmy pełni takich stwardnień. To są małe czubki lodowych gór komunizmu.

Najgłębiej zwykle poruszają nas nie zdarzenia olbrzymie, a szepty zdarzeń w półmroku i północy. Jak rozmowa czterech nóg łóżka z podłogą na moim suficie, oddająca zdumiewająco wiernie, ale bez jednego cielesnego szczegółu, połączenie się dwojga młodych ludzi, których spotykam rano na schodach, gdzie mijają mnie jakby nic się nie stało. Szepty i drobinki, które nas poruszają jednocześnie zawstydzają gdzieś w głębi duszy swoją znikomością, więc sami przed sobą ukrywamy te poruszenia. I jak tu przyznać, że są dni kiedy muchy miotające się o światło od ściany do ściany są bardziej nieznosne od nurkujących myśliwców.

W dniu gdy tyle się działo w Warszawie, kiedy jako świadek uczestniczyłem w manifestacji centroprawicy na Belweder, zdarzyło mi się coś o wiele bardziej poruszającego. W kuchni na śnieżnobiałej równinie lodówki ujrzałem karalucha. Od wielu lat nie miałem tak wstrząsającego spotkania. Staaliśmy naprzeciw siebie oko w oko, wąż w wąż, tak przepelnieni wzajemnym obrzydzeniem, że obaj zastygli. Ale to ja byłem szybszy. Zwiniętą gazetą trzasnąłem go w łeb. Padł jak bawół i usłyszałem zgiełk gruchotanych kości. Kto wie, może to było najważniejsze zdarzenie tego roku?

A sam marsz na Belweder, nie pierwszy przecież i nie ostatni, stał się w Polsce tematem numer jeden na wiele dni, gdyż podobno policja zachowała się ze zwierzęcą brutalnością. Byłem tam. To nie szedł tłum, raczej tłumek. Brutalność policji była owszem żywa, ale nie zwierzęca. Tłumek składał się w przygniatającej części z ludzi starszych, mało było twarzy więcej gębotwarzy. Na czele pochodu z lustracyjnym transparentem szedł P., mój znajomy, sfrustrowany inteligent, trochę zawstydzony, że jest tak na widelcu. Spotkałem potem kilku jego braci intelektualnych, jak przystało na ludzi myślących w czole pochodu.

Nadzieję mam na fajkę M., wymieniamy się szybko aluzyjnymi upewnieniami, że my tu tylko jako świadkowie. „Zauważyłeś jak ten tłum pachnie” — mówi M. i odgradza się od niego welonem dobrego tytoniu z fajki. Potem narzeka na zupełny brak energii życiowej partii politycznej, z

którą jest związany, a którą ten tłum opluły jako lewicową. Ta nadwrażliwość nosa, przy lekkim stwardnieniu serca wydaje mi się typowa dla wielu naszych gentlemenów z tak zwanych świątłych ugrupowań.

A tymczasem na dziedzińcu przed Belwederem palono Wałęsę w postaci prosiaka z napisem Bolek, wymalowanym na schabie. Trzeba było widzieć wyraz triumfu na obliczach inkwizytorów, gdy ogień pożerał Bolka — kompletne zdziennienie. Cały ten tłum miał serce na wierzchu, serce trochę powiększone z powodu wysokiego ciśnienia, a w każdym sercu jak wysuszony owad na parapiecie między dwiema szybami, leżała dawna miłość do Wałęsy. Tak, to był tłumek jego wczorajszych gorących popleczników. Tylko zawiedziona miłość tak powiększa serce.

Upřednio miasto zostało zakryte plakatami, krzyczącymi: „Dość tego, Polsko czas na zmianę, trzeba odkryć karty!” i pokazano te karty, a na każdej karcie agent, czyli Geremek, minister Skubiszewski, Prezydent... Ulotki rozdawane przez Porozumienie Centrum głośiły: „Unia Demokratyczna jednoczy się z komunistami”, czyli „Polsce zagrażają rządu kontynuacji, rządu grabieżców mienia publicznego, agentów, komunistów. Ojczyzna w niebezpieczeństwie!”. Jedynym zaś ratunkiem są rzecz jasna oni, czyli... centroprawica. Zaś RdR tak mówił na ulotkach: „Jeśli nie chcesz aby koalicja aferzystów rządziła Polską itd...”. Jak ostra przyprawa do potrawy błyszcząca łysinami w tym tłumku grupa skinheadów, byli też wyznawcy „Polskiego Stronnictwa Narodowego”. Ulotka podpisana przez Bolesława Tejkowskiego wzruszyła mnie głęboko: „Nie wierzymy takim Żydomniszczycielom Polski jak Olszewski, Parys, Kaczyński i inni. Udają oni przeciwników żydowskiej władzy Wałęsy, Suchockiej, Chrzanowskiego i innych, a wszyscy razem są jedną przestępczą mafią żydowską, która rujnuje Polskę i swoimi udawanymi kłótniami naigrywa się z Polaków. Odrzućmy skompromitowany komunizm, kapitalizm, solidarność, klerykalizm. Wybierzmy Polski Nacjonalizm!”. Tejkowski twierdzi, że nawet episkopat jest zupełnie zjudaizowany. Ten Tejkowski jest wielkim nieszczęściem dla uczciwych porządných antysemitów, których przecież u nas nie brakuje, a których ideologia oparta jest na prawdziwej wiedzy i głębokich prześwieleniach. On kompromituje antysemityzm naukowy.

Kilka osób policja wyrwała z tłumy, kogoś niegroźnie poturbowano, na własne oczy widziałem jak kilku opancerzonych po zęby funkcjonariuszy ciągnęło jakiego nieboraka, a

obok szedł policjant, z nieco uszkodzonym nosem, jak rozpalony czajnik kipiący rozgoryczeniem z powodu tego nosa. Cała ta grupka była splątana rękami i nogami jak grupa Laokoona, a otoczona przez stadko starszych niewiast pomstujących na ten gwałt. Prawie każde wielkie nieszczęście tego świata, ma taką grupkę niewiast, bardziej odważnych od niejednego spartanina.

Potem dowiedziałem się, że Aleksander Małachowski był z kolei ciągnany za brodę przez tłum, jako reprezentant wrogiego obozu. Czyli w sumie prawie nic się nie stało. Ukoronowaniem wielkiej prasowej debaty — czy policja nadużyła siły czy jej nie nadużyła wobec marszu na Belweder — była dyskusja w telewizji z udziałem przedstawicieli obu stron. Centroprawicę reprezentował Zbyszek Romaszewski. Przez cały czas miał jakąś gniewną zmarszczkę, która przekreślała mu twarz. Wysoki oficer policji odpowiedzialny za siły porządku opływał potem, jak pierwszy i jeszcze niedoświadczony w cierpieniu chrześcijanin wydany publicznym lwom na pożarcie. Kilka lat temu patrzyłbym napawając się jego jawną męką. Słowa wyciskał z siebie jak powietrze z pustej już lewatywy. A teraz nagle ku swemu przerażeniu czuję, że właściwie współczuję i sympatyzuję z jego spoconą bezradnością, a nie z dobrą i logiczną polszczyzną Romaszewskiego, który z przekreśloną twarzą gromi policję. A to przecież jest ta sama policja co robiła stan wojenny, grzmociła nas po karkach, włamywała się do naszych mieszkań, zabierała książki i paszporty, te same oficerskie tępe gęby ludzi do wynajęcia przez każdą władzę. Jak więc ja mogę być nie po stronie Romaszewskiego, którego odwagę i poświęcenie podziwiałem przez tyle lat? Pokazują Rulewskiego, najstłyniejszego pobitego przez reżim z czasu solidarnościowego karnawału, słynna afera bydgoska, po której o mało co nie doszło do wojny domowej. Wtedy byśmy się nawzajem wyrznęli, a teraz okazuje się, że nie byłoby o co, bo on jest też za policją, i prawi, że są takie sytuacje kiedy można a nawet trzeba grzmocić. Bujak legenda podziemia waży rację i salomonuje, ale właściwie on też jest za policją. Czując, że jestem zupełnie zagubiony z wielką ulgą gaszę telewizor. Tak oto większość ludzi w Polsce nie mogąc się połapać w tej mgłę, gasi nasze życie polityczne.

W Zachęcie wystawa malarstwa trzech wybitnych współczesnych artystów. Jest słoneczna sobota i późne popołudnie. Moje pojawienie się czyni popłoch. Kasjerka biegnie do kasy,

a interesująca pogwarka zdaje się zawisać w powietrzu. Biletowy drepce na swoje miejsce, ruszają w górę niewiasty od pilnowania. Skupiam się na obrazach S. Nie mam aparatu do odbioru tego malarstwa, i właściwie nic nie wiem co o tym sądzić, więc nie mówię nic. Artystę pamiętam z pogrzebu Przemyska, szliśmy wtedy ramię w ramię, w wielkim pochodzie, który doszedł aż do dzisiaj i trzasnął w komunizm mieczem zagrobowego zwycięstwa. Pamiętam, że zanotowałem ten pochód, szukam w papierach, tak wiele ich, zmieniły barwę, a to było przecież prawie wczoraj. To wczoraj ma dzisiaj równo 10 lat.

„Pochód z trumną Grzegorza Przemyska dochodzi do muru cmentarza i łączy się z tłumem tam oczekujących. Wtedy z jezdni, która w tym miejscu się wyrzusza, próbuje ogarnąć wzrokiem kondukt, ale nie mogę.

— Powtórka z historii, okrutna czkawka narodowa — mówi idący obok mnie... (tak, tak to właśnie był artysta S.)

A mnie, nie wiem dlaczego, ciągle kołacze się po głowie myśl, że Grzegorz zdążył jeszcze napisać maturę z polskiego i że na tej maturze był temat z Marqueza, podobno uwielbiał tego pisarza, zaś Marquez nie przyszedłby na pogrzeb Grzegorza, bo jest po stronie tych, którzy chłopca zamordowali. Jest komunistą”.

Teraz już bym nie pisał z takim patosem. Nie wiem czy artysta powtórzyłby swoje słowa? S. od razu sobie przypomina ten pogrzeb i mówi. „To piękny czas, byliśmy wszyscy razem, kto by się spodziewał, że podczas 45 lat okupacji będzie przyjemniej niż teraz, w czasie wolności?”

Tak, ja też nie potrafię odżalować tej wkładki moralnej, która wtedy siedziała w tyłu środowiskach, w tyłu ludziach. Do tego jak widać potrzebna jest jakaś forma klęski, która jednak nie druzgocze i nie rzuca na kolana.

Każdy artysta jak wypieszczony pies podstawia odruchowo głowę pod pieśczętę. Im artysta starszy tym bardziej się podstawia, bo dłużej to ćwiczył. Spaceruję z X. który już bardzo słabo słyszy i cokolwiek powiem, krzyczy — „mówisz, że kto mnie chwalił!?” Ciężkie czasy dla artystów. „Czuję się teraz zupełnie niepotrzebny”, mówi mój przyjaciel, wybitny malarz. Kto tego tak nie czuje? Na wernisażu tłum znajomych, zmienionych przez czas, rynkową ekonomię i właśnie poczucie niepełnej potrzeby. Znajomy poeta w poetyckiej desperacji rozważa czy nie można by rozpocząć produkcji wideoklipów z wierszami, czyli *fast food* z wier-

szem między bułką hamburgera.

Co za dziwna sytuacja gdy artysta staje się osobnikiem podejrzanym, nieznanym i zbolalym. Artysta jako cudzoziemiec. Jeśli ktoś chce we mnie rzucić kamieniem, że drwię z artysty, to niech pierwszej weźmie pod uwagę, że piszę też o sobie.

I pomyśleć, że w przedwojennej Polsce było inaczej, ale zupełnie okropnie. A nie chcieliśmy wierzyć komunistom, jak mówili, że nauczyli ludzi czytać, że rozbudzili intelektualnie naród, że mecenasami byli. Jak takie chamy mogły być mecenasami! A jednak były, chamskimi, z sierpem cenzury, z młotem ideologii, lecz takie się porobiły w systemie szczeliny, że w szczelinach powstał niejeden pałac. Owszem zabrudzony tym co nanieśli na butach mieszkańcy PRL, ale na ścianach wisiało wiele i tłumy oglądały, nawet jak nie rozumiały, to się starały rozumieć lub udawały. Co się dzieje dzisiaj to nie jest jakaś kulturalna katastrofa, to powrót do normalnego bidnego kapitalizmu, takiego jaki był przed światową wojną. Jeśli ktoś nie wierzy, to niech posłucha co pisał Antoni Słonimski w roku 1928.

„Poziom naszego czytelnictwa jest przynębiający. Ilość czytelników żalosna. Na kraj trzydziestomilionowy powieść rozprzedana w pięciu tysiącach jest rekordem. Poezje rozchodzą się w paruset egzemplarzach. Nic tu nie znaczy wielkość utworu. „Elegie” Żeromskiego rozeszły się w dwu tysiącach egzemplarzy. Trudno wiedzieć, czy wynika to z braku pieniędzy, czy z konkurencji kina, radia, czy z obojętności. Zdaje mi się jednak, iż jest to zło najgorsze: brak potrzeby czytania — nie zaś niemożność zaspokojenia tej potrzeby. Przemawia za tym cyfra nakładów pism codziennych, które wszystkie w stolicy kraju sięgają dwustu tysięcy egzemplarzy, tzn. wysokości nakładu jednego pisma polskiego wychodzącego w Chicago”.

Tak było w dziesięć lat po odzyskaniu niepodległości, a my teraz jesteśmy w cztery.

Dyskusja w redakcji pewnego miesięcznika. Pismo zeszło na margines, a teraz zbliża się do jego brzegu. Bardzo lubię tam drukować, to luksusowe zajęcie, wsadza się strony do butelki i wrzuca do morza. I czasami jest niespodzianka bo ktoś butelkę wyłowii.

Zastanawiamy się na tym co od jakiegoś czasu mnie draży. Nasza Wielka Zmiana nakłada się fatalnie na zmianę, która dotyczy całej cywilizacji. Gdyby zdjąć buty oraz odciski które kryją delikatność naszej stopy, myślę, wyczulibyśmy

próg. Coś się kończy, coś zaczyna. Ten próg może być szeroki, kto wie może sięga lat 60, długich włosów Beatlesów na czarno-białych telewizorach, które tak epidemiologicznie rozmnożyły się i nabrały kolorów, by poszerzyć swe ekrany o setki satelitarnych kanałów. Potem przyszedł komputer, wyrefinowane programowanie, ale też prymitywne komputerowe gry, które rzeźbią świadomość najmłodszych pokoleń. Młodzież o wiele mniej czyta, jeśli w ogóle czyta to robi to inaczej. Czyta poprzez film, gdy moje pokolenie ogląda filmy poprzez książkę. I pomyśleć, że stoimy wobec nowej ery telewizji przestrzennej, gdzie podobno najbardziej trzeźwy człowiek nie może się oprzeć wrażeniu, że jest w środku zdarzeń. Czy to nie będzie początek zbiorowego szaleństwa? I biedne te dzieci, one przecież zawsze były blisko miejsca gdzie zaciera się granica między fikcją i rzeczywistością.

Mówimy o rozpadzie tradycyjnych systemów edukacyjnych. I o upadku wiary w życie pozagrobowe, a czyż to nie zmienia gwałtownie stosunku do świata? Polska kraj taki religijny a pisałem kiedyś o rewelacyjnych wynikach ankiety, z której wynikało, że nawet na naszej ciemnej prowincji zupełnie podupadła wiara w szatana. Więc i w życie pośmiertne mało kto wierzy.

O głębokości zmiany, i że jesteśmy na progu, mówi gwałtowność z jaką odchodzą w niebyt pisarze jeszcze wczoraj tak intensywnie odbierani, dzisiaj wydają się martwi. Całe generacje. Dramat prozy, której nie daje się już pisać ani czytać, chyba że wraca się do klasyki, jak do starej szafy pełnej poruszających zapachów ubrań innej epoki.

Upadek autorytetów osiągnął zastraszające rozmiary. „Ciamkowatość życia” jest tytułem tomu jednego z młodych poetów generacji, która wstępuje, a która odrzuca wszystko z przeszłości, ale zarazem hoduje własną niedojrzałość. Ciamkowane życie, wyprane z sensu, a nawet z przyzwoitego egzystencjalnego bezsensu, świat jako nieporządek i dekompozycja. Jest w tej ciamkowatości jakiś istotny rys, który dotyczy najmłodszego pokolenia, które sami wydajemy na łup poczucia absurdu świata. Syn mojej bardzo kulturalnej znajomej napisał na ścianie swojego pokoju — „gdyby życie miało dupę, kopnąłbym je w nią”. Jako że nie ma, to kopią je w twarz.

„Wszystko, wszystko gnije,
smród unosi się i bije”

śpiewa popularny młodzieżowy zespół o nazwie „Big Cyc”. Ale jest w tej piosence też zwrotka polityczna, przyjmowana przez tłumy młodzieży ze zrozumieniem.

„kiedyś byli Solidarność,
teraz ludzie mówią na nich Oni”

Tegoroczna sesja egzaminacyjna będąca naborem na studia tak poruszyła przyjmujących egzaminy, że namnożyło się lamentów w prasie. Oszołomieni egzaminatorzy cytują zdumiewające odpowiedzi na proste pytania dotyczące naszej kultury i życia społecznego. Wynika z nich, że młodzież tymi sprawami zupełnie nie interesuje się, a może nawet gardzi. Ale pamiętajmy — każde starsze pokolenie narzeka na następne, a potem nie jest aż tak źle. Młodzi barbarzyńcy dorastają, obrastają w piórka kultury i narzekają na pokolenie wstępujące. Tak było już w starożytnej Grecji. Czyli tu nie bezmyślenie jest problemem, a tak gwałtowne odrzucenie naszego, jednak naszego świata, gdy jest odrzucany, czujemy, że jednak jest nasz, chociaż coraz bardziej obcy. Ci, którzy posiadają dorastające dzieci, mają ten problem tuż przy szczęce.

A zarazem ta młodzież, to jest jedyny kapitał jaki Polska rzeczywiście posiada. Mają nie mniejsze możliwości co ich koledzy na Zachodzie, w jakimś sensie wewnętrznie są chyba bogatsi. I zaskakująco wiele ładnych twarzy, zgrabnych sylwetek, ładnych nóg. Zarazem nasza młodzież ma bardzo podobne problemy duchowe co ich rówieśnicy na Zachodzie — zastali świat bez wiary, bez ideologii, bez przekonania. Nawet przemoc jest dzisiaj zupełnie goła, a kiedyś miała tyle ubrań.

Atutem tej polskiej młodzieży jest, że nie mają naszych kompleksów i stwardnień. Bierze ich teraz niestety w ramiona rozkładający się system edukacyjny, bo tak polskie szkoły jak i wyższe uczelnie są bliskie katastrofy. Kto wie czy zajęci tyłoma groźbami doraźnymi, nie przeoczamy tego co się czai na zapleczu, a wychynie dopiero za kilkanaście lat — upadek edukacji, płaski jak pysk buldoga.

A co do zwrotki młodzieżowej piosenki — z „Solidarności” po wielkiej kłótni odeszli ostatni działacze pamiętający czasy jej cudownych narodzin. To ludzie, którzy w sierpniu roku 80 tworzyli „Solidarność”, którzy za nią potem walczyli, gotowi do największych poświęceń. O wiele wcześniej odeszli do wielkiej polityki Bujak, Frasyniuk, którzy mówią

dzisiaj o „Solidarności” jak o dziecku, któremu po jakimś strasznym wypadku zrobiono nieudaną trepanację czaszki, i jest teraz odrażającym obcym tworem, podobno nawet groźnym dla Polski. Borusewicz mówi: „W związku powszechne są głosy, że w Polsce nic się nie zmieniło, że nadal rządzi komuna”. Padają nazwiska winowajców, co wodzą „Solidarności” na manowce, oraz imiona tych co oburzeni odchodzą. Rzucają „Solidarności” w twarz swoje legitymacje, a ona tylko spluwa za nimi. Są to imiona niegdyś bliskich mi ludzi, a znam jednych i drugich z obu stron nagle wyrosłej barykady, patrzę na ich zacietrzewione twarze, odkształcone przez czas, ściemniałe od gniewu. Ci co teraz odchodzą, kiedyś rodzili „Solidarności” w gdańskiej stoczni. Czasami wraca do mnie zapach tego sierpnia, i tego miejsca, zapach smarów, słynnej stołówki, gdzie buzował przez tygodnie wielki ogień naszego powstania. Pamiętam zarysy kadłubów statków. Sięgający nieba i poprzedniego wieku kadłub nadziei.

Ale jak ma nie zdziwić i nie zdziżyć związek zawodowy w kraju, gdzie pada prawie cały przemysł, lawinowo rośnie bezrobocie, a ofiary tych zmian prawie nic z tego nie rozumieją.

Wydawało się, że już bardziej nasza scena polityczna nie może się podzielić, ale się dzieli. Była scena są drzazgi, dotyczy to szczególnie prawicy. Olszewski, Kaczyński, Chrzanowski patrzą na siebie wilkiem chociaż są z jednej solidnej kości prawicowej, więc wilkiem powinni patrzeć na lewicę, a oni patrzą na siebie. UD jakoś nie może się dogadać z liberałami, a przecież kto z UD nie jest liberałem, kto z liberałów nie jest demokratą? Tłumaczą się wszyscy koniecznością własnej wyrazności. Ale chyba prawdziwym powodem są ambicje, urazy, neuroza.

Demony wzajemnej niechęci dzielą wszystkie możliwe grona, od najbardziej szacownych i elitarnych począwszy. Byłem na chwilę w takim gronie, wczoraj nie widziałem w nim szczeliny nawet na brzytwę, patrzę a ono już jest podzielone.

Moja znajoma, Węgierka, opowiada, że tam jest zupełnie tak samo, więc nie zwalam tego na cechy narodowe, one zawsze są ryzykownym materiałem do produkcji kluczy. Można jednak zaryzykować uogólnienie — mamy oto bardzo ambitną społeczność na skutek historycznych nieszczęść zupełnie nie zrealizowaną, z otwartymi już wszystkimi oknami i drzwiami skąd dobiegają kolorowe widoki i zapachy

bogatego świata. A czasu jest mało, rzeczywistość jak peron z którego już odjechały pociągi. Wszystko za późno, kapitalizm za późno, wolność za późno, prawda za późno, a pieniądze za wolno. Dlatego oczy podkrążone zawiścią, brwi nastroszone ważnością, brzuchy wypełnione pociechą.

Wałęsa tworzy nowy BBWR. Ciekawe co na temat tego pierwszego, który był dziełem Piłsudskiego, wie nasz współczesny, no powiedzmy, Podpiłsudski, który jak sam mawiał, książek nie czyta. Jest to w każdym razie świadome nawiązanie do BBWRu z roku 26, ale nie na tyle świadome, by nowi twórcy pamiętali, że tamten był raczej nieudaną instytucją, zrodzoną z pogardy Naczelnika do polskiego życia politycznego, do jego elit, a potem chyba też pogardy dla samej opinii publicznej. Czym wypełni się to nowe-stare naczynie, tego nikt nie wie z pomysłodawcą na czele.

Duży ambaras licznych niechętnych Wałęsie polityków i ugrupowań. Potępiają tę ideę: że rozbije i tak słabe partie, że im pozabiera wyborców, rzucają zrozpaczone spojrzenia gospodarzy, którym z trudem udało się wyhodować kilka kur, a tu już lis wyjada po kryjomu najlepsze sztuki. Ale jak nie dostrzec, że zarazem BBWR ma szansę przejąć głosy rzeszy niezdecydowanych, zagubionych, rozczarowanych do istniejącego życia politycznego, czyli być piorunochronem przed nowym Tymińskim. Nie po raz pierwszy można rzec, że pomysł nie byłby tragiczny, gdyby nie wady pomysłodawcy, który, coraz więcej na to znaków, zmierza w kierunku rządów prezydenckich. To co mówi o partiach politycznych, o parlamencie, ma w sobie nie mniej żółci co niegdyś obelgi Piłsudskiego na te same instytucje. Ale, o czym zapominamy, Piłsudski, chociaż wielka osobowość, niebotycznie wyższa od Lecha, był zarazem bez porównania bardziej brutalny. (Znając niechęć Redaktora do skatologii nie mogę wszystkiego cytować). Wałęsa nie wykracza poza takie oto pocziwe i nieco koślawe złorzeczenia: — „Dość partyjniactwa, dosyć gęgania. To ja walczę o demokrację, wiem co naród mówi. (...) Chcę służyć narodowi i ustrzec go przed kataklizmem, który mu grozi. (...) Jestem w przymusowej sytuacji. Muszę wprowadzić konia, który rozblokuje Polskę zablokowaną”. Kiedy Wałęsa mówi, że musi poprowadzić naród przez reformy, to te reformy zmieniają się w pustynię, a on sam jest Mojżeszem. Jedyny, niezastąpiony, geniusz intuicji. Jest w tej figurze jakiś wielki zakalec, nic na to nie poradzę. Naczelnik miał inną klasę mimo wszystko, miał grupę nie-

zwykle oddanych ludzi, to prawda, że średniej jakości, ale przy nim Wałęsa nie ma w ogóle zaplecza, wynajmuje ludzi, którzy go zdradzają przy pierwszej okazji. Jak trafnie zauważył Michnik: „Piłsudski miał swoją ideę Polski — jagiellońskiej i tolerancyjnej, silnej i bezpiecznej, niepodległej i sprawiedliwej. Wszelako traktował Polskę jak swój osobisty majątek. (...) Lech Wałęsa nie ma swojej idei Polski. Ma natomiast ideę swojego miejsca w Polsce”.

Jest taki moment gdy pęka jakiś wewnętrzny łańcuch i dzierzący władzę już zupełnie swobodnie wierzy w swoją nieomyślność, i że wszyscy inni w sferze politycznej to durnie. Wałęsie ten łańcuch obluźował się w roku 80, po sierpniu, a ostatecznie chyba pękł gdy został Prezydentem.

Tak jednak chyba nie musi być. Patrzę z podziwem na Havla, może dlatego, że jest daleko, a gdyby wejść na zaplecze Hradczan, to kto wie? I chociaż trudno mi uwierzyć, że intelektualista może być dobrym politykiem, to kiedy słucham Havla, mam jednak wrażenie, że mimo wszystko artysta nie zniszczył w nim polityka, a polityk nie zabił artysty. On w sobie, a nie na zewnątrz szuka granic kompromisu i przyzwoitości, a gdy mówi, jego „Ja” jest przezroczyście. Przyznaje, „W czasie swojej prezydentury poniosłem wiele niepowodzeń, ale wydaje mi się, że od sukcesów ważniejsza jest prawda”. Kiedy mówi Havel świat jest odsłonięty, widać wszystkie mroki i blaski, kiedy mówi Wałęsa, nawet gdy ma rację, świat stoi w jego cieniu. Coraz mocniej wierząc, że jest jedyny niezastąpiony, coraz bardziej traci na popularności. Ten roziew będzie jednak dla niego wędzidłem. Jeżeli je zerwie, przegra ostatecznie.

Telewizja pokazała jak nasi wielcy politycy w dniu urodzin Wałęsy przynosili mu prezenty, był Moczulski, a jakże, była Suchocka, wielka kolejka z prezentami oraz z płaskimi komplementami. To było bizantyjskie, w najgorszym stylu, może gdyby nie sfilmowano tego dla milionów, rzecz byłaby do przełknięcia. Ale czyż nie o wiele bardziej celebrowano Piłsudskiego? Ale Piłsudski przy tym był całkowitym abnegatem, w głębi duszy nie znosił zaszczytów i pochlebstw, a na to wszystko zezwalał, traktując to jako część polityki. „Trzeba to znosić dla tych durni”, mrucał pewnie pod nosem. A Wałęsa kiedy mu się wręcza podarunki nadyma się, jest coraz większy, większy, aż strach patrzeć. Kiedy Piłsudski psioczy na Polaków, gdy się odgarnie ze słów różne paskudztwa, jest w tym błysk geniuszu. „Mózgi polskie tego nie rozumieją, mózgi polskie nie umieją patrzeć trzeźwo. Po-

lak w pogodę i ciepło wyjdzie w futrze, a w mróz i deszcz bez ubrania i z parasolką od słońca. Takich bić by należało. System myślenia Polaków jest przerażający”. Gdy trzeźwiał z gniewu, mówił inaczej. „Polacy mają w sobie instynkt wolności. Ten instynkt ma wartość i ja tę wartość cenię. W Polsce nie można rządzić terrorem. To nie pójdzie. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić, i korzystałem z tego, bo Polaków chciałem czegoś nauczyć. Tego nie potrafiłby nikt inny. (...) Warcholstwo polskie nie zna granic, ale zatrzyma się przed morderstwem. Instynkt morderstwa obcy jest naturze polskiej. Również obcy jest Polakowi instynkt niszczenia”.

Mimo bezwzględności tych brutalnych uogólnień bardzo poruszają te słowa.

Dzisiaj powszechna jest świadomość potrzeby demokracji, nawet jeśli ona kulawa. I przekonanie, że winniśmy iść w stronę autorytetu instytucji i praw, a nie wielkiego przywódcy — smutne, że póki co nie ma, tak wielkich polityków, jak i nie ma budowania autorytetu prawa. Dzisiaj tak szarzy obywatele jak i sami politycy zaczynają być przekonani, że cała sfera polityczna to bagno. Moi znajomi, którzy w tę stronę nie poszli, bardzo sobie to chwala. „Udało nam się ocalić przyzwoitość” — wzdychają, ciekawe czy nie tracą jej robiąc interesy. Kilku bliskich mi ludzi próbowało wzbogacić sobą nowe partie polityczne, od chrześcijańskich po liberalne. Wypełzli stamtąd poparzeni i zgorzeleni, bo idea zmieniła się w suchą grę. Obserwuję też tych, którzy tam weszli i zostali. Pamiętam różne ich drobne wady z przeszłości, wydawały się poczciwe i niegroźne. Ale na tym właśnie problem, że małe dziwactwa, tak szybko ogromnieją wsadzane pod monstrualnie wielkie szkło powiększające władzy. Tam pchła staje się mastodontem.

Bogdan Borusewicz, kiedyś najbliższy przyjaciel Wałęsy, człowiek, który go właściwie w Gdańsku stworzył, po odejściu z „Solidarności”, przez chwilę był blisko BBWRu. Odszedł stamtąd gwałtownie do UD, po prywatnej rozmowie z Wałęsą. Nikt chyba w Polsce nie zna lepiej słabości i zalet Wałęsy co Borusewicz. Swoją pierwszą rozmowę z Borusewiczem o Wałęsie miałem, pamiętam, w Gdańsku w roku 1981, kiedy odeszli od Przewodniczącego wszyscy dawni towarzysze walki. Wałęsa wówczas ujawnił, mówiąc eufemistycznie, trudne cechy charakteru, które władza mogła tylko rozwinąć, bo one się pod wpływem władzy nigdy nie zwijają. Podziwiałem z jakim obiektywizmem i krytycznym chłodem Borusewicz analizował zachowania Przewodniczącego. Czy dowiedział

się czegoś nowego o nim w 12 lat później? Nie sądzę. A jednak odszedł po tej rozmowie wyraźnie przerażony, a w prasowych wywiadach, chociaż nie mógł powiedzieć wszystkiego, powiedział dostatecznie wiele. Cytuję: „Nawet jeśli rząd powstanie, to do kryzysu dojdzie już przy głosowaniu ustawy budżetowej. Nowy sejm zostanie rozwiązany w marcu. Lech Wałęsa powoła partię prezydencką. Ostatecznie udowodni, że parlamentaryzm w Polsce się skompromitował”.

Powszechna, ale cienka błonka kapitalizmu powleka już prawie wszystko w miastach, i jeszcze nie wszystko na prowincji. Czasami strach usiąść aby jej nie rozerwać. Elegancja nowych wnętrz bardzo rzadko w dobrym stylu, tak luksus jak i grzeczność zdają się ledwie utrzymywać równowagę, lada chwila to może się przewrócić i ujawnić coś zupełnie innego. Zwraca miłą uwagę zwiększenie się liczby czystych toalet, to już prawie epidemia toalet na poziomie, a nowe toalety wymiatają z naszego życia babcie klozetowe, bardzo unikalny produkt tego obszaru. Trochę ich szkoda, jak kefiru w butelkach, który miał smak nie znany w innej części kontynentu. Obserwuję z zapartym tchem marsz naszych publicznych toalet w kierunku Europy.

Poczta nadal jak zapyziała stodoła gdzie pachnie urzędniczą wydzieliną i kondensacją czekania. Popłątane i zgryźliwe kolejki zdają się oczekiwać na jakąś torturę. Z rozpaczą prawie rozstają się z szarą kopertą, bo trzeba wiele optymizmu, by uwierzyć, że gdziekolwiek ona pofrunie. Poczekalnie w bankach też oplecione są w pajęczyny.

Nadal oplakany jest stan chodnika, oraz klatek schodowych. Te ostatnie jak paszcze hipopotamów, którym psują się zęby, a żołądek źle trawi. Niemal każda klatka schodowa wydziela z siebie nieco inną woń, ale wszystkie są obezwładniające. I nadal pewne połacie miasta zdają się być we władzy taksówkarskich mafii, nie ma siły by ich wyrzucić z dworców lotniczych, kolejowych, oraz spod hoteli. Prezydent bywał oblegany w Belwederze, rząd upadł, parlament rozwiązano, a jak dawniej tak i dzisiaj przybysze z całego świata wydawani są na żer uprzywilejowanej grupy taksówkarzy, którzy zrzucają skórę mnożąc kilkakrotnie rachunek. Kiedy spotykam prezydenta Warszawy nawet go już o to nie pytam, wiadomo, że oni są silniejsi od państwa.

Jakiś rodzaj spirytualności mieszka w zaskakująco wielu ludziach, a ta duchowość, mimo swego uwznioślenia chodzi jednak na dwóch nogach, czasami koślawych, czasami zaskaku-

jąco apetycznych. I dziwny nadmiar osobników, którym wylewa się dusza z ciała, jak koszula z niedopiętych spodni. Jest to substancja, bardzo pobudzana przez spożycie alkoholu, która jak kameleon błyskawicznie zmienia barwę, w niej granica między przyjaźnią a agresją jest na obgryziony paznokieć.

Nieotynkowana od czasu swych narodzin jedna ściana mojego rodzinnego domu, jak bok obnażony do mięsa. Ile jest takich miejsc, które od czasu wojny dotwały do dziś nie zagojone. Tuż przy chodniku cegła się wykrusza i jest mały murek. To tu bawiliśmy się dziećmi, a szalona wyobraźnia wzbogacała każdą szczerbę w nowe znaczenia. Te cegły nadal żywe ciągle krwawią. Patrzę teraz z góry na geografie cegieł i odpominam ich rysunek widziany z nizin mojego dzieciństwa. Za chwilę otworzą się wszystkie okna, a żywe i martwe matki zawołają nas na obiad. Przekłęte obiady, które budziły z marzeń. Wszystko to teraz moje nie moje, jak to miasto, tak zmienione, a jednocześnie prawie takie samo, patrzę na nie przez przyciemnione okulary lat które minęły, jakbym był już po drugiej stronie, ale czego, nie wiem? I nagle słyszę jak dyszy nasza wolność, monstrialne czteroletnie niemowlę z niezmienianą pieluszką.

SMECZ

Sprawy i troski

Strzelin, 24.06.1993

SPRAWA KOLPAKU

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Andrzeja Kowalczyka: „Rzeczpospolita telekomunikacyjna”, zamieszczony w *Kulturze* z czerwca ubiegłego roku. Część opisanych tam faktów znam z praktyki pracownika łączności PKP. Z artykułu p. Kowalczyka poznałem kilka negatywnych zjawisk i logiczne wyjaśnienie, dlaczego w telekomunikacji polskiej tak źle się dzieje. Od siebie chciałbym dodać opis inwestycji, o której uzasadnienie dopytuję się od pięciu miesięcy bez skutku.

Od stycznia br. Przedsiębiorstwo PKP podjęło budowę sieci łączności informatycznej KOLPAK. 297 szt. central dla tej sieci dostarcza amerykańska firma SPRINT INTERNATIONAL, za kwotę 10 mln USD kredytu z Banku Światowego. Komputery obszarowe i komputery zarządzające funkcjami sieci oraz ich oprogramowanie ma być kupione w drodze przetargu. (Oferty, które napłynęły do połowy marca br. określały ten koszt od 27 do 45 mln USD). Niezbędne dla sieci KOLPAK dalekosiężne łącza międzycentralowe, których dzierżawa od przedsiębiorstwa Telekomunikacja Polska S.A. kosztowałaby ok. 10 mld zł miesięcznie, zabierane są z sieci telefonicznej znacznie psując jakość działania największego systemu łączności PKP. Do wymienionych kosztów dodać trzeba trudne do ustalenia koszty instalacji i eksploatacji. Są to koszty znaczne, szczególnie jeśli lokalizację central całej sieci projektowano tak jak we Wrocławiu, gdzie koszt instalacji zwiększono o kilkaset mln zł, lokalizując centralę w klimatyzowanej sali Ośrodka Informatyki zamiast w sali położonej w miejscu zbiegu łączny.

Dzieląc koszt budowy sieci KOLPAK przez 4553 (liczba terminali planowana dla tej sieci) określa się koszt jednego łącza abonenckiego ponad 10 razy wyższy niż koszt łącza abonenckiego telefonicznej sieci ISDN. Jest to porównanie szokujące szcze-

gólnie, że oprócz wielu usług niedostępnych w sieci KOLPAK, sieć ISDN zapewnia swym abonentom transmisję danych z prędkością od 10 do 50 razy większą niż dostępna terminalom włączonym do sieci KOLPAK.

Po zbudowaniu sieci KOLPAK Przedsiębiorstwo PKP zyska sprawną i wystarczającą łączność informatyczną przydatną do kierowania przewozami i zarządzania, informowania podróżnych i rezerwacji biletów oraz dla poczty elektronicznej. Po sieci tej łączyć się będą terminale administracji państwowej. Byłoby to dobre uzasadnienie inwestycji gdyby wymienionych funkcji nie wykonywały istniejące systemy łączności. Jednak wobec faktów, że bez sieci KOLPAK terminale łączą się po sieci telefonicznej, że sprawnie działa telegraf i sieć KURS 90 — sieć KOLPAK jest zbędna a każdy wydatek na jej budowę to marnotrawstwo. Szczególnie, że rok po planowanym terminie zakończenia budowy sieci KOLPAK oddana będzie kolejowa sieć ISDN, która spełni funkcje obecnych systemów łączności i sieci KOLPAK.

Centrale takie, jak planowane dla sieci KOLPAK po raz pierwszy widziałem w instalacjach bankowych w Warszawie dn 12.01.93. Zaszokowany przestarzałą konstrukcją tych central podjąłem żmudne poszukiwanie alternatyw dla sieci KOLPAK. Ponadto w dniu 26.01.93 wysłałem do Ministerstwa Transportu i Gospodarki Morskiej prośbę o uzasadnienie potrzeby budowy tej sieci. Odpowiedź Ministerstwa z dnia 24.05.93 otrzymałem dopiero po wysłaniu monitu i prośbie o interpelację w Senacie RP. W odpowiedzi, wicedyrektor Departamentu Kolejnictwa w MTiGM zbył mnie mało ważnym i tylko częściowo prawdziwym uzasadnieniem wyboru dostawcy central. Pytanie o potrzebę budowy sieci KOLPAK zostało zignorowane.

Ignorowanie zarzutów wspartych analizą techniczną pozwala twierdzić, że budowa sieci KOLPAK nie ma uzasadnienia w interesie społecznym, i dociekać jakie interesy realizowane są przy tej okazji.

Centralnie konfigurowana sieć KOLPAK, oprócz zwykłych funkcji pełnić może funkcje specjalne. Dysponent centrum sterowania siecią posiadający komputer z zapisaną informacją o strukturze sieci i hasłach dostępu do systemów operacyjnych central może:

- zablokować dowolny terminal, łącze, centralę a nawet całą sieć;
- przechwytywać transmisję każdego terminalu sieci;
- nadać informację z dowolnym adresem nadawcy;
- funkcję centrum konfigurowania sieci przenieść na dowolny terminal;
- wymianą haseł dostępu wykluczyć akcję innych operatorów.

Wymienione właściwości sieci KOLPAK czynią z niej doskonale narzędzie totalnej władzy.

Idea działania i technologia zastosowana w centralach dostarczonych dla sieci KOLPAK pozwala szacować datę ich produkcji na rok 1975. Takie urządzenia obecnie się złomuje. Jest niewątpliwe, że prawie cała kwota kredytu z Banku Światowego stała się łupem sprytnego sprzedawcy złomu.

We wspomnianym na wstępie artykule są opisy jak władza, personalnie ta sama co w stanie wojennym i wcześniej, blokuje społeczeństwu w Polsce dostęp do telefonów. Sprawa sieci KOLPAK uzupełnia obraz naszkicowany przez Andrzeja Kowalczyka o przykład, jak ta władza rozrzutnie i na kredyt tworzy łączność dla siebie.

Jerzy DEREŃ

Warszawa, 14.6.93

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Sprawa, którą porusza p. inż. Jerzy Dereń, jest symptomatyczna dla „programu reform” dokonywanych ponad głowami społeczeństwa w Polsce i ma, moim zdaniem, dwa aspekty.

Po pierwsze, w telekomunikacji obowiązuje jedna generalna zasada: nowoczesne jest najtańsze. Sprzętu, który ma ponad dziesięć lat nie opłaca się instalować, gdyż w łączności o kosztach nie decyduje sama cena sprzętu podstawowego, a koszt jego instalacji eksploatacji, konserwacji, klimatyzacji, amortyzacji itd. Z tego powodu złomu telekomunikacyjnego, a tak można z całą pewnością określić sprzęt wycofany najprawdopodobniej z zapasów wojskowych USA a dostarczonych do Polski przez firmę US SPRINT za 10 mln dolarów z kredytów Banku Światowego, nie warto by brać nawet za darmo. Tym bardziej, że w ostatnich trzech latach przewozy PKP zmniejszyły się o około 1/3 i nic nie uzasadnia jakiejś superawaryjnej modernizacji łączności PKP.

Łączność kolejowa musi być oczywiście zmodernizowana i powinna ona być, moim zdaniem połączona z łącznością cyfrową ogólnokrajową spiętą siecią światłowodów, bo jest to najnowocześniejsze, najtańsze i o praktycznie nie wykorzystanych jeszcze możliwościach. Budowa sieci światłowodowej najtańsza jest wzdłuż torów kolejowych, kolej nie ma już dzisiaj znaczenia militarnego i to są argumenty za integracją sieci telekomunikacyjnych.

Modernizacja kolei to zresztą odrębny temat. Ogólnie można powiedzieć, że winna ona zmierzać w kierunku większej

operatywności przewozowej, to znaczy elastycznego dostosowywania się kolei do potrzeb kontrahenta tak pod względem rodzaju taboru, czasu i szybkości przewozu. W tej chwili jest tak, że nawet węgiel ze śląskich kopalń na północ kraju bardziej opłaca się wozić ciężarówkami niż koleją, nie mówiąc już o mniej masowych towarach. Taka potencjalna operatywność kolei, gdzie nie będą obowiązywać kontrakty roczne ani nawet miesięczne, jest możliwa tylko po całkowitej zmianie systemu zarządzania PKP i całkowitego włączenia jej w cywilny sektor gospodarczy.

I po drugie, to o czym pisze p. inż. Jerzy Dereń to są oczywistości dla całego środowiska inżynierskiego tak łączności jak i pracującego na kolei. Środowisko to liczyło na szybkie zmiany, na sensowną zgodną z interesem kraju suwerenną politykę gospodarczą. Dziś, po trzech z górą latach III RP, środowisko to należy do najbardziej sfrustrowanych w kraju. Polityka gospodarcza jest sprzeczna już nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale z elementarnymi zasadami przyzwoitości. W ciągu tych trzech lat niszczone i nadal się dorzyna brutalnie i cynicznie polską produkcję intelektualną utrzymując wykwalifikowanych inżynierów i naukowców na poziomie płac zasiłku dla bezrobotnych i przede wszystkim angażując do najdrobniejszych nawet opracowań zachodnie firmy, jak chociażby do planu restrukturyzacji komunikacji miejskiej w Warszawie. Przykłady można by mnożyć ze wszystkich dziedzin gospodarki. Pierwszymi posunięciami zarządów sprzedawanych przez MPW polskich fabryk jest likwidacja ośrodków badawczo-rozwojowych. Najbardziej spektakularnym przykładem zamachu na polską suwerenność gospodarczą jest zakaz eksportu śmigłowca „Sokół” i sprowadzanie amerykańskiego „Bell”. Czy coś takiego jest w ogóle do pomyślenia, na przykład we Francji?

Ale najbardziej zastanawiające jest dlaczego tylko jeden inżynier Dereń zabrał głos w sprawie skandalu na PKP. To znowu jest temat sam w sobie. Ostatnio były senator Zbigniew Romaszewski stwierdził, że III RP nie jest państwem prawa, choć dotychczas przyjmował, mimo dostarczanych mu rozlicznych w tej sprawie dowodów, że jest inaczej. Może coś się zmieni?

Wracając do sprawy materiałów przesłanych przez p. inż. Derenia. W tym momencie kontaktuję się z nim i przekażę, by przesłał Panu Redaktorowi opracowanie swoje w formie krótkiego listu do Redakcji i być może w tej formie zechce Pan Redaktor wykorzystać jego materiał.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku,

Andrzej KOWALCZYK

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Polityczny teatr w Moskwie dał w końcu lipca nowe przedstawienie, które można by nazwać „Wielką paniką rublową”. Wydaje się, że niepotrzebne są dowody, że w Rosji nie ma władzy, albo — co na to samo wychodzi — że tej władzy jest o wiele za dużo. Moskiewscy działacze zdecydowali jednak, by raz jeszcze zademonstrować swoją bezradność. Prezydent centralnego banku, Wiktor Gieraszczenko, ogłosił w nocy z 23-go na 24-go lipca, że w ciągu dwóch tygodni wszyscy Rosjanie powinni wymienić stare pieniądze — wypuszczone do 1993 roku — na nowe. Wymienić można jednak nie więcej niż 35 tys. rubli (wysokość średniej miesięcznej pensji). Pozostałe pieniądze należy zdeponować na jakichś kontach bankowych. Gdy ludzie rzucili się do banków, okazało się, że nowych pieniędzy wydrukowano za mało, powstały ogonki, wybuchła panika.

Minister finansów, Borys Fiedorow, który przebywał właśnie w Stanach Zjednoczonych, oświadczył stamtąd, że on nic o tym nie wiedział i nie zgadza się z tą decyzją. Premier, Wiktor Czernomyrdin, który był na miejscu, oświadczył, że zasadniczo jest za, ale ma pewne zastrzeżenia. Wreszcie prezydent Borys Jelcyn przerwał swoje wakacje i znacznie złagodził zarządzenie Gieraszczenki: mianowicie przedłużył termin wymiany i zwiększył sumę wymiany. Natychmiast wystąpił ze sprzeciwem przeciw centralnemu bankowi i prezydentowi przewodniczącą Rady Najwyższej, Chasbułatow. Mówią, że o tym zarządzeniu wiedział, ale odciął się od niego, gdy zobaczył, że akcja jest bardzo niepopularna.

Obecnie trwa gwałtowna kłótnia: kto jest winien, kto wiedział, a kto nie wiedział. A poza tym niektórzy ekonomiści uważają, że sama koncepcja wymiany starych pieniędzy na nowe miała sens, zarówno polityczny jak i ekonomiczny. Celem było zlikwidowanie rubli, które nagromadziły się w niezliczonych

miliardach w postkomunistycznych republikach. Z tym rozumowaniem nie zgadzają się inni ekonomiści. Najważniejsze jednak, że te różnice zdań rozkładają władzę, która traci i tak już niewielki autorytet, zaś prezydent, który jest przedmiotem nieustannych ataków Chasbułatowa, lawiruje nie zadowolając nikogo.

„Rublowa panika” zademonstrowała przede wszystkim słabość centralnej władzy. W tym są wszyscy zgodni. Ale jeśli spojrzeć na inne wydarzenia, którymi było wypełnione życie rosyjskie latem bieżącego roku, to powstają pytania. Objawy słabości są przeplatane przejawami siły i działalności, którą można rozpatrywać i tak i tak. Przykładem dwuznacznego działania jest nieoczekiwana dymisja ministra bezpieczeństwa, Wiktora Barannikowa. Co prawda w jego obronie wystąpił Rusłan Chasbułatow, ale wydaje się, że nie uda mu się obronić generała KGB. Z jednej strony jest to przykład siły prezydenta. Jednym pociągnięciem pióra wyrzucił z rządu szefa bezpieczeństwa. Z drugiej strony jednak nie wiadomo za co. Komunikat oskarżył gen. Barannikowa, że źle dowodzi wojskami pogranicza (które z powrotem podlegają bezpieczeństwu). Oddziały ochrony pogranicza z Afganistanem były prawie w całości zlikwidowane przez terrorystów. Ale jednocześnie w komunikacie użyto określenia „normy etyczne”. Gdy o ministrze bezpieczeństwa mówi się, że narusza „normy etyczne”, to znaczy, że zaczął kraść więcej niż mu to przysługiwało. Oznacza to, że korupcja doszła już do samego szczytu. Ale, czy dzisiaj usuwa się za to ministra w Rosji? I dlatego dodaje się, że gen. Barannikow spotykał się potajemnie z Chasbułatowem, że prezydent przestał mieć do niego zaufanie w momencie, gdy znowu zaczęto mówić o „puczu”.

Sytuację w Rosji można różnie oceniać, jeśli patrzeć z bliska na codzienne kłótnie polityków, słuchać ich wystąpień, krzyków, skarg, wzajemnych oskarżeń, a z pewnego dystansu na zjawisko nie mniej spektakularne. Mimo inflacji, kryzysu ekonomicznego, stopa życiowa ludności za ubiegły rok nie obniżyła się. Jest to związane częściowo z tym, że obywatele rosyjscy, tak jak dawniej, otrzymują prawie bezpłatne mieszkania, elektryczność i transport. Bardzo została ograniczona pomoc dla dzieci, za to znacznie podniesiono emerytury: okazało się, że starzy potrafią lepiej bronić swoich interesów niż dzieci. Ale najważniejsze, że pogorszyła się sytuacja w Moskwie i Sankt-Petersburgu, które władza sowiecka specjalnie ochraniała, ale poprawiło się na prowincji, specjalnie na Uralu i Syberii, gdzie wydobywa się ropę, węgiel, itd. które można sprzedać za dewizy. Jest to jedna z najważniejszych przyczyn dlaczego nie ma rozruchów społecznych w Rosji: ludność żyje niedostatecznie źle by się buntować.

Trudno nie uważać za przejaw siły działalności rosyjskiego rządu w stosunku do „bliższej zagranicy”. Rosja nie ma polityki zagranicznej, inaczej mówiąc polityki w stosunku do krajów leżących poza granicami byłego ZSSR. Ale coraz aktywniej organizuje swoje stosunki z byłymi „braćmi”. Przede wszystkim odnosi się to do Zakaukazia i Azji Środkowej. Można zauważyć, że specjalne sukcesy Rosja uzyskuje w „gorących punktach”, tam gdzie toczy się wojna, występując w charakterze pośrednika i zwolennika pokoju. Należy tu dodać, że gdy pół roku temu Borys Jelcyn zwrócił się do Zachodu z propozycją sfinansowania działalności wojsk rosyjskich na terytorium ex-ZSSR w charakterze „regionalnych sił pokoju”, występujących w imieniu ONZ, to nie wywołało oburzenia. Wojna w Jugosławii wiele nauczyła Zachód, który dziś jeśli jeszcze nie finansuje, to bardzo życzliwie patrzy na działalność Rosji by przerwać wojnę między Ormianami i Azerbejdżanami, Gruzinami a Abchazami, itd.

Rosja, używając różnych środków, zdołała uzyskać to, co wczoraj wydawało się niemożliwe. Azerbejdżan zgodził się na pertraktacje nie z Armenią a z Nagornym Karabachem, uznając w ten sposób jego niepodległość. Gruzja znowu zgodziła się rozpocząć pertraktacje z Abchazją, co wydaje się jeszcze trudniejsze niż prowadzenie rozmów Izraela z Arafatem. Waga Rosji, jej armii, ekonomii i rubla, bez którego nie mogą się obyć ex-sowieckie republiki, zmusza je do zachowania więzi, które wczoraj jeszcze zrywano z niesłychaną lekkością pod wpływem marzeń o niepodległości. Rozwiał się marzenia sąsiadów — Turcji i Iranu — zmierzające do przeciwstawienia się wpływowi rosyjskim. Turcja przekonała się, że nie ma możliwości zbudowania turańskiego imperium. Iran jest zbyt zajęty swymi sprawami by pomagać swoim krewniakom w Azerbejdżanie. Jeśliby np. Azerbejdżanie z byłej sowieckiej republiki zjednoczyli się z Azerbejdżanami w Iranie powstałaby siła zagrażająca Persom rządzącym z Teheranu. Takie zjednoczenie to nie fantazja: w 1946 r. mądry Stalin próbował to zrobić, ale był on wtedy zbyt słaby i był zmuszony do odwrotu. No, ale plan istnieje...

Jeszcze bardziej zdecydowanie występuje Moskwa w Tadżykistanie. Udało się jej, wygrywając jeden klan przeciwko drugiemu, wznowić reżim komunistyczny w republice. Jeszcze bardziej ważne jest to, że w rozpoczynającej się wojnie domowej strony, które popierają Rosję (ministrem obrony Tadżykistanu jest generał rosyjski), podtrzymywały wszystkie środkowoazjatyckie ex-sowieckie republiki (dąsa się tylko Turkmenia). 7-go sierpnia spotkali się w Moskwie prezydenci Kazachstanu, Uzbekistanu, Kirgizji i Tadżykistanu, którzy ustalili, że wspólnie będą

bronić granicy z Afganistanem a także porozumieli się co do polityki finansowej. Prawie nikogo nie dziwi troska Rosji o granicę leżącą o wiele tysięcy kilometrów od granicy rosyjskiej.

Jak rozpatrywać ustawę o wolności sumienia, czy jako przejaw siły, słabości czy głupoty? Są różne na ten temat poglądy. Rada Najwyższa ustawę już zatwierdziła. Prezydent jeszcze jej nie podpisał. Niepokój wzbudziły paragrafy 13, 14 i 15. Przewidują one konieczność rejestracji, tj. wstępnej zgody wszystkich zagranicznych misjonarzy od baptystów do Kościoła katolickiego, czy od sekty Moona do Hare Kriszna itd. Rada Najwyższa odpowiedziała na postulaty patriarchy cerkwi prawosławnej, Aleksieja II, który napisał do deputowanych 8 grudnia 1992: „W chwili obecnej problem przenikania do Rosji zagranicznych organizacji religijnych i rozszerzania się sfery ich działalności nabiera charakteru politycznego jako zjawisko powodujące destabilizację w tak niespokojnej sytuacji w społeczeństwie i w kraju. I nie można dalej tego nie zauważać”.

Od razu trzeba powiedzieć, że niepokoi się nie tylko głowa cerkwi prawosławnej. Głowa muzułmanów europejskiej części WNP, Syberii i krajów bałtyckich, szejk Rawil Hajnuddin, także zwrócił się do Rady Najwyższej o obronę rosyjskich muzułmanów od zagranicznych misjonarzy islamu i zagranicznych chrześcijańskich misjonarzy. W wywiadzie dla BBC szejk Hajnuddin wyjaśnił, że „rozprzestrzenia się obca nam ideologia i my nie możemy do tego dopuścić”. Poparł nową ustawę główny rabin moskiewskiej synagogi, Adolf Szajewicz. Są pewne podstawy do tego zaniepokojenia. W ciągu ostatnich trzech lat w Rosji zjawiono się tysiąc cudzoziemskich misjonarzy indywidualnie oraz 50 religijnych organizacji. Dziesiątki tysięcy moskwičan zapęniają stadiony kiedy występuje tam Bill Graham i inni wybitni kaznodzieje, którzy wynajmują dla swoich występów teatry, zakupują audycje telewizyjne i rozdają biblię i długopisy, ale przede wszystkim głoszą oni słowo boże.

Wydawałoby się, że należałoby się z tego cieszyć, a przy tym, czego ma się obawiać Kościół prawosławny, który według oficjalnych statystyk liczy 60 milionów wiernych, a w ciągu ostatnich trzech lat otwarto 6 tysięcy nowych cerkwi i klasztorów. Okazuje się, że wobec konkurencji organizacje cerkiewne przystosowane przez 70 lat do władzy sowieckiej, okazały swoją słabość. Przerażone konkurencją postanowiły zastosować dotychczasowe metody zakazów i odmowy wjazdu. Jak zachowa się prezydent, który nie może, choćby z powodów politycznych, obrażać „swojej” cerkwi, no ale rozumie, że nowa ustawa ma charakter antydemokratyczny.

Wreszcie jeszcze jedno zjawisko, nie wiem, czy świadczące o sile czy słabości. Wiadomo, że w procesie demokratyzacji nowa

władza rosyjska odkryła archiwa. Ma się rozumieć, były również względy finansowe — zaczęto sprzedawać archiwalne dokumenty za dolary. Dlatego, i głównie dlatego, otworzono te archiwa, które mogły dostarczyć zarzutów, a nie mogły w mniemaniu archiwistów przynieść szkody Rosji. To, że archiwa zostały otwarte, to jest dowód siły. To, że targuje się dokumentami, to dowód biedy. Zresztą niedawno Rada Najwyższa zdecydowała zasadnicze archiwa znów zamknąć, ale coś niecoś wypłynęło. Nie pojawiły się dokumenty, które zmieniłyby poglądy o systemie sowieckim. Odkrywa się detale, drobiazgi, nierzadko sensacyjne. W marcu br. pismo *Stern* opublikowało dokument, w którego istnienie ja nie wierzyłem. Nie miałem nigdy wątpliwości, że Lenin otrzymywał od Niemców pieniądze na rewolucję, ale to, co było o tym wiadomo, było ubocznymi poszlakami. Wydawało mi się, że piśmiennego dowodu z podpisem Lenina być nie może. Przeniełem mądrość ojca rosyjskiej rewolucji, znalazły się dokumenty tam, gdzie powinny się znajdować, tj. w tajnym archiwum KC KPZS. Tam byłateczka z napisem Władimir Iljicz Lenin. Wszyscy mieli teczki, miał ją również Lenin, a tam depesze, np. z 18 czerwca 1917 r. ze Sztokholmu: „z rachunku Diskontgesellschaft na rachunek p. Lenina w Kronsztadzie przekazano 315 tys. marek”; 18 września: „paszporty i wskazaną sumę 207 tys. marek na polecenie waszego pana Lenina wręczono osobom wskazanym w waszym piśmie”, itd...

Pismo *Stern* raz jeszcze zapłaciło markami spadkobiercom, jeśli nawet oni od spadku po Leninie się odżegnują.

Kółko się zamyka — Lenin brał, Barannikow brał. Lenin brał na rewolucję, którą nazywał najwyższym szczęściem. Barannikow tak samo. Prawdopodobnie brał to za ważne dla niego cele. A jeśli należałoby wybierać to wybrałbym osobiście Barannikowa — łapówki, wspaniałe wille, automobile — to są ludzkie grzechy. Grzech Lenina był cięższy...

10. 8. 1993

Adam KRUCZEK

Ukraina — kocioł na trzech nogach

Za czasów Breżniewa opowiadano sobie dowcip o imitacji rewolucji i reform. Całe Politbiuro zasiadło w odziedziczonym po Leninie, Stalinie i Chruszczowie pociągu rewolucji. Poprzednicy Breżniewa napędzali pojazd ideologią, terrorem lub pseudo-reformami. Sam Breżniew zasiadłszy przy kierownicy kazał zasunąć firanki i polecił wszystkim zebranym naczelnikom naśladować gwizd lokomotywy. Podobnie dzieje się w tym roku na Ukrainie. Oczywiście, że w Kijowie nie ma ani wodza ani generalnego sekretarza, ale skłócony między sobą triumwirat Krawczuk-Kuczma-Pluszcz imituje reformy. W rzeczywistości od Lwowa do Charkowa szerzy się apatia. W mieście i na wsi panuje stagnacja. Sparaliżowana władza terenowa nie wykonuje ani ustaw uchwalanych lawiną w parlamencie, ani sterty dekretów prezydenta. Wartość karbowanów-kuponów stale maleje a ceny rosną w błyskawicznym tempie. Wbrew niezliczonym zapowiedziom rządu reformy gospodarcze utknęły w miejscu. Ekonomisci wyprodukowali w międzyczasie pięć rozmaitych wersji naprawy zepsutej gospodarki. Żadna z nich nie weszła w życie. Obecnie nowa ekipa głowi się nad nowym projektem. A dookoła kwitnie korupcja, mnożą się mafie a wraz z nimi duże i małe afery. Kto może kradnie co się da i wywozi wszystko co można sprzedać za granicą, a zarobiony zysk wędruje zamiast do skarbu państwa na tajne konta osobiste w zachodnich bankach. Rząd ukraiński za to nie ma pieniędzy na kupno budynków dla ambasad i konsulatów. Brakuje nawet dewiz na przyzwoite pensje dla dyplomatów. Żadna gazeta nie może sobie pozwolić na wysłanie korespondentów za granicę.

Może przybyśzowi z Zachodu dzisiejsze trudne lato Ukrainy prezentuje się zbyt pesymistycznie? Ale i „tubyłcy”, widzą otaczającą ich rzeczywistość również w mało różowym świetle. Oto co mówi jeden z najwytrawniejszych publicystów kijowskich, Mykoła Riabczuk:

„Chaos ekonomiczny, anarchia, brak odpowiedniego ustawodawstwa albo jego wewnętrzna chaotyczność, tworzą podatny grunt dla wszelkiego rodzaju złodziejstw, szachrajstw i korupcji. Spadek produkcji i pauperyzacja ludności, szerzenie się na tym tle nielegalnego, kryminalnego lub na pół kryminalnego biznesu, czynią wewnętrzną sytuację Ukrainy zupełnie niestabilną, a brak silnej władzy wykonawczej, utrata autorytetu państwowej administracji nad jej własnymi przedsiębiorstwami a nawet nad całymi branżami, ba regionami, przerzuca się z gospodarczej dezintegracji państwa na płaszczyznę dezintegracji politycznej”.

Nic ani dodać, ani ująć. Riabczuk odślania w bezwzględny sposób rzeczywisty obraz współczesnej sytuacji. Wtórkuje mu historyk-archeolog, który rzadko odzywa się na polityczne tematy, Petro Tołoczko, znany z przywiązania do niezależności poglądów i odwagi cywilnej. Otóż Tołoczko rzuca najpierw pytanie, jak to się stało, że w ciągu krótkiego czasu zmarnowano kapitał znakomitego plebiscytu z pierwszego grudnia 1991 roku, kiedy wydawało się, że przebyto już najtrudniejszą drogę do niepodległości, że Ukraina posiadając znakomitą ziemię, nieźle rozwinięty przemysł i wielu pracowitych i zdolnych ludzi da sobie jakoś radę.

„Nastąpiło nie tylko radykalne obniżenie stopy życiowej ludności, chociaż ta od dawna przyzwyczajona jest do niedostatku. Gorszym jednak zjawiskiem jest moralno-psychologiczna depresja społeczeństwa” — stwierdza uczony. Stan ten ilustruje charakterystyka nastrojów, w których, jego zdaniem, dominuje „apatia, psychologiczna niepewność, poczucie krachu ideałów, rozpacz”.

Gorzka prawda

Tołoczko przedstawia obraz obecnych stosunków społecznych ostrzej niż to uczynił dotychczas ktokolwiek z opozycji. Warto chyba zacytować kilka jego ocen: „Z gorzkimi uczuciami należy stwierdzić, że znowu znaleźliśmy się wobec pustki w dziedzinie narodowej idei. Połamaliśmy stare treści albo je dołamujemy, a nowego nie tylko nie stworzyliśmy, ale ma się wrażenie, że nie wiemy jak to w ogóle zrobić. Drepczemy w miejscu, na coś czekamy i wciąż żyjemy nadzieją, że ktoś nam w tym dziele pomoże. Posiadamy zagranicznych doradców, masowo jeździmy za granicę po cudze doświadczenia, a sprawy jak stały, tak stoją”.

Uczony piętnuje ukraińskich polityków za to, że po zdobyciu niepodległości, spoczęli na laurach i okazali się bardzo przeciętnymi jednostkami, zamiast sprawą państwa zajęli się prywatą, gromadzeniem dóbr doczesnych i na tym polu doszli do pokaznych wyników. Nastąpiło też pojednanie pomiędzy wczorajszymi przywódcami opozycji i dawnymi funkcjonariuszami partii komunistycznej w imię wspólnych przyziemnych ideałów. Niepomni niedawnej przeszłości, kiedy lud z obrzydzeniem patrzył na dostatki klasy partokratów, usiłują winę za stagnację zepchnąć na własne społeczeństwo, które rzekomo nie dorosło do demokracji i do reform. Kłamstwem jest — zdaniem uczonego — twierdzenie o rzekomym zacofaniu narodu w dziedzinie świa-

domości narodowej. Niektórzy działacze pragnęliby jednak Ukrainy mononarodowej. Ale realia są inne, gdyż oprócz Ukraińców, na Ukrainie żyją rozmaite narodowości, i wszystkie razem tworzą „naród Ukrainy”. Ogromna większość tego narodu akceptuje niepodległość, oczekuje jednak rozumnej koncepcji państwowej. Tołoczko rozwija też własną narodowościową i etnograficzno-regionalistyczną koncepcję, wartą przedstawienia:

„Radykalni narodowcy muszą się pogodzić z faktem, że Ukraińcy dzielą się na etnograficzne grupy ludnościowe, które różnią się nie tylko materialną kulturą, folklorem, specyfiką dialektów, ale i mentalnością. Próby narzucania jednej z nich innym, jako przodującej dla całego narodu ukraińskiego, nie przyniosą oprócz szkody nic dobrego. A przecież oprócz nas na Ukrainie żyją Rosjanie, Węgrzy, Polacy, Żydzi, Rumuni, Bułgarczy, Tatarzy i inni, wszyscy z własną mentalnością, i z tym należy się liczyć. A narodowościowa i religijna nietolerancja — o czym świadczą historyczne doświadczenia — są typowe dla narodów niedorozwiniętych”.

Autor gorzkich uwag nie cofa się przed krytyką programów politycznych, obarczonych balastem przeszłości w postaci agresywnego szukania wrogów i stawiania wciąż na nowo akcentów na „anty” a nie na „pro”. Dotyczy to, jego zdaniem, również koncepcji w polityce zagranicznej, na przykład w dziedzinie zmian w stosunku do broni nuklearnej, zwłaszcza, że Ukraina nie jest w stanie utrzymać tej śmiercionośnej broni. Starania o wstęp do Wspólnoty Europejskiej to dobre i pożyteczne zajęcie. Ale strategia ekonomiczna dyktuje najpierw pielęgnowanie współpracy z krajami Wspólnoty Niepodległych Państw i w pierwszej mierze z Rosją. Tołoczko z naciskiem podkreśla, że tendencja oddalania się od Rosji nie da pozytywnych wyników, gdyż „bez współdziałania w ramach dobrosąsiedzkich stosunków z Rosją na bazie wzajemnej suwerenności, wolna i kwitnąca Ukraina może się nie udać”.

Skąd ta stagnacja?

Ukraińska prasa wciąż jeszcze znajduje się w fazie stawiania na własne nogi. Brakuje jej odważnej i krytycznej publicystyki. W dalszym ciągu przeważają albo patriotyczne manifesty, albo fragmentaryczne skargi na poszczególne organa władz, lub spychanie niepowodzeń na „imperializm rosyjski”. Poważnych pism, zajmujących się analizą istniejącego systemu i jego błędów nie ma poza nielicznymi wyjątkami w rodzaju *Ukraińskiego Ohlada-cza* (z niskim nakładem) w Kijowie i tygodnika *Post-Postup* we Lwowie. Publicystykę tę uprawiają nie profesjonalści — jak w

wypadku cytowanego archeologa Tołoczki — lecz uczeni. Oto historyk Roman Subtelnyj z Toronto uważa, że główną przyczyną stagnacji, jest geneza ukraińskiej niepodległości. Powstała ona nie w wyniku zbrojnego powstania lub usilnej walki politycznej, porywającej masy, jak to było w Polsce, na Węgrzech czy w krajach bałtyckich, lecz wynikała z pomyłek Moskwy i upadku imperialnego centrum władzy. Na skutek tego ster rządów znalazł się w rękach dawnych warstw komunistycznych. Te zaś, nie mając żadnych zasług wyzwoleniczych a dźwigając na barkach kompromitujący balast dawnego konformizmu, nie posiadają żadnych środków mobilizujących zapał lub tylko zaangażowanie społeczne. Nie posiadają zatem żadnych podstaw moralnych, uprawniających do żądania od społeczeństwa ofiarności i poświęcenia.

Fiasko reform zostało spowodowane, według zdania młodego politologa lwowskiego Ihora Markowa, na skutek dwóch czynników: słabej bazy społecznej istniejących partii politycznych i nieudolności ich przywódców oraz kapitulacji prezydenta Krawczuka przed podejmowaniem decyzji politycznych. Po triumfie w plebiscycie z 1 grudnia 1991 Leonid Krawczuk posiadał nieograniczone możliwości. Zdobył charyzmę wśród szerokich mas oraz w elitach gospodarczych i intelektualnych. Ówczesny parlament, w większości co prawda komunistyczny — wciąż jeszcze przestraszony po nieudanym puczu moskiewskim, szukający rehabilitacji i gotowy do poparcia reform — nie był wówczas w stanie oprzeć się jakimkolwiek zmianom systemu. Mógł przyjąć silną władzę prezydencką. Ale Krawczuk zląkł się odpowiedzialności.

Jego polityka stała się nieustannym pasmem kompromisów, uników i wybiegów, potokiem frazeologii, budowaniem szklanych domów w utopii, a jednocześnie ucieczką od realizowania zapowiedzianych przemian. Okazał się mistrzem w lawirowaniu w myśl słynnego już dziś a znanego sprzed lat dowcipu: W Kijowie leje deszcz. Na Chreszczatyku wszyscy są pod parasolami, z wyjątkiem jednego prezydenta Krawczuka. Ktoś zaproponował mu parasol, ale Krawczuk podziękował mówiąc: „bo wiecie ja jakoś przesmyknę się pomiędzy kropelkami”. I to „przesmykanie się” pomiędzy konfliktami i okazjami stało się główną cechą charakterystyczną prezydenta Ukrainy. Jego kunktatorstwo zbliża go do Gorbaczowa. A wspomniany lwowski politolog Markow doszukuje się korzeni tego procesu głównie w tym, że Krawczuk w ciągu swojej kariery politycznej nigdy nie korzystał w pełni z posiadanej władzy, lecz zawsze był wykonawcą cudzych decyzji i poleceń. Zawsze był w drugim a nie w pierwszym szeregu możliwych tego świata. Nauczyło go to ostrożności, unikania zdecydowanych kroków i osłabiło dążenie do skupienia maksimum władzy w swych rękach.

Zablokowanie reform

Jesienią zeszłego roku wydawało się, że nowy gabinet Leonida Kuczmy, dotychczasowego dyrektora ogromnej fabryki rakiet, nareszcie ruszy z miejsca martwą bryłą gospodarki. Premier otrzymał od parlamentu szerokie pełnomocnictwa, co prawda nie takie, jak sobie tego życzył i nie na rok jak tego chciał, lecz tylko na pół roku. Powołany przez niego gabinet czynił wrażenie pierwszej zróżnicowanej koalicji pomiędzy „czerwonymi dyrektorami” i przedstawicielami umiarkowanej opozycji. Wkrótce jednak okazało się, że taki układ sił, nie mający z braku jasnych ugrupowań i frakcji odpowiedniej bazy parlamentarnej, nie jest w stanie harmonijnie pracować i że się wzajemnie blokuje. Pierwszą ofiarą konfliktów między dwoma orientacjami stał się liberalny wicepremier, profesor lwowskiej politechniki Ihor Juchnowski. Ponieważ opozycja nie poparła go — osmiesiło to przeciwników radykalnej reformy rynkowej, którzy przeforsowali co prawda nie całkowity upadek, ale duże osłabienie drugiego wicepremiera i rzecznika śmiałych kroków, zwłaszcza w dziedzinie monetarnej — najmłodszego w nowej ekipie rządowej ekonomisty Wiktora Penzenyka, również lwowianina. Wkrótce wzięła górę „mafia dniepropietrowska” Kuczmy, idąca podobną drogą jak gabinet Czernomyrdina w Rosji, czyli szlakiem państwowego kapitalizmu, w oparciu o wielki przemysł i jego dyrektorów. Ale zarządzenia Kuczmy, zdążające do ukrócenia złodziejstw i marnotrawstwa a zwłaszcza jego pomysł szybkiej prywatyzacji gospodarki rolnej, nie spodobały się części wspomnianego „czerwonego dyrektoriatu”, zwłaszcza w deficytowej gospodarce węglowej.

Wnet też przyszedł odwet ze strony niezadowolonych. W parlamencie odebrali premierowi pełnomocnictwa a w Donieckim Zagłębiu Węglowym urządzono mu w czerwcu największy w historii Ukrainy strajk górników. Pracę w kopalniach porzuciło 140.000 górników, a straty poniesione na skutek spadku produkcji i bezprawnych wypłat wyrównań strajkującym wyniosły 130 miliardów karbowanów-kuponów. W ten sposób plany Penzenyka uzdrowienia gospodarki przy pomocy zamrożenia zarobków dostały w łeb. Władze skapitulowały przed komitetami strajkowymi a tym samym również przed tą częścią dyrektorów, którzy chcieli wyjść cało z reform czyli po prostu do nich nie dopuścić. Ale robotnicy wzburzeni eksplozją cen i brakiem towarów wysunęli oprócz dezyderatów gospodarczych również ważne żądania polityczne, a mianowicie rozpisanie referendum w sprawie wotum zaufania dla parlamentu i dla prezydenta. Opozycja wykorzystwała szansę i zgłosiła wniosek o zmianę treści ple-

biscytu na rzecz głosowania o rozwiązaniu Izby Posłów i rozpiasanie nowych wyborów. Ale zręczny manipulator Iwan Pluszcz, jako przewodniczący Izby, nie dopuścił do takiej zmiany programu referendum wyznaczonego na 26 września.

Wszyscy ci, którzy traktowali strajk jako potrzebny wstrząs w zatęchłej atmosferze bezruchu i zapowiedź radykalnych przemian politycznych, zostali zawiedzeni. Czczymi okazały się też pogroźki prezydenta Krawczuka, który ni stąd, ni zowąd proklamował 16 czerwca utworzenie nadzwyczajnego reżymu ekonomicznego i usunięcie tym samym w cień Kuczmy, który według tego dekretu miał zostać wiceprezydentem. Ale jak tylko premier zagroził dymisją Krawczuk tak zląkł się swej niespodziewanej odwagi, że po czterech dniach odwołał swój „zamach stanu” i oczywiście ośmieszył się jak nigdy dotąd. Od tego czasu trzej przywódcy, czyli prezydent Krawczuk, premier Kuczma i przewodniczący parlamentu Pluszcz, blokują się wzajemnie. Najsilniejszą pozycję ma w tym trójkącie, który ktoś w Kijowie nazwał „kotłem na trzech nogach”, szef rządu Leonid Kuczma. Wyraźnie postawił na dyktando, czego wyrazem było wysunięcie na czołowe pozycje w gabinecie dwóch nowych ludzi ze starej sitwy dyrektorskiej w Zagłębiu Donieckim: Juchyma Zwiahljskiego i Walentyna Łendeka. To oni pod berłem premiera szykują nowy plan reform w duchu państwowego kapitalizmu i podpisanie układu o unii gospodarczej z Rosją i Białorusią, zapowiadanej we wspólnym komunikacie na początku lipca.

Nowa polaryzacja

Podniecone konfliktem o Sewastopol, wywołanym przez parlament rosyjski — z podwójną intencją przeciwko Ukrainie i Jelcynowi — ukraińskie partie prawicowe i centrowe odsądziły Kucznię od czci i wiary, za rzekomą zdradę narodowych interesów Ukrainy. Powstał nawet „okrągły stół”, będący czymś w rodzaju koalicji międzypartyjnej. Bieda tylko, że przywódcy tego kolejnego współdziałania „przeciw” a nie za jakimś „za”, to głównie pisarze, poeci i artyści, którzy nie mają zielonego pojęcia o tym, w jakiej katastrofalnej sytuacji znalazło się państwo ukraińskie. Zślepieni wyimaginowaną zdradą i pozbawieni jakiegokolwiek rozsądnej alternatywy a jednocześnie niezdolni na skutek braku międzynarodowych powiązań i kontaktów do nakłonienia Zachodu do przyścia Ukrainie z pomocą, pogłębiają wewnętrzne rozdarcie do cna już wyczerpanego kraju.

Polaryzacja odbywa się na wszystkich odcinkach życia społecznego. Ukraina posiada już 28 partii politycznych i 400 organizacji. Na lewym skrzydle spektrum podnoszą głowę komuniści,

na szczęście wciąż jeszcze rozbici na trzy lub cztery partie, chociaż usiłują się skonsolidować w formie koalicji pod hasłem „Pracującej Ukrainy”. Po przeciwległej, prawej stronie, ukonstytuowały się co najmniej cztery ugrupowania nacjonalistyczne: tradycyjne i nadal skłócone dwie odnogi dawnej OUN melnykowskiej i banderowskiej, którzy przenieśli swoje swary na Ukrainę i tam też wydają swoje czasopisma, ale główne kwatery utrzymują nadal za granicą, dalej grupa Państwowców-Niepodległościowców Kandyby, Narodowe Zgromadzenie pod wodzą Jurija Szuchewycza, syna legendarnego dowódcy Ukraińskiej Powstańczej Armii, współpracująca z nimi paramilitarna organizacja Samoobrony UNSO i wreszcie czysto faszystowskie ugrupowanie nacjonalistyczne. Podzielony jest też dawniej jednolity Ruch. Środek spektrum stanowi sojusz narodowych demokratów Partii Republikańskiej i Demokratycznej, przy czym jedynie Republikanie pod przewodnictwem Mychajła Horynia mają uporządkowaną bazę na prowincji, natomiast Demokraci — dawniej pod kierownictwem pisarza Dmytra Pawłyuczki a obecnie jego kolegi po piórze Jaworińskiego — istnieją przeważnie na papierze. Do nich można też zaliczyć rosnącą i żywą chadecję Żurawskiego. Natomiast Centrolew tworzący ponadpartyjną koalicję pod nazwą „Nowa Ukraina” to przede wszystkim wywodząca się z komunistycznych dysydentów Partia Demokratycznego Odrodzenia Ukrainy, Zjednoczona Partia Socjal-Demokratyczna i organizacyjnie nie wchodząca do koalicji ale z nią sympatyzująca Partia Zielonych. Większość z nich żąda nowych wyborów. To one, a nie zapowiedziane referendum, mogłyby stać się przełomem w obecnej stagnacji. Powstałyby w ten sposób zamiast obecnych złudzeń i imitacji prawdziwe polityczne realia i układy.

5 sierpnia

Bohdan OSADCZUK

Z prasy ukraińskiej

Światowy Kongres Wolnych Ukraińców wydał odezwę upamiętniającą przypadające w tym roku 60-lecie sztucznie wywołanego przez władzę sowiecką głodu na Ukrainie w latach 1932-33. SKWU zwrócił się do wszystkich ukraińskich instytucji i organizacji świeckich i religijnych na świecie o upamiętnienie tamtych

tragicznych wydarzeń. ■ 30 kwietnia w Użhorodzie spotkali się prezydent L. Krawczuk i premier Węgier J. Antal. Politycy dyskutowali nad możliwością utworzenia w regionie sojuszu politycznego i umocnieniem związków ekonomicznych między Węgrami i Ukrainą. ■ Bank Światowy i Ukraina podpisały list intencyjny, według którego Japonia, sponsor przekształceń ukraińskiej policji i systemu świadczeń społecznych przeniesie 1,5 mln dolarów z tego funduszu na programy socjalne i edukacyjne, związane z redukcją bezrobocia. Jednakże fundusze, te zostaną uruchomione wówczas gdy Ukraina upora się z hiperinflacją. Rząd premiera Kuczmy planuje redukcję inflacji z 40-60 % zimą do 2-3 % miesięcznie pod koniec roku. Rząd planuje także redukcję podatku obrotowego z 28 % do 20 % oraz obniżkę podatku dochodowego. Ukraina ma nadzieję ograniczyć swoją zależność energetyczną od Rosji poprzez import energii z innych krajów oraz nowe inwestycje energetyczne. Ukraina będzie płacić Rosji za dostarczany gaz naturalny ok. 60 % światowej ceny. Jeden tysiąc metrów sześciennych gazu kosztuje Ukrainę 15 tys. rubli. Rosja sprzeda Ukrainie w tym roku 60,3 milionów metrów sześciennych gazu i około 20 mln ton ropy. ■ Rząd Rosji oskarżył Ukrainę, że nie ratyfikując układu START-1 ani układu o nieprolifracji „prowadzi polityczną grę” i nie respektuje ustaleń lizbońskich z maja 1992 r., kiedy to Kazachstan, Ukraina i Białoruś zgodziły się wycofać ze swoich terytoriów broń nuklearną. Przewodniczący komisji spraw zagranicznych ukraińskiego parlamentu, Dmytro Pawłyczko, odpowiedział, że „...transfer broni do Rosji jest niemożliwy. Trzeba tę kwestię rozwiązać inaczej. Ukraina stanie się państwem bezatomowym za 10, może 15 lat”. Na terytorium Ukrainy znajduje się 176 rakiet strategicznych z około 2 tys. głowic nuklearnych. ■ Jak informuje *Szlach Peremoby* rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu odrzucił — w dyskusji podczas spotkania z delegacją ukraińskich działaczy politycznych — zgłoszony przez delegację pomysł gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy ze strony USA, w ramach NATO, w zamian za układ ukraińsko-amerykański o przystąpieniu do procesu rozbrojenia atomowego. ■ Kierownictwo Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej zwróciło się do rządu Ukrainy i parlamentu z prośbą o ponowne rozpatrzenie decyzji zamknięcia do końca 1993 roku dwóch pozostałych jeszcze w eksploatacji bloków energetycznych. Twierdzi ono, że wskutek tej decyzji utraci pracę tysiąc specjalistów, a roczne straty energii wyniosą 600 mln dolarów. Tym niemniej, parlamentarna komisja d/s Czarnobyla podtrzymała swoje stanowisko mówiące o konieczności zamknięcia elektrowni. ■ Długość życia na Ukrainie wynosi 63 lata (32 miejsce w świecie). Statystyki odnotowują najniższy spośród wszystkich byłych

republik ZSSR przyrost naturalny 14,5-15 dzieci na tysiąc mieszkańców, 12 % małżeństw nie posiada dzieci. Ukraina zajmuje pierwsze miejsce na świecie pod względem zachorowalności na raka. ■ Delegaci na XII Wielki Zjazd Ukraińskich Nacjonalistów, który odbył się w Kijowie 20-22 maja, swoim przywódcą obrali Mykołę Pławjuka z Kanady. Prezydent L. Krawczuk, oceniając wielkie zasługi Pławjuka dla odrodzenia państwowości ukraińskiej, przyznał mu honorowe obywatelstwo Ukrainy. *Nowyj Szlach* uznał ten gest za ważny krok w kierunku budowania nowego państwa. W swoim przemówieniu Pławjuk zapowiedział erę „państwowego ukraińskiego nacjonalizmu” jako jedynej ideologii mogącej dziś zjednoczyć Ukraińców i stworzyć temu narodowi perspektywę przetrwania. ■ W trakcie wizyty prezydenta RP Lecha Wałęsy na Ukrainie towarzyszący mu m.in. wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło przekazał zastępcy ministra kultury Ukrainy A. Fedorukowi cenne archiwum Towarzystwa „Proswita”, założonego we Lwowie w 1868 roku dla wspierania rozwoju kultury ukraińskiej. ■ Z okazji 40-lecia warszawskiej ukrainistyki na UW odbyła się w dniach 25-27 maja sesja naukowa na temat „Polsko-ukraińskie spotkania: historia, język, literatura”. Sesja zgromadziła kilkadziesiąt wybitnych historyków, politologów i literaturoznawców z Ukrainy, Niemiec, USA, Kanady, Polski. Obrady toczyły się w dwóch sekcjach: historycznej i filologicznej. Plon tej ważnej sesji, w postaci tomu prac, ma ukazać się pod koniec 93 r. ■ 5-6 czerwca odbył się w Warszawie II Zjazd Związku Ukraińców w Polsce. Przewodniczącym został ponownie J. Rejt. Związek stowarzysza 7 tysięcy członków zorganizowanych w 190 oddziałach. Wedle szacunków ZUwP mniejszość ukraińska w Polsce liczy 350 tys. osób. Największa organizacja ukraińska w Polsce boryka się z poważnymi kłopotami finansowymi — informuje *Nasze Słowo*. Przestał ukazywać się ukraiński kalendarz, zaniechano wydawania dodatków kulturalnych i czasopisma dla dzieci. Projekty prawnego uregulowania statusu mniejszości, opracowane przez ZUwP utknęły w rozwiązanej Sejmie. Związek nie posiada jasnej koncepcji udziału w wyborach. Jego przedstawiciele będą kandydować z list różnych partii, co jednak może dać lepszy wynik niż w poprzedniej elekcji, kiedy to żaden przedstawiciel Związku, ani mniejszości ukraińskiej, startujący z odrębnej listy, nie wszedł do Sejmu. Siłę tej organizacji osłabia działalność mniejszych ugrupowań ukraińskich przystępujących do terenowych sojuszy wyborczych z innymi mniejszościami np. o charakterze religijnym (Komitet Wyborczy Prawosławnych). W Polsce istnieje co najmniej osiemnaście stowarzyszeń, fundacji i organizacji ukraińskich i kilka czasopism dotowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. ■ Zdaniem

polskiego wiceministra kultury M. Jagiełły na podtrzymanie działalności kulturalnej organizacji mniejszości narodowych w Polsce anno 1993 potrzeba minimum 12,5 miliarda złotych. Dotacje idą głównie na podtrzymanie prasy. Natomiast na działalność organizacji mniejszościowych ministerstwo przeznacza w tym roku 5,6 mld złotych. Informacje te podało *Nasze Słowo* podsumowując wizytę przedstawicieli Związku Ukraińców w Polsce u ministra kultury Jerzego Górala. ■ W końcu maja Komitet Rady Europy odbył wyjazdowe posiedzenie w Kijowie. Posiedzenie było poświęcone sprawie stosunków Rady z krajami nie wchodzącymi w jej skład. Delegacja zapoznawała się ze stanem ochrony praw człowieka, mniejszości, swobód religijnych. Delegaci podkreślali, że możliwość przyjęcia Ukrainy do Rady Europy jest realna, lecz najpierw musi ona w całości zrealizować pięć podstawowych zasad: przeprowadzić demokratyczne wybory, stać się państwem demokracji pluralistycznej, państwem prawa, podpisać Europejską Konwencję Praw Człowieka i dotrzymać jej litery. Prawodawstwo musi odpowiadać normom światowym. Delegaci poinformowali, że Rada Europy wysłała dwóch znanych w świecie prawników dla ostatecznego wyjaśnienia czy Ukraina przestrzega praw człowieka. ■ 9 czerwca w Donbasie rozpoczął się strajk 10 tys. górników. Strajkujący żądali natychmiastowego ustąpienia wszystkich władz, oskarżając je o nieudolność i korupcję. ■ 9 czerwca na zaproszenie prezydenta L. Krawczuka przebywał w Kijowie kanclerz Niemiec H. Kohl. Ponownie rozmawiano o możliwości subsydiowania osadnictwa Niemców powołańskich przez budżet federalny. ■ W dniach 22-23 czerwca w Krynicy odbył się II Światowy Zjazd Rusinów, na który zjechali przedstawiciele ze Słowacji, Zakarpacia, Polski, byłej Jugosławii, Węgier, Rumunii i USA. Na kongresie aktywny udział przejawiali przedstawiciele organizacji łemkowskich z Zakarpacia oraz Słowacji i Polski, które usilnie przedstawiają Łemków jako naród należący do odrębnej grupy narodów rusińskich (sic!). Na zjeździe przyjęto kilka uchwał domagających się rozwoju szkolnictwa rusińskiego, stworzenia wydawnictw, fundacji kulturalnych. Wystosowano odezwę do prezydenta Ukrainy domagającą się od niego uznania podkarpackich Rusinów za naród i przyznania im autonomii terytorialnej oraz zwrócenia się do władz Rzeczypospolitej Polskiej o uznanie Łemków za część narodu rusińskiego, a także o reparacje w zadośćuczynieniu za akcję „Wisła”. ■ W dniach 24-27 czerwca w Krakowie kolejny raz odbyły się międzynarodowe Dni Kultury Europejskiej. Organizatorem ukraińskiej części programu była Fundacja św. Włodzimierza, chrzciciela Rusi, kierowana przez krakowskiego literaturoznawcę Wł. Mokrego.

Bogusław BAKUŁA

Polski Uniwersytet w Wilnie a rzeczywistość

Refleksje „Wilnianki z Zarzecza” na temat usiłowań stworzenia w Wilnie polskiego uniwersytetu zasługują niewątpliwie na bliższą uwagę i wydają mi się słuszne i rozsądne. Słuszne i rozsądne, bo koncentrują się na aspektach merytorycznych i praktycznych a nie emocjonalnych tej inicjatywy, w której nie można nie liczyć się z realiami obecnych stosunków politycznych polsko-litewskich i potencjalną możliwością takich czy innych komplikacji i obustronnych zdrażeń. Znamienny jest już sam fakt, że artykuł — napisany przez osobę niewątpliwie dobrze znającą nastroje Polaków tamtejszych — został ogłoszony pod pseudonimem — dla uniknięcia „nieprzyjemności”.

Tu przechodzę do historii poniższego artykułu. Kiedy w swoim czasie, chyba przeszło rok temu, doszły do mnie pierwsze wieści o planach zorganizowania polskiego uniwersytetu w Wilnie, a nawet, że „polski uniwersytet w Wilnie już działa”, pierwszą moją emocjonalno-patriotyczną reakcją było uczucie jakby podziwu dla tej istic polskiej brawurowej inicjatywy a nawet żalu, że sam w moim bardziej już niż podeszłym wieku i będąc w stanie prawie kompletnej ślepoty, nie mogę ofiarować się z pomocą. Ale zaraz przyszło otrzeźwienie, uświadomienie sobie konieczności ustalenia czy w warunkach polsko-litewskiej rzeczywistości są konkretne widoki na zrealizowanie tych ambitnych planów, a ponadto, czy istnieje po temu rzeczywiście niezbędna potrzeba.

Kiedy zaś po przemyśleniu tych spraw zacząłem pisać artykuł, przyszły inne bardziej osobiste wątpliwości, wątpliwości, które jak dziś widzę z anonimowego podpisu „Wilnianki”, miały swoje uzasadnienie. Otóż zaczęło mnie przesładować pytanie czy mam prawo wyrwać się z nieprzeszonymi radami, jako wilnianin wprawdzie ale nie „z zarzecza” a „zza oceanu”, który nie dzieli z żyjącymi tam ich codziennych spraw publicznych i prywatnych. Przeważało szale zdanie kolegi znającego sytuację z autopsji, który patrząc na tę sprawę dość podobnie jak ja, zdecydował, że „nie chce szkodzić tej inicjatywie”. Dziś jednak, w świetle artykułu „Wilnianki”, z którego wynika, że jest coraz więcej ludzi bardziej trzeźwo patrzących na te sprawy, zmieniłem zdanie w nadziei, że mogą być przydatne doświadczenia

człowieka, który zjadł zęby na stanowiskach i pedagogicznych i kierowniczych na uniwersytetach europejskich, amerykańskich i kanadyjskich.

Prawdą jest, że opuściłem Wilno, wyjeżdżając w roku 1933 na Daleki Wschód dla wielkiej przygody. Miało to jednak być kilka lat i tylko wskutek wybuchu wojny przeciągnęło się do dziś. Wilno to był mój dom. Tam się urodziłem — dosłownie i przenośnie w cieniu carskiego więzienia na Łukiszkach, gdzie oboje moi rodzice przebywali na zmianę w oddziale śledczym oskarżeni o nielegalną działalność, tam się wychowałem, skończyłem szkołę i uniwersytet, tam na Cmentarzu Bernardyńskim jest grób mojego ojca, wybranego w roku 1927 na prezydenta tego miasta głosami Polaków, Litwinów, Białorusinów i Żydów, z listy PPS. Dziś, aczkolwiek z daleka, wydaje mi się, że potrafię spojrzeć, na omawianą inicjatywę z punktu widzenia obecnej sytuacji i sformułować moje zastrzeżenia. A równocześnie przedstawić kilka propozycji — jak myślę, konstruktywnych.

Przede wszystkim, w jakiegokolwiek dyskusji o stworzeniu, z niczego, tego rodzaju instytucji, trzeba mieć konkretną popartą faktami i cyframi odpowiedź na trzy konkretne elementarne pytania: dla kogo, przez kogo i dlaczego? Czwarte pytanie: z czego? można ewentualnie odłożyć na przyszłość bo ostatecznie, jak wiemy, niejedna pożyteczna instytucja powstała ze zbożnych nadziei na szczodrość rodaków i życzliwych cudzoziemców.

A więc studenci. Nie wiem czy przeprowadzono ankietę aby ustalić ilu, przynajmniej w przybliżeniu chciałoby się zapisać na uniwersytet, jaka jest ich znajomość języka polskiego i na jakim z wielu zapowiadanych wydziałów dany student chciałby studiować. (Według artykułu w *Panoramie* Dr. M. Jackiewicza, który otrzymałem, miało być kilkanaście „kierunków” m.in. medycyna ogólna, biologia, stomatologia, prawo administracyjne, ekonomia, filologia polska, angielska i niemiecka, informatyka itd.). Przypuszczam, że większość studentów miałaby przyjść ze szkół polskich, a więc ze znajomością polskiego? Ale należy chyba przypuszczać, że większość tamtejszej młodzieży nie nosi się chyba z zamiarem emigrowania do Polski, a więc w dostępie do obranych zawodów byłiby upośledzeni w stosunku do swoich kolegów z uczelni litewskich.

Sprawa obsady katedr wygląda zgoła beznadziejnie. Na miejscu Polaków ze stażem naukowym, wymaganym dla objęcia katedry, prawie nie ma. Z USB, repatriowanego w swoim czasie całymi wydziałami do Polski nikt już nie żyje i nawet ich dzieci są dziś w wieku poemerytalnym. Masowy import profesorów z Polski, nawet gdyby jakimś cudem taka możliwość zaistniała, to pozostałby jeszcze problem natury politycznej i praktycznej, co widoczne było nawet przy okazji podpisania w

styczniu r. 1992 tzw. Deklaracji Wileńskiej.

Ostatnio słyszę o nowym pomysle połączenia istniejących zaczątków Polskiego Uniwersytetu w Wilnie — P.U.W. z istniejącym jeszcze Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie P.U.N.O. Nie wydaje mi się żeby to w jakiegokolwiek mierze zmieniło sytuację, jako że z P.U.N.O. zostały już tylko resztki. Od kilku lat emigracja polityczna z Polski ustała. Historię P.U.N.O. znam dość dobrze, sam do pewnego stopnia będąc jedną z tych resztek, ponieważ w swoim czasie zgodziłem się kierować pracą doktorską księdza Zdzisława Peszkowskiego z Seminarium Polskiego w Orchard Lake, Michigan, byłego więźnia Katynia, dziś Prałata. O ile pamiętam, przerabiał on wymagane kursy w czasie urlopów w Londynie a jeden czy dwa u mnie na University of Wisconsin, gdzie również dyskutowaliśmy postępy w jego rozprawie doktorskiej, którą ostatecznie zaakceptowałem, już nie pamiętam w którym roku, i która została przyjęta przez Wydział w Londynie (drugim referentem był mój młodszy kolega z Wilna, Józef Bujnowski, który na tymże P.U.N.O. uzyskał doktorat kilka lat wcześniej). Historia P.U.N.O. może być dla porównania dobrym przykładem na to w jakich warunkach stworzenie uczelni polskiej poza granicami jest potrzebne i uzasadnione pod względem zadośćuczynienia wymaganiom akademickim. Stało się to w czasie gdy pod koniec wojny znalazła się na terenie Anglii duża ilość Polaków, w wieku zarówno młodym a więc potencjalnych studentów jak i dojrzałym, wśród których była pokaźna ilość ludzi o kwalifikacjach profesorskich. Duża część młodzieży nie znała dostatecznie języka angielskiego aby studiować na uczelniach angielskich. To samo zresztą dotyczyło znacznej części profesorów, tradycyjnie obznajomionych głównie z językiem francuskim i niemieckim. Przy pomocy finansowej rządu angielskiego możliwe okazało się uruchomienie szeregu wydziałów w dziedzinach specjalistycznych, takich jak medycyna, inżynieria, ekonomia itd., w języku polskim, pod egidą różnych uczelni angielskich. W Londynie stworzono własne centrum nauk humanistycznych, właśnie P.U.N.O., które gdy dochodziło do podejmowania przez studentów prac na stopień doktorski musiało w szeregu wypadków korzystać ze współpracy profesorów spoza Anglii, jak np. profesor Zaborski z Montrealu, profesor Lednicki z Berkeley i in. Oczywiście wszystkie te plany były na krótką metę, gdyż wszyscy studiujący byli przygotowani na szybki powrót do kraju. Dziś powracają już ich dzieci albo wnukowie.

Dobrym, a może nawet lepszym, przykładem tego rodzaju przedsięwzięcia mógłby być planowany zaraz po pierwszej wojnie światowej Uniwersytet Ukraiński w Polsce. Niestety omówienie tego tematu wymagałoby o wiele bardziej obszernego ujęcia,

przekraczającego ramy krótkiego artykułu. Poprzestaję więc tylko na przypomnieniu, że były tam — w odróżnieniu od sytuacji w Wilnie — wszelkie po temu warunki, jeśli chodzi nie tylko o studentów ale również o profesorów i była początkowo podpisana przez rząd Polski zgoda na otwarcie i finansowanie tej instytucji, z czego rząd Polski później się wycofał. Właśnie bliższe oświetlenie tego wycofania się, uważanego przez szereg polskich polityków, historyków i pisarzy (jak np. mój ojczym Władysław Orkan) za poważny błąd, wymagałoby dłuższej, rzutużącej w przeszłość egzegezy polityczno-historycznej na temat tragicznej sytuacji Ukraińców.

Powyższe przykłady są nie najgorszą ilustracją większości problemów stojących przed inicjatorami uniwersytetu polskiego w Wilnie. A przecież nie było jeszcze mowy o szeregu innych konkretnych spraw, które musiałyby być brane pod uwagę, jeżeli miało dojść do realizacji przedsięwzięcia. Są to takie prozaiczne potrzeby jak posiadanie odpowiednich budynków na sale wykładowe, bibliotekę, administrację, laboratoria i ich ekwipunek itd., itd. Wszystkie te elementy, łącznie z obsadą katedr w taki sposób aby uczelnia mogła spełniać warunki potrzebne do akredytacji międzynarodowej dla uzyskania prawa wydawania dyplomów uznanych w kraju i poza krajem, są rzeczą niezbędną, która wymagałaby mrówczej długoletniej pracy dużego zespołu specjalistów, zakrojonej chyba na szereg lat. Jak wspomniałem, nie mówię tu o finansach. Wiem z ostatnio otrzymanej prasy, że odbywają się w Polsce i na Litwie zbiórki funduszków i książek, ale wiem jak w tej chwili przedstawiają się perspektywy realizacji ambitnych planów w oczach samych inicjatorów.

Tymczasem więc, w pesymistycznym przewidywaniu raczej negatywnego wyniku w podsumowaniu dotychczasowych osiągnięć przez samych organizatorów, chciałbym podać kilka sugestii alternatywnych, o wiele skromniejszych ale idących po linii tych samych trosk i celów, które przyświecały autorom pierwotnych planów.

Otóż wydaje mi się, że przyjmując za podstawę obustronne dążenie do ugruntowania jak najbardziej dobrosąsiedzkich stosunków między Polską i Litwą, w usiłowaniu zaspokojenia potrzeb i aspiracji zarówno narodowych jak i edukacyjnych młodego pokolenia ewentualnym wyjściem bardziej praktycznym, a nawet być może bardziej celowym mogłoby być powołanie jakiegoś ciała zbiorowego polsko-litewskiego autoryzowanego i finansowanego przez oba rządy, jakiejś komisji czy komitetu, czy rady nadzorczej złożonej z przedstawicieli szkolnictwa na poziomie wyższym i średnim. Bezpośrednim zadaniem tego ciała byłoby ustalenie takich spraw jak stan nauczania obu języków, tj. polskiego i litewskiego w szkołach polskich na Litwie, ponie-

waż ważną rzeczą jest odpowiedź na pytanie czy abiturienti mogą z równą łatwością podjąć studia na miejscowym uniwersytecie litewskim jak i na uniwersytetach polskich.

Drugim punktem byłoby pytanie, czy i jak można by przyczynić się do rozbudowania katedry filologii polskiej na litewskim uniwersytecie w Wilnie — a równocześnie filologii litewskiej na którymś z uniwersytetów polskich, gdzie istnieją już studia słowiańskie i bałtyckie. Umożliwiłoby to ewentualną wymianę profesorów, przyjeżdżających na wykłady semestralne lub roczne w zakresie lingwistyki, literatury, historii, ekonomii, folkloru, historii sztuki itd. Jednym z najważniejszych praktycznie problemów byłoby utworzenie funduszu stypendialnego dla studentów, tak aby mogli swobodnie decydować gdzie chcą podjąć studia uniwersyteckie. Powinno to moim zdaniem dotyczyć studentów zarówno polskich jak i litewskich. Dalszą sprawą byłaby kwestia wymiany książek i czasopism a także praktyki w różnych dziedzinach. Wyobrażam sobie, że studenci polscy mogliby sporo skorzystać z zapoznania się np. z organizacją różnego rodzaju kooperatyw na Litwie, a studenci litewscy w różnych dziedzinach techniki, przemysłu itd. To na początek.

W swoim czasie, w mojej polemice podczas wojny z postem litewskim w Sztokholmie, min. Ignasem Szejnusem, zapewniałem go z całą wiarą i zapałem, że po tej strasznej wojnie nie będzie już nigdy miejsca na żadne narodowe szowinizmy, ani polski, ani litewski, ani jakikolwiek inny. Dziś widzimy, że mój optymizm był mocno przedwczesny. Chciałbym, żeby przynajmniej w moim rodzinnym Wilnie moje ówczesne słowa — w ramach powyższych sugestii — mogły się spełnić.

Zbigniew FOLEJEWSKI

Kronika kulturalna

Spory o Polską Akademię Nauk

Początki III Rzeczypospolitej stały się widownią wielkiego sporu o Polską Akademię Nauk i jej ocenę. W wypadkach skrajnych, a chwytliwych dla niezorientowanych, oskarżono ją o stalinowską nie tylko metrykę, ale i charakter i o negatywną rolę w stosunku do polskiej nauki i jej dawniejszych instytucji, tak szkół wyższych, jak towarzystw i fundacji naukowych z Polską Akademią Umiejętności na czele. Obserwując od wielu lat działalność Polskiej Akademii Nauk, podobnie jak szkół wyższych, a w ostatnich latach będąc w jakimś stopniu odpowiedzialny za losy PAN, zdecydowałem się poddać weryfikacji głoszone na ten temat informacje i opinie i opublikować podstawowe wyniki tych obserwacji. Zaznaczam, że owe głoszone krytyczne oceny od początku nie zgadzały się z tym, co sam wiedziałem o tej instytucji, ani z krytycznymi opiniami, jakie pod jej adresem sam również głosiłem. Pragnę wyjaśnić, że w okresie szczególnie biurokratycznego podejścia do prowadzonych badań ze strony administracji Akademii, a specjalnie Komitetu Nauki i Techniki, który rozporządzał na nie funduszami, głosiłem tezę, że Mikołaj Kopernik gdyby żył i pracował w placówkach PAN, prawdopodobnie nie dokonałby, z nadmiaru papierków, swego odkrycia, a może nawet zostałby zwolniony za zbyt powolne uzyskiwanie wyników naukowych.

Jak wiadomo 30 października 1951 roku sejm uchwalił ustawę o Polskiej Akademii Nauk z odpowiednią frazeologią ideologiczną i nadał jej postać podobną do akademii istniejącej w Związku Sowieckim, jak też powstających w innych krajach tzw. obozu socjalistycznego. W tym zakresie sytuacja

wyduje się jasna, tym bardziej że był to okres szczególnego nasilenia się stalinowskiej wykładni socjalizmu oraz działalności partii i służb bezpieczeństwa. Jednakże dla historyka, a także świadka i w jakimś stopniu uczestnika tych wydarzeń, problem nie był jednoznaczny, skoro do sprawy stworzenia Akademii stosunek najwybitniejszych ówczesnych polskich uczonych był z reguły pozytywny, a w szczególności mam tu na myśli ludzi, których postawa, charakter i nieprzekupność polityczna była i jest dla mnie poza dyskusją. Był to dodatkowy motyw, by zastanowić się powtórnie nad powstaniem i działalnością Polskiej Akademii Nauk i podzielić z czytelnikami najważniejszymi wynikami tych rozważań, tym bardziej że właśnie one zadecydowały o moim zaangażowaniu się w sprawy Akademii i o wzięciu na me barki odpowiedzialności za jej losy.

Postawę ówczesnych polskich uczonych można rozpatrywać na dwóch płaszczyznach, a mianowicie stosunku do udziału w korporacji PAN oraz stosunku do powstających placówek naukowych Akademii. Trudno w tym miejscu analizować pełną listę powołanych wówczas na członków Polskiej Akademii Nauk uczonych. Wystarczy chyba jednak powiedzieć, że na 143 członków PAN powołanych na początku jej działalności, 69 to dotychczasowi członkowie PAU, a 73 członkowie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Oczywiście nie należy tych liczb dodawać do siebie, gdyż niektórzy uczeni posiadali godność członka i PAU i TNW równocześnie. Niemniej i z tych liczb wynika, że ogromna większość członków PAN to dawni członkowie PAU i TNW, wybrani niewątpliwie do grona tych towarzystw z racji swych osiągnięć badawczych i autorytetu naukowego. Można oczywiście podejrzewać, że owa pewnego rodzaju ciągłość wynikała z istniejących uwarunkowań, chociażby likwidacji PAU i TNW i ludzkich ambicji związanych z nową Akademią, ale nie tłumaczy to bynajmniej akceptacji Akademii przez uczonych o ustalonych osiągnięciach i autorytecie, którzy nawet wówczas mogliby sobie pozwolić na odmowę udziału w nowej korporacji.

Motywowi akceptacji przez wybitnych polskich uczonych należy szukać w dwóch płaszczyznach. Oczywiście nie wchodzi tu raczej w grę atrakcyjność ideologiczna, bowiem wszyscy wówczas wiedzieli, że wszelkie poczynania władz miały wzniosłą oprawę ideologiczną, z czego niewiele musiało wynikać. Jednocześnie wiadano, że nie znany u nas wzór korporacji związanej z siecią instytutów badawczych nieźle zdaje egzamin i daje szansę unowocześnienia nauki polskiej po-

przez stworzenie sieci instytutów badawczych, które by stanowiły o postępie w nauce i włączeniu do czołówki światowej. Próbowano nawet przed wojną stworzyć przy Towarzystwie Naukowym Warszawskim Instytut Biologii Doświadczalnej, zwany Instytutem Nenckiego. Obserwowano także akcję tworzenia instytutów badawczych w krajach zachodnich, instytutów zazwyczaj pozauniwersyteckich, których osiągnięcia cieszyły się powszechnym uznaniem, do wyróżnienia nagrodą Nobla włącznie. W każdym razie dla większości ówczesnych uczonych było sprawą oczywistą, że postęp badawczy wymaga tworzenia odpowiednich zespołów badawczych i odpowiednich warsztatów naukowych, czego szkoły wyższe nie będą w stanie zapewnić.

Szkoły wyższe ówczesnie miały inną jeszcze, bardzo groźną cechę. Były to tereny silnego nadzoru politycznego i rozbuchania komunistycznej organizacji studenckiej w postaci Związku Młodzieży Polskiej, którego aktywni członkowie dokonywali oceny i selekcji politycznej personelu naukowego. O ile w stosunku do profesorów mogło to nie zawsze być groźne, to w odniesieniu do młodszych naukowców, asystentów, adiunktów okazywało się na ogół skuteczne. W rezultacie pokoleniu, do którego się wówczas zaliczałem trudno było marzyć o pozostaniu na uczelni bez związania się z partią, bądź dzięki pójściu na daleko idące kompromisy z władzą i własnym sumieniem. Jeśli się chciało pozostać kimś niezależnym, z własnymi poglądami i postawą życiową, należało szukać miejsca w placówkach naukowych Akademii. W nich bowiem nacisk polityczny był o wiele mniejszy, jako że nie miało się okazji oddziaływać „demoralizująco” na młodzież, a indywidualności naukowe były cenione, a nawet poszukiwane. Taka konieczność ucieczki z uniwersytetu i szukania szansy na pracę naukową w Akademii dotyczyła oczywiście przede wszystkim nauk społecznych i humanistycznych, ale nie tylko, gdyż ludzie o niezależnym myśleniu w całym kraju byli źle widziani, a na uczelniach tym bardziej, niezależnie od ich profilu i specjalności. Nie oznacza to oczywiście, że placówki PAN były oazą ciszy i spokoju, ale znaczy, że dawały szansę pracy badawczej ludziom źle widzianym, a zdolnym i krytycznie myślącym, co w nauce jest również potrzebne. Nie chciałbym, aby powyższe uwagi miały charakter jakiegoś rozliczenia z moimi ówczesnymi kolegami, ale pragnę podkreślić, że bez Akademii i jej placówek nie zostałbym uczonym, podobnie jak wielu innych naukowców z mego pokolenia. I tę szansę pewnej tolerancji

politycznej i odejścia od stalinizmu dała nam Akademia ze swymi placówkami, i to od początków swego istnienia.

Pozostaje teraz pytanie na ile zostały spełnione nadzieje naszych uczonych na stworzenie przez Akademię sieci nowoczesnych instytutów badawczych. Zaczniemy od danych liczbowych. W pierwszym okresie swego istnienia, tj. w latach 1952-60, utworzono 17 instytutów naukowych i 18 samodzielnych zakładów badawczych. Do tej liczby doszły wcześniej powstałe placówki jak wspomniany Instytut im. Nenckiego, Instytut Matematyczny, Instytut Badań Literackich, Muzeum Ziemi oraz nieco później Instytut Sztuki. Do tego należy dodać 4 biblioteki naukowe, które pozostały bez podstaw materialnych, z racji przede wszystkim wcześniejszej likwidacji fundacji, a mianowicie biblioteki: Ossolineum, Kórnicka, Gdańska oraz PAU w Krakowie. W latach 1961-70 powstało 6 instytutów, głównie w oparciu o wcześniej utworzone zakłady oraz 7 innych placówek. Lata 1971-80 pozwoliły na uruchomienie 14 instytutów i 10 innego rodzaju jednostek. Wreszcie od 1981 r. przybyło 6 nowych instytutów oraz 8 innych jednostek. Nie był to zresztą jedyny kierunek zmian, gdyż niektóre zakłady zostały w międzyczasie przekazane szkołom wyższym, nie zawsze z dobrym skutkiem, oraz Państwowej Agencji Atomistyki itd., nie mówiąc już o łączeniu mniejszych zakładów w większe jednostki, instytuty. W rezultacie w końcu 1992 r. Akademia posiadała 52 instytuty badawcze, 15 zakładów naukowych, 13 centrów i ośrodków naukowych, 5 bibliotek oraz muzeum i ogród botaniczny. Była to spora struktura, która w tym okresie zatrudniała 11623 osoby, z czego bezpośrednio w placówkach badawczych 9385 osób, w tym 708 profesorów, 610 docentów, 1815 adiunktów i 970 asystentów. Była to zbiorowość znacznie mniej liczna aniżeli zatrudniona w szkołach wyższych, czy jednostkach badawczo-rozwojowych poszczególnych resortów, ale bardziej preselekcjonowana i zazwyczaj o bardzo wysokich kwalifikacjach naukowych.

Oczywiście można pytać, czy owe instytuty Akademii były rzeczywiście tworem naszej nauki i naszych uczonych, a nie importem obcych wzorów i ludzi. Trudno w tym miejscu podawać wykaz wszystkich twórców i organizatorów owych zakładów i instytutów, ale może kilka przykładów wyjaśni tę kwestię w sposób wystarczający.

Spośród instytutów nauk społecznych Instytut Historii w 1952 r. założył Tadeusz Manteuffel, ówczesny profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Nauk Prawnych — Jan Wasilkow-

ski profesor tegoż Uniwersytetu, a Zakład, potem Instytut Słowianoznawstwa — Tadeusz Lehr-Splawiński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z tegoż Uniwersytetu pochodzili profesorowie, którzy stopniowo tworzyli Instytut Językoznawstwa, a mianowicie Kazimierz Nitsch, Zenon Klemensiewicz i Witold Taszycki, wreszcie Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej zorganizował Kazimierz Michałowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Z innych dziedzin nauki warto wymienić profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Władysława Szafera jako twórcę Instytutu Botaniki w Krakowie. Początkowo w postaci zakładów powstały też takie instytuty, jak Parazytologii, utworzony przez profesora Witolda Stefańskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, czy Paleobiologii, twór Romana Kozłowskiego profesora tej uczelni. Z kręgu nauk technicznych warto wspomnieć o utworzeniu początkowo Zakładu Metalurgii przez profesora Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie Aleksandra Prutkowskiego i wielkiego Instytutu Podstawowych Problemów Techniki, który tworzyli przede wszystkim profesorowie Politechniki Warszawskiej, Janusz Groszkowski, Ignacy Malecki i Waław Olszak. Warto też dodać, że dwie ważne placówki medyczne, a mianowicie obecny Instytut Farmakologii założył Janusz Supniewski, profesor Akademii Medycznej (Uniwersytetu Jagiellońskiego wcześniej) w Krakowie, a Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej głównie Adam Opalski, profesor Akademii Medycznej w Warszawie.

Podobnych przykładów można by podać więcej, jednakże ograniczymy się jeszcze do wskazania instytutów, początkowo zwykle zakładów, z dziedziny nauk ścisłych, a mianowicie Instytutu Fizyki, który był dziełem głównie Leonarda Sosnowskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Fizyki Molekularnej, który został zorganizowany przez profesora Uniwersytetu Poznańskiego Arkadiusza Piekarę. Dodam wreszcie, że profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie Witold Budryk stworzył Instytut Mechaniki Górotworu.

Z powyższych przykładów wynikają niewątpliwie dwa wnioski, a mianowicie, że instytuty te tworzyli polscy uczeni, i to ci najwybitniejsi, i że ich oparciem dla tworzenia tych placówek i miejscem zatrudnienia były uprzednio uniwersytety czy politechniki, ewentualnie tzw. akademie medyczne czy górniczo-hutnicza. Wynika z tego dodatkowy wniosek, że mimo pracy na uczelni uznawali oni w pełni potrzebę stwo-

żenia odpowiednich instytutów badawczych, które uzupełniałyby i rozwijały badania prowadzone dotąd w szkołach wyższych i przybliżały nas do czołówki światowej w tym zakresie. Instytuty te pozwalały również oderwać się od tradycyjnych i sztywnych struktur uniwersyteckich, podjąć badania w dziedzinach nowych, nie reprezentowanych w szkołach, jak również badania interdyscyplinarne, wymagające współpracy różnych specjalistów.

Lata zimnej wojny były okresem niemal odcięcia nauki polskiej od światowej, a jednocześnie uporczywej indoktrynacji marksistowskiej i to w wydaniu dogmatycznym, w obrębie szczególnie nauk społecznych. Wprawdzie wcześniejsze zasady racjonalnej i krytycznej postawy badacza nie zostały wyparte, ale szczególnie w młodszym pokoleniu naciski te były groźne dla przyszłości naszej nauki. W tej sytuacji otwarcie kontaktów naukowych na zachód stało się kwestią podstawową. Inicjatywa w tym wypadku wyszła od Akademii i UNESCO. 8.09.1956 r. 30 młodych naukowców, przedstawicieli nauk społecznych, zostało wysłanych na 6 tygodni do Francji. Program przewidywał 3 tygodnie dyskusji z młodymi naukowcami francuskimi w Paryżu, na Sorbonie. Podczas objazdu Francji poznano przemysłową północ, okolice Bordeaux oraz Prowansję wraz z Alpami, oglądając tak zabytki kraju, jak też przykłady nowoczesnych zakładów przemysłowych, dzielnic mieszkaniowych itd. Ukoronowaniem pobytu miały być dyskusje w Paryżu, poświęcone naukom społecznym, ich problematyce, roli, metodologii itd.

Znaczenie owego wyjazdu do Francji polegało przede wszystkim na dwóch istotnych jego elementach. Pierwszy to był skład owych uczestników wyprawy, w której to grupie znalazło się 30 młodych naukowców dobranych, co warto podkreślić, według kwalifikacji intelektualnych, a nie politycznych, przy czym byli to nie tylko pracownicy naukowcy placówek Akademii, ale uwzględniono również pracowników szkół wyższych, co tym bardziej podkreślało elitarny charakter tej grupy. Drugim ważnym skutkiem pobytu było nawiązanie współpracy naukowej z Francją, uprzednio przerwanej, z tym istotnym dodatkiem, że po stronie francuskiej stała sławna VI sekcja Ecole Pratique des Hautes Etudes (później przekształcona w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales) ze znakomitym uczonym Fernandem Braudelem na czele.

Dla większości uczestników pobytu było to pierwsze szerokie zetknięcie się z Zachodem, był to swego rodzaju szok intelektualny i niejednokrotnie ideowy, o daleko idących

konsekwencjach. Było to zjawisko tym ważniejsze, że uczestnicy wyprawy mieli odgrywać później istotną rolę w życiu naukowym, a niejednokrotnie i politycznym kraju, a nawet międzynarodowym. Wystarczy wymienić takich uczestników jak: Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Jan Strzelecki, Stefan Nowak, Tadeusz Łepkowski, Emanuel Rostworowski, Zbigniew Radwański, Franciszek Ryszka, Jan Baszkiewicz, Antoni Rajkiewicz, Maria Janion, Andrzej Wyczański i inni. W każdym razie byli to z reguły niemal późniejsi znani naukowcy, a 8 spośród nich to obecni członkowie PAN i w 2 wypadkach wiceprezesa Akademii.

Dalej jednakże sięgały konsekwencje nawiązania bliskiej współpracy z F. Braudem i jego ośrodkiem naukowym. Już w 1956 r. pojawiły się pierwsze stypendia zaofertowane przez Polakom, a w 1958 r. doszło do zawarcia trwałego porozumienia o współpracy pomiędzy VI Sekcją EPHE a Wydziałem Nauk Społecznych PAN. Umowa ta, prócz dwustronnych odwiedzin, wykładów i bieżącej współpracy przewidywała, co najważniejsze, liczne stypendia dla polskich naukowców, przy czym przewidziano w nich udział młodych uczonych zatrudnionych zarówno w PAN, jak też w szkołach wyższych. W latach 60-tych była to niemała liczba 50 stypendystów rocznie, 25 z placówek Akademii i 25 ze szkół wyższych, którzy przyjeżdżali do Paryża na parę miesięcy, najczęściej na kwartał, aby uczestniczyć w seminariach tego znakomitego ośrodka, nawiązywać dalsze kontakty naukowe, zbierać materiały, a przede wszystkim czytać literaturę naukową francuską i z innych krajów. Pobyty te stały się podstawą kształtowania myśli naukowej w polskim środowisku nauk społecznych, tym bardziej że liczniejsze stypendia zagraniczne z innych krajów jak Anglia, RFN czy USA pojawiły się dopiero w latach 70-tych czy nawet 80-tych.

Te żywe i intelektualnie niezwykle płodne kontakty z Francją nie mogły nie wywołać obaw, a nawet przeciwdziałania ze strony władz i partii. Utrudnienia i krytyka jednostronnych, jak to określano, kierunków współpracy naukowej — a chodziło w tym wypadku o preferencje środowiska naukowego do kontaktów z zachodem a nie wschodem — dotykały głównie Akademii. Już w latach 60-tych władze zaczęły utrudniać, lub nawet uniemożliwiać, pracownikom naukowym równoczesną pracę w placówkach Akademii i szkołach wyższych. Dotyczyło to w tym wypadku głównie profesorów i prowadziło stopniowo do wyraźnego oddzielenia, a potem przeciwstawienia sobie środowiska PAN i uczelni.

Nasilenie tych działań nastąpiło po 1968 roku, gdy okazało się, że placówki PAN są znacznie odporniejsze na moczarowskie hasła polityczne i mniej posłuszne, nie mówiąc o nieprzyjmowaniu hasel antysemitycznych. W tej sytuacji władze partyjne postawiły na rozbięcie i skłócenie środowiska naukowego.

Pierwszą zasadą było nie tylko utrudnienie przepływu kadr czy łączenia pracy w placówkach Akademii i szkół wyższych, ale zróżnicowanie statusu prawnego i uposażenia w obu gałęziach nauki. Pracownicy szkół wyższych zostali nazwani nauczycielami akademickimi, co dawało pewne przywileje, a instytuty Akademii zostały podporządkowane scentralizowanemu planowaniu badań i finansowaniu poprzez banki, a nie bezpośrednio z budżetu, co pozwalało w każdej chwili na wstrzymanie kredytów i unieszkodliwienie niewygodnych zespołów naukowych. Groźba ta stała się zresztą źródłem bardziej mitręgi biurokratycznej, aniżeli cięć finansowych, ale zagrożenie istniało i należało się z nim liczyć.

Bardziej groźne okazały się skutki, powiedzielibyśmy dzisiaj, propagandowe tych działań. Wykorzystując zróżnicowanie obowiązków, szczególnie obciążenie tzw. pensum dydaktycznym w szkołach wyższych, odmienne warunki pracy i uposażenia, głoszono tezę o niesprawiedliwionych przywilejach, fantastycznych zarobkach i powszechnym lenistwie panującym w placówkach PAN. Przy ambicjonalnym przeczuaniu środowiska naukowego, braku możliwości weryfikacji realiów wobec odcięcia przepływu kadry, trzeba przyznać, że ta manipulacja polityczna odniosła wyraźny sukces i oddziałuje często dotąd, tym bardziej że nic nie zrobiono aby odciąć się od tego typu polityki.

To skierowanie niechęci środowiska naukowego przeciw naukowcom i nauce uprawianej w Akademii nie było przypadkowe. Ta ostatnia zbiorowość była mniej liczna, mniej nasycona przynależnością partyjną i bardziej krytyczna, silniej związana z nauką i ideologią Zachodu. Nie oznacza to, że personel naukowy szkół wyższych był całkowicie w rękach partii, ale owo dojrzewanie myśli krytycznej i postaw niesubordynowanych następowało tu później i na mniejszą skalę, i można było nawet podejrzewać swoiście demoralizujący wpływ pracowników naukowych Akademii w tym zakresie. Trudno zresztą uogólniać te postawy, jednakże można zaryzykować stwierdzenie, że Akademia z jej placówkami stanowiła przez długi czas intelektualne zaplecze opozycji politycznej. Nie należy tego rozumieć jako skupienia wszystkich opozycjonistów w strukturach PAN, ale w miarę kształtowania się i krystalizowania opo-

zycji właśnie w Akademii skupienie przedstawicieli opozycji było największe i najbardziej trwałe, oczywiście o ile w ogóle władze nie uniemożliwiały wszelkiego ich zatrudnienia.

Wobec zniszczenia czy niedostępności materiałów dawnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych trudno jest w pełni udokumentować wszystkie powyższe informacje, ale posłuży mi się opublikowanym przez J. Widackiego fragmentem oceny sytuacji politycznej w kraju, dokonanej przez MSW na użytek Biura Politycznego PZPR w 1984 r. Jest tam fragment, który brzmi jak następuje:

Sytuacja w środowisku naukowym, skupionym głównie w Polskiej Akademii Nauk, nie jest skutkiem działalności NSZZ Solidarność, ani też nie wynika z wydarzeń lat 1980–82. Kryzys polityczny, gospodarczy, społeczny, który ujawnił się ze szczególną ostrością w roku 1980, spowodował jedynie uzewnętrznienie się rzeczywistej sytuacji w PAN. Była ona skutkiem długotrwałego procesu oddziaływania ośrodków dywersji politycznej i centrów naukowych Zachodu na środowiska polskich naukowców. Realizowana przez długie lata koncepcja tzw. zjednywania elit zaowocowała tym, że w okresie wybuchu niezadowolenia klasy robotniczej oraz po utworzeniu NSZZ Solidarność znaczna część członków PAN poparła destrukcyjną działalność ekstremistów b. związku.

I dalej już na temat pracowników naukowych placówek Akademii czytamy: Prozachodnie kręgi naukowców skupionych w Polskiej Akademii Nauk stopniowo powracają do starych i wypróbowanych metod działania. Między innymi w 1983 r. na staże do krajów kapitalistycznych wyjechało ponad 1800 uczonych, przy czym przeznaczone na te cele środki zostały wyczerpane już pod koniec II kwartału. W tym samym czasie w naukach społecznych na wyjazdy do ZSSR wykorzystano zaledwie 30% przeznaczonych środków.

Wreszcie nasuwa się nam ostatnie pytanie. Jeżeli Akademia i jej placówki odegrały tak istotną rolę w osłabianiu PRL i przygotowaniu drogi do III Rzeczypospolitej, to dla czego PAN, zamiast otrzymać podziękowanie za swój wielki wkład w ukształtowanie nowoczesnej nauki i przyspieszenie przemian politycznych w Polsce, stała się przedmiotem oskarżeń i dyskryminacji, posuwającej się aż do postulowania likwidacji całej struktury.

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Oczywiście pozostały bardzo silne ślady działań Wydziału Nauki KC PZPR, które miały na celu zantagonizowanie środowiska naukowego i skierowanie jego niechęci przeciw Akademii. Jak

już wspomnieliśmy, nie uczyniono nic aby ten antagonizm zahamować, a być może nawet starano się go pogłębić. Dawne ambicje i kompleksy pozostały tak w odniesieniu do pracowników naukowych jak i niedoszłych członków korporacji, którzy nie odnieśli sukcesu w wyborach. Doszła do tego nowa przesłanka, a mianowicie fascynacja przeszłością, nawiązywanie do wzorów przedwojennych, gdy szkoły wyższe były ośrodkami nauki, a towarzystwa naukowe działały w oparciu głównie o własny majątek, nie podejmując zazwyczaj bezpośredniego prowadzenia badań. Nie pamiętano przy tym, że wówczas pojawiały się w Polsce silne, choć nieliczne, instytuty badawcze, i że od tego czasu nauka na świecie przebyła szmat drogi, zmieniła swą organizację, finansowanie, uwarunkowania materialne i ludzkie, że nastąpiło, jak to się mówi w naukoznawstwie światowym, przejście od małej do wielkiej nauki i nie kojarzono tego z powstaniem i działalnością Akademii w Polsce. Przewagę natomiast zyskiwały hasła egalitaryzmu naukowego, niezależnie od tego gdzie i od czego zależy postęp naukowy, i na czym polega intensywny i ekstensywny proces badawczy. Trzeba przyznać, że w zakresie naukoznawstwa, a szczególnie świadomości zasad i mechanizmów funkcjonowania nauki, stan wiedzy naszych naukowców okazał się kompromitujący.

Wreszcie ostatnie z nasuwających się pytań. We władzach III Rzeczypospolitej, rządzie, parlamencie, znalazło się bardzo wielu naukowców, w szczególności zatrudnionych uprzednio w placówkach Polskiej Akademii Nauk, co wydaje się oczywiste w świetle poprzednich wywodów. Niemniej wystąpiło raczej zjawisko odcinania się przez nich od Akademii, zamiast brania jej w obronę, wykazywania obojętności, jeśli nawet nie niechęci. Oczywiście życie polityczne pochłania całkowicie i niechętnie się wraca do przeszłości. Jest przy tym chyba jeszcze jeden element psychologicznie zrozumiały, choć niesprawiedliwy. Bywa, że w życiu politycznym odciełtym od dłuższej tradycji, od weryfikacji polityka poprzez jego działalność, liczą się mniej lub bardziej przekonujące zasługi w obrębie opozycji i występuje społeczne zapotrzebowanie na martyrologiczną biografię. Jeśli zaś istotna część tego życiorysu przypadała na pracę w Akademii, to niekiedy tym gorzej dla tej instytucji, tym mniej zdaje się zasługiwać na wdzięczność i podziękowanie. Myślę zresztą, że te zjawiska stopniowo zanikają a niechęć znajdzie inny, słuszniejszy kierunek.

Miłosz w Czechach

Na zaproszenie Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Pradze na przełomie maja i czerwca bieżącego roku wizytę w Czechach złożył Czesław Miłosz. Okazją do zaproszenia poety było wydanie w Czechach w ciągu ostatnich kilku miesięcy aż czterech jego książek — „Hymnu o perle” w przekładzie Mirosława Cervenki, „Świadczenia poezji” w przekładzie Vaclava Buriana, „Doliny Issy” w przekładzie Heleny Stachovej (wszystkie trzy tytuły ukazały się nakładem wydawnictwa „Mladá fronta”, jedynej czeskiej oficyny, która nie zrezygnowała w ostatnich latach z publikowania wybitnych utworów polskiej literatury) oraz „Zniewolonego umysłu” w przekładzie Andreja Stankoviča i Jindřicha Bellinga w prywatnym, ambitnym wydawnictwie „Torst”. Ta ostatnia książka ukazała się zresztą już poprzednio trzykrotnie w bardzo niewielkich nakładach w czeskim samizdacie.

Zainteresowanie spotkaniem autorskim z Czesławem Miłoszem w praskim Ośrodku Kultury Polskiej było ogromne. Rozpoczął je znany aktor czeski Luděk Munzar, który przeczytał kilka wierszy z tomu „Dalsze okolice” w przekładzie Vlasty Dvořáčkovéj, a następnie sam autor czytał swoje najnowsze utwory i odpowiadał na liczne pytania. Zapytany o swoją tożsamość narodową Miłosz odpowiedział:

Mój profesor filozofii i prawa, Wiktor Sukiennicki, który zmarł w Kalifornii, mawiał: „ja jestem Litwinem o kulturze polskiej”. Dzisiaj, oczywiście na Wileńszczyźnie są Polacy, ale to nie jest formacja, która by umożliwiła na dłuższą metę istnienie takich ludzi jak profesor Sukiennicki. Tamtejsza mniejszość podkreśla swoją polskość, ale nie wiem doprawdy, jak się sprawy ułożą w przyszłości. Gdybym ja powiedział, że jestem Litwinem o kulturze polskiej, to w Polsce też nikt by nie zrozumiał. Ja zachowałem swoją część litewską i wcale się jej nie wypieram. Kiedy w wywiadzie zapytano mnie: mówią, że Pan jest nie dosyć Polakiem — odpowiedziałem — „gdyby w Jugosławii było więcej 'nie dosyć' Serbów i Chorwatów, to może byłoby lepiej”. Chciałbym uniknąć nieporozumień, bardzo mi zależy na przyjaznych stosunkach między Polską a Litwą. Zresztą jest to linia, którą propagowała *Kultura* paryska, a jestem jej współpracownikiem od wielu dziesiątków lat. To była tzw. „linia Giedroycia”, obliczona na przyszłość, gdy skończy się komunizm w Europie Wschodniej, ważne będzie zgodne współzycie Polaków i Litwinów, Polaków i Ukraińców, Polaków i Białorusinów wreszcie. I

dziś bardzo zajmuje mnie współdziałanie w tych kwestiach. Po to napisałem „Szukanie ojczyzny”.

Na pytanie o obecną sytuację literatury polskiej Miłosz odpowiedział m.in.:

Moi młodzi koledzy, poeci z Polski, z oburzeniem przyjęli mój apel, że trzeba postawić tamę napływowi Zachodu. Nie chodziło mi o tworzenie skansenów, ale o to by nie traktować poważnie wszystkich popłuczyn zachodniej cywilizacji i żeby zachować szacunek dla przecinka i kropki, że tak się wyrażę. Polska inteligencja twórcza choruje na chorobę awangardowości za wszelką cenę. W Polsce istnieje zbyt wielki rozdziew pomiędzy kulturą elity a kulturą masową. Często zazdrościłem Czechom, że istnieje w ich kulturze średni poziom literatury czy też filmu, nie zanadto elitarny i nie za niski. Na przełomie XIX wieku kobietę zbyt wyelegantowaną określano mianem „wypimpiszona”. Obawiam się, że współczesna literatura polska jest w znacznym stopniu „wypimpiszona”. I przed tym chciałbym ją bronić.

Następnego dnia podczas drugiego spotkania w Ośrodku Kultury Polskiej, Miłosz podpisywał swoje książki. Kolejka po autograf autora ciągnęła się na schodach Ośrodka z parteru na drugie piętro i trwała ponad godzinę.

27 maja w willi Lanna w Pradze odbyła się uroczystość wręczenia Czesławowi Miłoszowi honorowej Złotej Plakiety Akademii Nauk Republiki Czeskiej za zasługi dla nauki i ludzkości. Jest to najwyższe wyróżnienie, jakie przyznaje czeska Akademia Nauk. W uroczystości wzięli udział m.in. ambasador RP w Republice Czeskiej Jacek Baluch, a także przedstawiciele Ambasady USA.

W trakcie wizyty w Pradze Czesław Miłosz był także gościem Uniwersytetu Karola w Pradze. 31 maja w przepelnionej słuchaczami sali Auditorium Maximum Wydziału Filozoficznego odbyło się spotkanie ze studentami i pracownikami praskiej uczelni. Nazajutrz po zabytkowych salach Karolinum oprowadził Czesława Miłosza oraz jego małżonkę rektor Uniwersytetu Karola, prof. Radim Palouš, który następnie poprowadził dyskusję z udziałem polskiego gościa na temat „Erozja cywilizacji chrześcijańskiej w XX wieku” w gronie kilkudziesięciu czeskich intelektualistów. Oba spotkania na Uniwersytecie Karola zorganizowane zostały staraniem Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej i attaché kulturalnego Ambasady RP w Czechach.

2 czerwca Czesław Miłosz odwiedził Ołomuniec, gdzie spotkał się z rektorem Uniwersytetu Pałackiego prof. Josefem Jařabem, a arcybiskup Ołomuńca Jan Graubner podjął polskiego

poetę obiadem, w którym uczestniczył m.in. konsul generalny w Ostrawie Jerzy Kronhold. Po południu w sali miejscowego muzeum sztuki odbyło się spotkanie autorskie Czesława Miłosza, które przygotowali zamieszkujący w tym mieście tłumacze jego poezji Vaclav Burian i Iveta Mikešová.

Czeskie spotkania Miłosza były okazją do jego kontaktów z tłumaczami jego utworów nie tylko z Czech, ale także z Bułgarią i Litwą. Liczne były kontakty z przedstawicielami mniejszości polskiej w Czechach. W spotkaniach w Ośrodku Kultury Polskiej i na Uniwersytecie Karola uczestniczyli przedstawiciele ambasady litewskiej, ambasady ukraińskiej i ambasady amerykańskiej w Republice Czeskiej. Miłosz odwiedził także Ludvika Vaculíka, wybitnego powieściopisarza, autora „Sennika czeskiego”, który był jednym z filarów opozycji demokratycznej w Czechach od czasów Praskiej Wiosny. W radiu Vltava nagrano audycję z udziałem Czesława Miłosza na temat jego poezji i pracy w radiu. Zaproszony też został do Instytutu Słowiańskiego, gdzie jego nazwisko uroczystie wpisano na pierwszym miejscu odnowionej listy członków zagranicznych Instytutu.

Była to czwarta wizyta Czesława Miłosza w Czechach. Poprzednio przyjeżdżał do tego kraju w latach 1931, 1950 i 1990.

Zbigniew MACHEJ

PROTEST STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

3 czerwca br. Telewizja Polska udzieliła głosu prezesowi (neo) ZLP p. Piotrowi Kuncewiczowi w programie „Pegaza” zatytułowanym „Replika”. Formalnie miała to być odpowiedź na wyemitowane trzy tygodnie wcześniej w „Pegazie” mini-wywiady z kilkoma naszymi kolegami. Dotykały one dość pobieżnie sprawy podziałów organizacyjnych w środowisku pisarskim. Tak się złożyło, iż w okresie między obydwoma audycjami odbył się w Warszawie III Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, poprzedzony dwudniową konferencją literacką na temat stanu współczesnego piśmiennictwa. Zarówno na konferencji, jak w toku obrad zjazdowych, istota zatargu dzielącego środowisko znalazła rzeczowe i wyczerpujące oświetlenie, m.in. w referacie Jana Józefa Szczepańskiego, autora nieprzedawnionej „Kadencji” (I wydanie podziemne — 1986), obecnie zaś honorowego prezesa SPP.

Telewizja Polska nie pofatygowała się na Zjazd Stowarzyszenia, które — warto wiedzieć — skupia ośmiuset z górą pisarzy, w tym kilkudziesięciu przebywających na obczyźnie (z Miłoszem i Herlingiem-Grudzińskim na czele), nie interesowały jej też poważne obrachunki i debaty toczone podczas wspomnianej konferencji przez reprezentantów kilku pokoleń literackich: od Zbigniewa Bieńkowskiego po Marka Pąkińskiego. Wołała natomiast pokazać p. Kuncewicza, który przypuścił atak na nasze Stowarzyszenie i w sposób oburzający usiłował wprowadzić w błąd opinię publiczną. Starł się stworzyć wrażenie, iż (neo) ZLP jest obiektem wyjątkowo niekoleżeńskiego i, w gruncie rzeczy, nieuzasadnionego ostracyzmu ze strony Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Z całą dobitnością przypominamy zatem opinii publicznej, że do likwidacji zdemokratyzowanego, samorządowego Związku Literatów Polskich przyczynili się przed laty dziesięcioma ci sami działacze-uzurpatorzy, którzy wkrótce potem, na zlecenie i za zachętą antysolidarnościowych władz PRL, powołali do istnienia twór nowy, zupełnie sztuczny i uległy, a pod prawnym-moralnym względem kompromitujący. 19 sierpnia 1983 r. prezydent miasta stołecznego Warszawy podjął decyzję o rozwiązaniu — zawieszonym od dwudziestu miesięcy — Związku Literatów Polskich, a już dnia następnego, tj. 20 sierpnia, z gotowym projektem założenia nowej organizacji na gruzach starej wystąpiła pewna grupa pisarzy, pisarzy — wedle ich własnego „Oświadczenia” — „szanujących ustrój i prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Organizacja ta przejęła nazwę, agendy i majątek dawnego ZLP.

Pisarze niezależni, którzy nie ulegli naciskom wywieranym na nich w stanie wojennym tudzież jego przedłużeniach, eufemistycznie nazwanych „szczególną regulacją prawną” w okresie przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego; ci, którzy przeciwstawiając się łamaniu praw ludzkich, broniąc godności własnej i dobrego imienia polskiej literatury, do (neo) ZLP nie przystąpili; ci wszyscy, w początkach 1989 roku, zorganizowali się w Stowarzyszenie Pisarzy Polskich działające do dziś.

To nie jakieś nieistotne detale, lecz przeciwstawność tradycji i zasad odgranicza nas od (neo) ZLP — faktycznego pogrobowca stanu wojennego.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich wyraża stanowczy protest wobec praktyk telewizyjnego „Pegaza”. Jesteśmy bowiem przekonani, że pora najwyższa skończyć z zatrutowaniem życia publicznego dezinformacją i manipulacją. Naszym zdaniem problemy środowiska pisarskiego, jak wszystkie niełatwe problemy, wymagają od komentatorów choćby minimalnej wiedzy, rozeznania, jak również odrobiny taktu.

Warszawa, dnia 8 czerwca 1993 r.

ZARZĄD GŁÓWNY
STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Sydney, Australia, 7 lipca

Na kolejnym posiedzeniu, w dniu 6.7.1993, dyrekcja Fundacji przyznała doroczne dalsze 22 wyróżnienia osobom zaangażowanym w ruchu kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego. Wyróżnienia otrzymali:

Jan BERNAD — za pracę nad zachowaniem i popularyzacją muzyki wschodniego pogranicza Polski; Rozalia BRANSKA — za pracę wśród dzieci i młodzieży specjalnej troski; Anna CYBULSKA — za rozwój kultury i za pracę społeczną na terenie Woli Okrzejskiej; Antoni CYBULSKI — za rozwój kultury i pracę społeczną na terenie Woli Okrzejskiej; Helena FILIPIONOK — za pracę społeczną na Łotwie; Janina GŁOWECKA — za pracę społeczną na Łotwie; Zygmunt IHNATOWICZ — za pracę społeczną na Łotwie; Alina JANOWSKA-ZABŁOCKA — za działalność społeczną i obywatelską na terenie Żoliborza w Warszawie; ks. Leonard KOZŁOWSKI — za pracę społeczną na Łotwie; Jan KRYPA — za działalność obywatelską na terenie Ziemi Puckiej; Jadwiga LULEK-STEĆ — za pracę na rzecz współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej; Monika MAMIŃSKA — za pracę w dziedzinie kultury pogranicza wschodniego i południowo-wschodniego Polski; Alicja MATCZAK — za rozwój kultury i pracę społeczną na terenie Główna; Janka OCHOJSKA — za niesienie pomocy ofiarom wojny na terenach byłej Jugosławii; Tomasz PIETRASIEWICZ — za pracę nad rozwojem kultury wielu narodów na kresach Polski; Genowefa PRONIEWICZ — za pracę społeczną na terenie Kowna; Anna RAJNER — za pracę społeczną z osobami wymagającymi specjalnej troski na terenie Mokotowa w Warszawie; Wojciech STAŃCZAK — za pracę z dziećmi specjalnej troski w okolicach Otwocka; Mirosław SUPRUNIUK — za przygotowanie wystawy *Kultury* paryskiej w Toruniu; A. TRIETIECKI — za pomoc w ujawnieniu zbrodni katyńskiej; Wojciech TUREWICZ — za organizowanie ognisk wychowawczych dla dzieci na terenie Warszawy; Petras VALICKAS — za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej.

POLCUL FOUNDATION

Ci, co odeszli

Edward Raczyński

Dwa lata temu w zamieszczonym w *Kulturze* artykule pod tytułem „Jak było naprawdę” napisałam m.in. o Prezydencie Raczyńskim: „Każdy z nas niepodległościowych działaczy politycznych, nawet wtedy, kiedy się z nim nie zgadzał w jakiejś sprawie lub uważał jego decyzję za niesłuszną, wie dobrze, że jest to człowiek najszlachetniejszy, służący sprawie polskiej przez całe życie, otoczony powszechnym szacunkiem. Tak patrzyła na niego emigracja polityczna”.

Nie zamierzam pisać jego życiorysu, bo jest powszechnie znany od dawna, a cóż dopiero teraz; po śmierci podawano go szczegółowo w pismach polskich i obcych z uwzględnieniem wszystkich jego stanowisk w zawodzie dyplomatycznym.

Natomiast chcę spróbować napisać o Prezydencie jako człowieku, którego poznałam osobiście późno, bo pod koniec wojny, a współpracowałam z Nim bliżej w rozmaitych akcjach politycznych, społecznych, często pod Jego przewodnictwem w ramach emigracji politycznej. Niewątpliwie dużą pomocą będzie mi to, że mąż mój, Adam Ciołkosz, był z Prezydentem w bliskiej i serdecznej przyjaźni, a i Prezydent w drukowanej w *Kulturze* rozmowie z Marią Paczowską powiedział m.in.: „Widzę, że jednak muszę być w dużym stopniu Polakiem i że byłem wido- cznie bardzo-sentymentalny, bo kilku ludzi pokochałem na skutek charakteru, który był mi miły, który mi odpowiadał. Miałem więc takich niespodziewanych przyjaciół”. Jako pierwszego wymienił socjalistę Tadeusza Hołówkę, swego szefa w Wydziale Wschodnim w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gorącego zwolennika bliskiej ugody między Polakami i Ukraińcami, a zamordowanego przez ekstremistów ukraińskich. „Śmierć Hołówki była dla mnie tragedią. Taki sam stosunek, nacechowany wewnętrzną serdecznością, żywiłem do Adama Ciołkosza. Znowu

sojalista, którego bardzo ceniłem, bo wyczuwałem u tego człowieka — który był na wskroś politykiem, i to ciętym politykiem, gotowym zawsze do wielkich batalii słownych i innych, że on, obok tych swoich namietności czysto politycznych, miał wrodzoną skłonność do szlachetności. Ta przyjaźń była serdeczna i była ona, jak mi się zdaje, obustronna”.

Naturalnie, można pomyśleć, że powyższe słowa osłabiają mój obiektywizm w tym artykule, ale byłoby to niedorzecznością. Każdy Polak czy cudzoziemiec, Polsce i sprawie polskiej życzliwy, musi przyznać, że Prezydent Raczyński był człowiekiem wybitnym, którego najgłębszą cechą był patriotyzm w jego najszlachetniejszej formie, a więc pozbawiony nacjonalizmu, egoizmu narodowego i pogardy dla narodów słabszych i uciskanych.

Od wczesnych lat Raczyński rozmiłowany był w literaturze pięknej i poezji, sam nawet pisał wiersze i zbiór ich został wydany. Zamiłowania obejmowały też literaturę obcą, zwłaszcza francuską. Przez długie lata głęboko zajmował się też historią, co musiało być ogromną pomocą w jego pracy dyplomatycznej.

Rozpoczął ją mając lat 28 na placówce w Kopenhadze, którą wspominał jako dobry punkt obserwacji działalności sowieckiej, bo Kopenhaga była wtedy miejscem spotkań międzynarodowych. Z tej pierwszej placówki chciałabym przytoczyć fragment działalności bardzo charakterystyczny dla Jego pracy i życia. Istniała w Kopenhadze znana agencja żydowska, która obsługiwała prasę żydowską w świecie i która była w stosunku do Polski nieomal wroga. Jak pisze we wspomnieniach Prezydent, podjął on inicjatywę utworzenia agencji polsko-żydowskiej, która by dostarczała prasie żydowskiej w świecie, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, bezstronnej informacji. Przy pomocy polskiego Żyda, Szajaka, „który miał do Polski stosunek romantycznego przywiązania”, rozpoczęli akcję, która uzyskała powodzenie. Dowodem tego powodzenia były całe naręcza prasy wydawanej przeważnie w języku jidysz, ale drukowanej czcionkami alfabetu hebrajskiego. „Ponieważ chodziło mi o sprawdzanie informacji — wspomina Prezydent — nauczyłem się od Szajaka alfabetu hebrajskiego, by móc sprawdzać i zapoznać się z treścią naszych komunikatów. W żydowskim świecie chętnie przyjmowano te informacje z Polski i były pożyteczne dla naszych stosunków”. Raczyński sprowadził z Warszawy czcionki hebrajskie i odtąd wydawano te biuletyny drukiem. „Ta inicjatywa — wspominał — bardzo się pięknie rozwijała, ale trwała tylko tyle, jak długo byłem sekretarzem w Kopenhadze, bo pociągało to za sobą i dość dużo pracy i spore wydatki, które pokrywałem oczywiście z własnej kieszeni”. Taki był Raczyński przez całe życie.

W latach 1932-1934 był delegatem RP przy Lidze Narodów i reprezentantem Polski na konferencji rozbrojeniowej. W swoich wspomnieniach Raczyński podkreślał: „Genewa była dla mnie centrum politycznym pierwszorzędnej wagi, które mnie w najwyższym stopniu interesowało i zdawało mi się, że rozumiem dziejące się tam sprawy”. Toteż gdy z końcem kwietnia 1934 r. został przez ministra Becka zamianowany ambasadorem w Londynie, przyjął to niechętnie.

Odtąd Londyn stał się siedliskiem Jego działalności dyplomatycznej i politycznej do końca życia, choć rozłożyła się ona na trzy zupełnie odmienne okresy: lat przedwojennych, wojny od jej wybuchu do cofnięcia uznania rządowi polskiemu w roku 1945, i trwania niepodległościowej emigracji politycznej, działalność ta miała jedną wspólną cechę. Była to ciężka praca, poczucie ogromnej odpowiedzialności, ostrożność w decyzjach, podmurowana głęboką znajomością faktów i dokładnym rozeznaniem aktualnej międzynarodowej sytuacji politycznej. Czy w randze ambasadora, czy ministra spraw zagranicznych, członka Rady Trzech czy Prezydenta RP utrzymywał kontakty i miał bliskie stosunki w swojej działalności z ludźmi o najbardziej odmiennych poglądach, zawsze pełen chęci zrozumienia pobudek ich działania.

Nie zawsze stanowisko polityczne Raczyńskiego odpowiadało wszystkim stronnictwom w kraju czy na emigracji. Dotyczyło to przede wszystkim sprawy paktu Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 r. Pakt ten nie zawierał uznania przez Sowiety całości Rzeczypospolitej Polskiej, jej wschodnich Kresów i wschodnich prowincji, które na skutek układu między Ribbentropem a Molotowem Sowiety zagarnęły. Ponieważ tego nie uzyskali — trzej ministrowie ówczesnego rządu polskiego w Londynie: gen. Kazimierz Sosnkowski, Marian Seyda i August Zaleski ustąpili. Mąż mój, jako pełnomocnik podziemnych władz PPS-WRN, zawiadomił prezydenta Raczkiewicza i gen. Sikorskiego, że podpisanie umowy nie odpowiada naszym interesom narodowym. Władze podziemnej PPS w dłuższym elaboracie stwierdzały, że „umowa była pożądana, lecz jej brzmienie nie odpowiada interesom Polski i stwarza wielkie niebezpieczeństwo”.

Natomiast Raczyński w swoich wspomnieniach wydanych w 1990 r. potwierdził: „Mój pogląd na te sprawy i dzisiaj pozostał mniej więcej niezmienny. Byłem przekonany, że jakiś układ lepszy czy nawet mniej dobry między nami a Sowietami w ówczesnych warunkach był nie do uniknięcia... A poza tym czysto formalną interpretacją pozostawała sprawa milionów zesłanych naszych obywateli, uwięzionych, pracujących w straszliwych warunkach. I dlatego byłem zdania, że jakkolwiek to, co jest używane, jest niepełne, ale że Sikorski nie miał wyboru i że służy-

nie postąpił, decydując się na podpisanie układu 30 lipca 1941 roku”.

Później, po Katyniu i zerwaniu stosunków z rządem polskim przez Stalina, Raczyński na zapytanie, czy zgodziłby się z przypuszczeniem, że niezależnie od odkrycia Katynia, Stalin dążył do zerwania stosunków z Polską, i była to tylko kwestia czasu, Raczyński odpowiedział: „To jest moje najgłębsze przekonanie, oczywiście w świetle tego, co nastąpiło. Nie mam wątpliwości, że rozumna i konsekwentna polityka Sikorskiego stała się jednak bezskuteczna i że zerwanie stosunków z nami było rezultatem sukcesów wojennych Stalina”.

Niezwykle ciekawy był stosunek Raczyńskiego do Churchilla: często bronił jego stanowiska w sprawach polskich, wierząc w to, co Churchill mówił: „Nie będę w stanie obronić waszej integralności terytorialnej, ale będę bronił waszej niezależności politycznej”. Raczyński twierdził jednak, że już w Teheranie Ameryka i Anglia właściwie zgodziły się na okrojenie Polski od wschodu, ale późniejsze uchwały jałtańskie przekreśliły nawet to, co mówił Churchill.

Jałta — wspominał Raczyński — była klęską, była dla nas tragicznym zakończeniem naszej długiej i wspaniałej walki; była uderzeniem we wszystkie nadzieje... Wystąpienie naszego rządu było więc protestem i wyrażeniem tego, co wszyscy czuli. A mianowicie, że w Jałcie alianci zachowali się w stosunku do nas w sposób bardzo niegodny. Churchillowi po powrocie do Londynu, w tak zwanej debacie jałtańskiej... pozostało tylko jedno: twierdzić wobec własnego parlamentu, że wierzy w zapewnienia sowieckie. To zostało przyjęte nawet w Izbie Gmin z prawdziwym sceptycyzmem.

26 czerwca 1945 r. Rząd RP ogłosił odezwę do narodu polskiego, w której m.in. czytamy: „Rząd polski nawet w razie cofnięcia mu uznania, nie przestanie być prawowitym rządem. Wywodzi on bowiem swoje istnienie nie z uznania obcych, lecz z woli swego narodu oraz z praw Rzeczypospolitej. Los Polaków nie będzie jednakowy. Jedni borykać się będą w Kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego. Inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych”.

Również prezydent Raczkiewicz w orędziu swoim z 29 czerwca 1945 r. zapowiedział dalsze trwanie na swoim postępowaniu — „uczynię to zarówno zgodnie z wymaganiami obowiązującego prawa, jak również — sędzę — zgodnie z wolą olbrzymiej większości narodu polskiego”. Tak narodziła się niepodległościowa emigracja polityczna.

Cofnięcie uznania nastąpiło 5 lipca 1945 r. Raczyński jako ambasador złożył w Ministerstwie Spraw Zagranicznych własny protest przed opuszczeniem ambasady polskiej:

„Pierwszym atrybutem niepodległości każdego państwa jest możliwość swobodnego tworzenia rządu. W obecnych warunkach źródłem władzy rządu Osóbki jest nie decyzja narodu polskiego, lecz decyzja trzech obcych mocarstw, z których jedno sprawuje *de facto* władzę nad całym terytorium Polski. Działając w myśl instrukcji mego rządu, protestuję jak najbardziej uroczystie przeciw uznaniu przez rząd brytyjski rządu narzuconego Polsce siłą przez obce mocarstwo, gdyż równa się to uznaniu zniesienia niepodległości państwa polskiego”. W ostatnich słowach dodał: „...każdy rzekomy mój następcą w charakterze ambasadora polskiego będzie tylko oszustem”.

Wiele lat później na zapytanie prowadzącego rozmowę radiową, Tadeusza Żenczykowskiego, zadane Raczyńskiemu: „co panu najbardziej utkwiło w pamięci jako wydarzenie dobre i miłe, a co jako smutne?”, Raczyński odpowiedział: „Jedynym niezawodnym, wielkim i szczęśliwym wydarzeniem, które zapamiętałem, był wybór polskiego papieża. Jak prawie każdy rodak, czy to w Polsce czy to tutaj, na obczyźnie, spłakałem się na tę wiadomość. Było to jak gdyby moralne zadośćuczynienie za niedocenianie przez państwa europejskie naszego wielkiego wkładu w obronę własną, w obronę demokracji”.

Od chwili cofnięcia uznania przez rząd brytyjski Rada Ministrów wyznaczyła, specjalną uchwałą, Raczyńskiego „przedstawicielem interesów polskich wobec rządu brytyjskiego”. Utworzono brytyjską organizację *Interim Treasury Committee for Polish Questions*. Formalnie Raczyński współpracował z nią mając wiele autonomii.

W roku 1948 wstąpił do Ruchu Europejskiego, a potem do Międzynarodówki Liberalnej, jak sam napisał, dbając by sprawa polska była przy wszystkich okazjach poruszana. Do Jego dyspozycji Brytyjczycy oddali pieniądze amerykańskie (około 200 tys. dolarów) przeznaczone na akcję w Polsce. Z tych pieniędzy dał potrzebną pomoc harcerstwu, umożliwił zakup pięknego lokalu, w którym znajduje się Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, a 140 000 funtów dał Komitetowi Obywatelskiemu Pomocy Uchodźcom, do dziś istniejącemu, na zabezpieczenie starych ludzi w Antokolu. Większą rolę polityczną na emigracji zaczął odgrywać Raczyński wtedy, gdy w roku 1954 wybrano Arciszewskiego, Raczyńskiego i gen. Andersa do Rady Trzech. Po śmierci Augusta Zaleskiego prezydentem został Stanisław Ostrowski, były prezydent miasta Lwowa, na siedem lat, a po nim w roku 1979 Edward Raczyński.

Jako prezydent mógł wreszcie doprowadzić do podpisania umowy polsko-czeskiej, do której dążył w czasie całej swojej pracy dyplomatycznej, uważając zacieśnienie stosunków z Czechosłowacją jako pierwszy niezbędny krok na drodze do zjedno-

czonyj Europy Środkowej. 19 stycznia 1986 roku została podpisana deklaracja pomiędzy Radą Wolnej Czechosłowacji a Rządem RP na Uchodźstwie. W tym duchu 28 listopada 1979 r. została uprzednio podpisana deklaracja polsko-ukraińska.

Raczyński, jako prezydent, zyskał sobie wielki szacunek szerokich mas emigracji; był dla niej autorytetem.

Jego stosunek do ruchu oporu w kraju, był pełen najlepszych uczuć poparcia i pomocy dla jego bojowników. Jego dom był otwarty dla ludzi z kraju, z których każdy, kto z Nim mówił, wychodził z rozmowy silniejszy w oparciu o Jego doświadczenia i wiedzę. Gdy kończył swą kadencję prezydencką miałam honor zegnać Go jako prezydenta, będąc wiceprzewodniczącą Rady Narodowej. Włożyłam w to przemówienie wszystkie nasze uczucia jako dla człowieka bliskiego i drogiego, uczucia podziwu dla Jego zasług i mądrości męża stanu. Z takimi uczuciami zegnamy Go dziś z bólem i żalem, gdy umarł. Płacząc na wiadomość o Jego śmierci, pomyślałam, ale szczęśliwy, bo doczekał Polski wolnej i niepodległej.

Lidia CIOŁKOSZOWA

Maria Winowska

Kiedy wspomina się Marię Winowską — wielką działaczkę i pisarkę katolicką — nieodparcie przychodzi na myśl postawy apostołów i wyznawców z pierwszych gmin chrześcijańskich: „Dla mnie żyć jest Chrystus”, a zatem i Jego spuścizna, Jego testament, Kościół, święci...

Korzeni tak silnego zaangażowania religijnego łatwo dopatrzyć się w wychowaniu, jakie otrzymała w domu rodzinnym. Maria Winowska urodziła się 21 lutego 1904 roku w miejscowości Skalat na Wołyniu w jednej z najstarszych polskich rodzin o żywych tradycjach religijnych i patriotycznych. Szkołę podstawową odbyła w domu. Świadectwo maturalne uzyskała we Lwowie, następnie tamże studiowała na Uniwersytecie Jana Kazimierza na wydziale filologii klasycznej i romańskiej, a wydział filozoficzny ukończyła z tytułem doktora w roku 1927. Przez następne pięć lat była asystentką. Żywo włączyła się w życie i wydarzenia naukowe swego uniwersytetu. W swej działalności wykazywała zawsze wiele energii i znajomości spraw.

Była mocno związana ze znanym ośrodkiem w Laskach koło Warszawy i z pismem „Verbum”. W latach trzydziestych znalazła się we Francji i tutejsze studia jako pierwsza polska kobieta uwieńczyła dyplomem doktora teologii.

Po krótkim pobycie w Kraju w 1939 roku przedostała się ponownie na Zachód, gdzie czynnie włączyła się we francusko-polski ruch oporu pod pseudonimem „Glon”. Wtedy też właśnie dzięki jej ścisłej współpracy w Kardynałem Augustem Hlondem, Prymas Polski, przymusowo przebywający w Lourdes, miał możliwość wypowiedzenia swych opinii o sprawach Polski. Od 1940 do 1945 roku przebywała w Hiszpanii. Po zakończeniu wojny zaoferowano jej pracę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, z czego jednak nie skorzystała. Po krótkim pobycie w Irlandii, znalazłszy się znowu w Paryżu zamieszkała u Sióstr Nazaretanek przy rue de Vaugirard. Dostała wtedy list od Prymasa Polski Kardynała Augusta Hlonda polecający jej wyjazd do Rzymu. (W Rzymie zamieszkała również u SS. Nazaretanek). Jej kontakt z Kościołem i Episkopatem Polski jeszcze bardziej się zacieśnił.

W końcu lat pięćdziesiątych wróciła do Paryża. Wybrała skromny żywot u boku Sióstr Nazaretanek, pod których serdeczną opieką została do końca życia.

Gdy się zważy jej wykształcenie, jej działalność codzienną, aczkolwiek „niedzienną”, trudno się dziwić, że swój talent pisarski i pióro oddała przede wszystkim przybliżaniu nam postaci wielkich polskich kandydatów na ołtarze. Jej właśnie zawdzięczamy w dużej mierze poznanie takich postaci, jak Brat Albert, Siostra Faustyna Kowalska, Ojciec Maksymilian Kolbe...

Nie licząc rozproszonych po różnych pismach artykułów, dorobek literacki Marii Winowskiej obejmuje 38 pozycji książkowych, w tym jedynie 5 napisanych po polsku (pisała przede wszystkim po francusku), kilka tłumaczonych na polski, większość przełożonych na różne języki obce: angielski, niemiecki, włoski, hiszpański, portugalski, grecki, japoński, arabski. W zasięgu jej zainteresowań pisarskich znalazły się oczywiście nie tylko postacie świętych, ale i tematy szerszej obejmujące sprawy Kościoła w Polsce, Kościoła na Litwie, w Rosji. Bliska jej była tematyka poruszana przez wybitnych dysydentów owych sąsiedzkich krajów, walczących u siebie o prawa człowieka. Utrzymywała więc kontakt z Sacharowem, Sołżenicynem, Bukowskim. Wielu polskich pisarzy i działaczy nie wyobrażało sobie wizyty w Paryżu bez odwiedzenia pani Marii Winowskiej. Była na tyle uniwersalna, że można było u niej spotkać osoby o różnych orientacjach, na przykład pewnego dnia Jerzego Turowicza, kiedy indziej Adama Michnika albo Stefana Kisielewskiego. Była również zaprzyjaźniona z Jerzym Giedroyciem.

Chciałbym — jako pallotyn — wspomnieć o jej kontaktach z naszym wydawnictwem. Otóż Marię Winowską poznałem w roku 1963, wkrótce po moim przyjeździe do Francji. Wydarzył się wówczas dość „barwny epizod”. W naszej drukarni w Osny kończono druk trzech tomów kazań Kardynała Wyszyńskiego, wygłaszanych przez szereg lat w Polsce jako przygotowanie do Tysiąclecia chrztu. Nakład był wyjątkowo duży, po trzydzieści tysięcy egzemplarzy każdego tomu. Maria Winowska nie tylko czuwała nad wydaniem homilii Prymasa, ale zorganizowała również wysyłkę książek do Polski. Za jej pośrednictwem całej akcji patronowała Międzynarodowa Liga Kobiet, zrzeszająca kilkanaście milionów osób. Ale władze komunistyczne w Polsce nie liczyły się z moralną siłą podobnego zrzeszenia. Książki zostały wysłane, nie dotarły jednak do odbiorcy. Liga Kobiet zaczęła pod kierownictwem pani Winowskiej protestować w prasie francuskiej. Powstało przekonanie, że komuniści skazali książki na przemiał. W jednej z gazet ukazało się nawet zdjęcie fabryki, w której podobno książki zniszczono. Niestety, w tamtym okresie było niemożliwe odzyskać tego rodzaju dzieło. Maria Winowska nie tylko przygotowała ową zaginioną publikację, ale również wydała u nas dwie inne książki, mianowicie „Szaleniec Niepokalanej” oraz „Prawo miłosierdzia”.

Maria Winowska była całkowicie oddana Kościołowi, ale i Kościół nie szczędził uznania dla całej jej postawy i działalności. Dowodem telegram Ojca Świętego Jana Pawła II nadesłany w dniu jej pogrzebu i odczytany nad jej trumną:

„Wiadomość o śmierci Marii Winowskiej głęboko poruszyła moje serce. Odeszła do Pana po zasłużoną nagrodę: „Błogosławieni, którzy w Panu umierają... niech odpoczną od swoich mozołów, bo idą wraz z nimi ich czyny” (Ap 14,13).

Całe życie śp. Marii Winowskiej, poświęcone służbie Chrystusowi, Kościołowi i ludziom, było wielkim czynieniem dobra. Wiara w Boga była dla Niej źródłem siły i natchnienia, a Ewangelia Chrystusa drogowskazem w życiu i działaniu.

Głęboko związana z Kościołem żyła i tworzyła dla niego. Była to droga jej powołania. Kochała Kościół i broniła wytrwale i skutecznie jego praw przed atakami nieprzyjaciół, zwłaszcza w mrocznych czasach prześladowania przez totalitarny ustrój. Swoimi publikacjami zwalczała kłamliwe i niesprawiedliwe ateistyczne opinie o religii. Darzona była wielkim zaufaniem przez Episkopat Polski. Broniała zawsze prawdy o Kościele, o człowieku, o Polsce. Kochała swą Ojczyznę i chociaż żyła poza jej granicami, to jednak była z nią związana głębokimi więzami serca, cierpiąc i radując się wraz ze swymi Rodakami i zawsze spiesząc im z wieloraką pomocą. Pragnę wspomnieć także jej wiel-

kie zasługi w formowaniu duchowym inteligencji katolickiej w Polsce i na emigracji.

Na szczególną uwagę zasługuje działalność pisarska śp. Marii Winowskiej. Poprzez swe książki poświęcone postaciom Polaków i Polek zmarłych w opinii świętości otwierała ludzkie serca na wartości duchowe, uwarściwiała na Dobro i Piękno, zachęcała do życia prawdziwie chrześcijańskiego.

Wpisała się na zawsze we współczesną historię Kościoła oraz dzieje kultury naszego Narodu, wiernie strzegąc i broniąc „soli polskiej ziemi”.

Dziękuję śp. Marii Winowskiej za tę wspaniałą służbę nieprzemijalnym wartościom chrześcijańskim, za ukochanie Kościoła, za ofiarne apostolstwo, za przykład miłości naszej Ojczyzny.

Wspominam ze wzruszeniem moje osobiste spotkania ze śp. Marią Winowską i liczne z nią rozmowy.

Modłę się za jej duszę i proszę Dawcę Życia i Zwycięzcę Śmierci, aby obdarzył ją pokojem i wieczną radością.

Rodzinie i wszystkim, których ta śmierć napełniła bólem, z serca błogosławię: w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Jan Paweł II, Papież”

Maria Winowska zmarła w Niedzielę Palmową 4 kwietnia 1993, a pochowana została w dniu 13 kwietnia w Montmorency na cmentarzu, na którym spoczywa wielu wielkich Polaków.

KS. Z. M.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

Nieźłomny w zadżumionym teatrze

W „Rozdartej kurtynie”* Kazimierz Braun opowiada Stanisławowi Beresiewi o swoim życiu i działalności teatralnej do 1984. Rozmowa przeprowadzona została w 1988, a więc wkrótce po ukazaniu się „Sławy i infamii”, wywiadu Małgorzaty Szejnert z Bohdanem Korzeniewskim, i „Komediantów”, zbioru wypowiedzi ludzi teatru dotyczących bojkotu radia i telewizji w stanie wojennym oraz szerzej zachowań środowiska w tym okresie. Z „Rozdartej kurtyny”, podobnie jak ze „Sławy i infamii”, wyłonić miał się portret reżysera i pisarza, ukazanie zaś kulis pozbawienia Brauna dyrektora Teatru Współczesnego we Wrocławiu w 1984 było dopełnieniem relacji i dokumentów dotyczących tej sprawy, zgromadzonych w „Komediantach”. Rozmowa doczekała się jednak publikacji dopiero po pięciu latach i nic dziwnego, że Kazimierz Braun, jak świadczy ogłoszona na wstępie książki korespondencja, miał poważne wątpliwości czy powinna być drukowana, przynajmniej w tej postaci. Obawy Brauna są jak najbardziej uzasadnione. I to nie dlatego, że niedawna przeszłość nie wzbudza zainteresowania. Pomimo iż część opinii publicznej bardzo niechętnie odnosi się do wszelkich rozrachunków z okresem komunistycznym, nie ulega wątpliwości, że są one i będą czynione. Niestety, najczęściej przybierają one postać wynurzeń — w formie wywiadu czy też memuarów — rozmaitych osobistości ze świata polityki i kultury PRLu, w których nieomal regułą jest przedstawianie siebie jako ofiar systemu komunistycznego narażonych na prześladowania. Przesz-

* Stanisław Beres, Kazimierz Braun, *Rozdarta kurtyna*. Rozważania nie tylko o teatrze. Wydawnictwo „Aneks”, Londyn 1993, ss. 254, ilustr.

łość zostaje zafalszowana a odpowiedzialność ulega rozmyciu. „Rozdarta kurtyna”, prezentowana przez wydawcę, jako książka „o ludziach, dzięki którym Polska nie była pustynią kulturalną, którzy nienawidząc systemu komunistycznego kończyli studia, zajmowali wysokie stanowiska w PRL, a swoje przekonania wyrażali w przekazie artystycznym”, niebezpiecznie wpisuje się w podobny schemat. I to nie tylko za sprawą noty wydawcy, lecz nade wszystko na skutek generalnego tonu wypowiedzi Brauna, przyjętej przez niego — w znacznej mierze pod wpływem oskarżycielskich pytań Beresia — linii obrony.

Kazimierz Braun uparł się bowiem, aby przedstawić siebie jako konsekwentnego przez całe życie antykomunistę i katolika, poddanego politycznym prześladowaniom i szykanom ze strony oportunistycznie nastawionego środowiska. Niestety dość trudno dopatrzeć się antykomunizmu i katolicyzmu w twórczości teatralnej i w piśmarstwie Brauna, przynajmniej do 1981, jego biografia nie świadczy też, że był poddawany jakimś szczególnym represjom. Nic dziwnego, że dowody na jedno i na drugie przytoczone w rozmowie budzą sceptycyzm.

Nie ma powodu, aby wątpić, że Braun wychowany został — jak podkreśla — w duchu „przywiązania do Kościoła katolickiego” i wierności „niepodległej Polsce od morza do morza”. Doświadczenia powojenne (utrata majątku przez rodzinę, uwięzienie ojca w związku ze sprawą stryja, Jerzego Brauna, niemożność dostania się na studia z powodu pochodzenia i związany z tym przymus podjęcia pracy na budowie) niewątpliwie zadecydowały o negatywnym nastawieniu do komunizmu. Ale z chwilą podjęcia studiów, najpierw na polonistycę na Uniwersytecie Poznańskim a później na wydziale reżyserii warszawskiej PWST, Braun musiał odrzucić znaczną część bagażu wyniesionego z ziemiańsko-inteligenckiego domu. W rozmowie nie wspomina o tym, zapewne trudnym i bolesnym, procesie. Opowiadając zaś o rodzinie zupełnie bezkrytycznie odnosi się do bogoojczyźnianej formacji, do jakiej ona przynależała. (Aż trudno uwierzyć, że czyni tak inscenizator „Operetki” Gombrowicza!) Ten brak krytycyzmu rozciąga się także na piśmarstwo stryja Jerzego, twórcę dość obłudnej ideologii mesjanistycznej, wywiedzionej z pism Hoene-Wrońskiego, łączącej nacjonalizm z wiarą w dziejową misję Polski stworzenia nowego chrześcijaństwa oczyszczonego z elementów żydowskich. Można podziwiać działalność Jerzego Brauna jako redaktora *Zetu*, *Kultury Jutra* i *Tygodnika Warszawskiego*, mieć uznanie dla jego pracy w państwie podziemnym i w „Unii”, oddać mu sprawiedliwość jako więźniowi politycznemu w okresie stalinowskim, ale nazywanie go „profetycznym filozofem”, którego diagnozy są „olśniewająco trafne”, budzi opory.

Opowiadając o swych pierwszych pracach reżyserskich Braun zupełnie niepotrzebnie dorabia antykomunistyczną ideologię do apolitycznych przedstawień. Już „Godiwa” Staffa wystawiona w teatrze studenckim w Poznaniu w 1955 miała jakoby „ostrą wymowę” polityczną i była wypowiedzią „przeciwko ciasnemu marksizmowi”. Jednoaktówki „Karol”, „Na pełnym morzu” i „Strip-teas” Mrożka (Gdańsk 1962) były antykomunistyczne z powodu „czerwonego szalika” noszonego przez jedną z postaci. „Noc listopadowa” Wyspiańskiego (Gdańsk 1967) uznana została za przedstawienie „antyradzieckie”. Na ogół Braun w latach sześćdziesiątych wystawiał Kruczkowskiego, Szaniawskiego czy Moliера a uznanie zdobył przede wszystkim inscenizacjami dramatów Norwida („Pierścień wielkiej damy” 1962, „Aktor” 1964, „Kleopatra” 1968, „Za kulisami” 1970). Na szczęście nie twierdzi, że Norwid był niecenzuralny, bo powszechnie wiadomo, że do jego miłośników należał Zenon Kliszko.

Szczegółowo opowiada Braun o stosunkach panujących w owym czasie w środowisku teatralnym, o rozgrywkach personalnych, których padał ofiarą (odejście z Teatru Polskiego w Warszawie i z Teatru Wybrzeże w Gdańsku), o naciskach jakim podlegał itp. Dość zdawkowo traktuje natomiast swą działalność na stanowisku kierownika artystycznego teatru lubelskiego w latach 1967–1970. Na dobrą sprawę dopiero Beres zmusza go do wytłumaczenia się z tego rozdziału biografii. Prawdopodobnie wtedy Braun podlegał szczególnej presji ze strony „moczarowców”. W 1969 wystawione zostaje bowiem w Lublinie przygotowane na zamówienie „moczarowców” widowisko Ireneusza Kanickiego i Lecha Budreckiego „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę”, oraz opowiadająca o Lublinie 1944 „Ballada o tamtych dniach” Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota (w reżyserii Brauna). W roku następnym na afiszu pojawia się „Szósty lipca” Szatrowa (z postaciami Lenina i Dzierżyńskiego) oraz „Kto ty jesteś”, ulubionego poety „moczarowców”, Ernesta Brylla (oba spektakle w reżyserii Brauna). Przywoływanie nacisków KW PZPR czy Ministerstwa Kultury i Sztuki na usprawiedliwienie, twierdzenie, że w „Balladzie” kroniki z powstańczej Warszawy tworzyły dysonans, że Lenin z włosami na głowie w „Szóstym lipca” był komiczny, czy też że sztuczka Brylla nosiła „cechy kontestacji politycznej”, jest trochę niepoważne.

Począwszy od 1971 Braun był dyrektorem teatru lubelskiego. W tym samym czasie dokonuje się jego przemiana w orędownika kontrkultury. Braun czuje się uczestnikiem i ideologiem rewolucji teatralnej, w teatrze dokonuje eksperymentów ze współczesnictwem publiczności w spektaklach i z wychodzeniem poza pudełko sceny, pisze „Teatr wspólnoty” (1972) i „No-

wy teatr na świecie” (1975). Swoje spektakle — przygotowane w państwowych teatrach Lublina a później Wrocławia — stawia obok przedsięwzięć rozmaitych lewackich czy anarchistycznych grup zachodnich w rodzaju Living Theater czy Bread and Puppet. Krytykę jednego z takich eksperymentów w lubelskim teatrze („Życie w mojej dłoni”), polegającego na wciąganiu widzów do dość ryzykownej psychodramy, traktuje Braun jako atak polityczny, choć recenzentka pisma *Teatr* dała wyraz swym wątpliwościom jedynie co do celowości takich poszukiwań. Po przejściu do Wrocławia w 1975, Braun nadal prowadzi normalny teatr — z jedną socjalistyczną sztuką w sezonie — i namiętnie oddaje się eksperymentom. Znamienne, że ówczesna kontestacja Brauna pozbawiona była zupełnie elementów politycznych i nie jest przypadkiem, że najchętniej wystawia wtedy Braun sztuki Tadeusza Różewicza, poety ignorującego rzeczywistość polityczną.

Kontrkulturowy charakter przedstawień Brauna wyrażał się przede wszystkim we wprowadzeniu na scenę nagości mającej być znakiem młodości, niewinności i miłości. Golizna z amerykańskich kampusów w salkach teatralnych, raczej purytańskiego PRLu, miała jednak nieco inny walor i stawała się źródłem dość trywialnej ekscytacji. „Białe małżeństwo” Różewicza, spektakl o którym Braun wspomina, że w jego „odbiorze przez widownię” wyszły „na pierwszy plan” „elementy erotyczne”, swoje powodzenie zawdzięczał w znacznej mierze licznemu udziałowi zebranych statystek. We Wrocławiu reżyseruje Braun z powodzeniem opartą na motywach Joyce’a „Annę Livię” i „Operetkę” Gombrowicza. Mickiewiczowskie „Dziady” były — co przynajmniej sam Braun — spektaklem martwym a „Przyrost naturalny” Różewicza dość karkołomnym eksperymentem polegającym na przemieszczaniu się widzów wraz z aktorami po różnych częściach teatru. Z żadnymi kłopotami borykać się Braun wówczas nie musiał — władze komunistyczne łaskawie spoglądały na różnego rodzaju eksperymentatorów, gustując w sztuce operującej jak najbardziej hermetycznym językiem albo zgoła abstrakcyjnej.

Powstanie Solidarności musiało być dla Brauna szokiem, ale tak jak wielu twórców z tym większą gorliwością poparł rodzący się ruch. Chciał nawet wystawić „Małą apokalipsę”, ale uległ perswazjom Józefa Tejchmy i poprzestał na „Kronice wypadków miłosnych”. 12.XII.1981 Braun mówił na Kongresie Kultury Polskiej o konieczności wybudowania nowego budynku Teatru Narodowego, co świadczyło o raczej nikłym rozpoznaniu ówczesnej rzeczywistości politycznej i ekonomicznej.

Mówiąc o stanie wojennym wpada Braun w ton nieomal kombatancki. Powodów do przedstawienia siebie jako osoby represjonowanej nie ma niestety zbyt wiele. Już w marcu 1982 wy-

jeżdża do USA, gdzie reżyseruje „Kartotekę”, we wrześniu tego roku jest z teatrem w RFN, a w październiku w Irlandii. Pod koniec roku reżyseruje znowu w RFN („Wieczór trzech królów”). Podobnie jest w 1983. Także kłopoty z „Dżumą” na motywach Defoe i Camusa są przez Brauna wyolbrzymione. Spektakl był grany w sumie 78 razy, w tym dwukrotnie za granicą (Berlin Zachodni i Amsterdam). Wolno też było o nim pisać (ukazało się pięć recenzji) a pochlebna ocena na łamach *Polityki* (Braun jako nie komentuje tego) jest dość wymowna. Odmowa wejścia do ZASPu stworzonego przez Henryka Szlezyńskiego nie wymagała aż takiej odwagi, jak to przedstawia Braun. Dość dziwnie natomiast brzmi tłumaczenie odmowy udziału w przygotowaniach spektakli granych w kościołach (ograniczenie wolności twórczej) u kogoś, kto pracując w państwowych teatrach musiał iść na rozmaite kompromisy i godzić się z cenzurą. Braun, jak się zdaje, nie podejmował pracy nad spektaklami granymi w kościołach, gdyż wolał unikać zdecydowanych deklaracji politycznych. Prowadził bowiem nadal grę z władzami. Odrzuceniem jej reguł nie było jeszcze przygotowanie „Dżumy”. Ostatecznie tolerowano wówczas spektakle o równie jednoznacznej wymowie politycznej. Decydującym momentem wydaje się złożenie przez Brauna podpisu na liście 106 intelektualistów protestującym przeciwko więzieniu działaczy Solidarności i zgłoszenie w planach repertuarowych na następny sezon m.in. „Miazgi” Andrzejewskiego i „Małej apokalipsy” Konwickiego, co odebrano jako posunięcie prowokacyjne. Gwoździem do trumny okazał się spektakl według „Nienasyceń” Witkiewicza, zdjęty na próbie generalnej przez cenzurę. Pomimo ostrzeżeń ze strony władz wrocławskich Braun odwołał się od tej decyzji do Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk i nosił się z zamiarem przekazania sprawy do sądu. Zapewne te posunięcia Brauna spowodowały jego dymisję. Historia Brauna jest dość typowa dla intelektualistów lojalnych wobec komunistycznych władz, którzy pod wpływem powstania Solidarności a następnie wprowadzenia stanu wojennego przeszli do opozycji i odmówili posłuszeństwa, za co zostali ukarani represjami. Braun nie był zupełnym oportunistą, ale trudno też powiedzieć, aby zachował pełną niezależność.

Niepotrzebnie chyba Braun dramatyzuje swą sytuację po odejściu z teatru, twierdząc że był traktowany jak „zadżumiony”, że wszyscy się od niego odwrócili. Zachowały się przecież świadectwa ówczesnej prawdziwej środowiskowej solidarności. Mógł dalej wyklądać, publikować i reżyserować, gdyż nie został objęty żadnym zakazem. Wyemigrował do USA, ale w rozmowie nie musiał przedstawiać swego wyboru jako jedynej wyjścia.

Takich drobnych zafałszowań lub przemilczeń jest w tej książce wiele i służą one tworzeniu sugestii o jakiejś wyjątkowej pozycji Brauna w polskim teatrze. Przedstawiając sukces „Operetki” na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych jako największy w dziejach tej imprezy, ani się Braun nie zająknął, że parę lat wcześniej publiczność warszawską rzucił na kolana swą „Operetką” Kazimierz Dejmek. Żaląc się, iż na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jego teatr nie jeździł do Warszawy, Braun nie dodaje, że prezentowane tam wówczas były spektakle Jerzego Grzegorzewskiego z wrocławskiego Teatru Polskiego. Niczym nie uzasadnione są także twierdzenia, że „krytyka krajowa” niszczyła lub przemilczała przedstawienia Brauna. Sugestia, że rzeczowa i gruntowna krytyka prac historycznych Brauna była dyktowana zawiścią i ograniczała się do wytknięcia błędów pozostawionych przez „nieuwagę w korektach” po prostu mija się z prawdą. W rozmowie parokrotnie Braun daje upust swym kompleksom, poczuciu niedowartościowania i frustracji.

Chwilami nieznośna jest również w lekturze minoderia Brauna, ton niewinnej ofiary miłosiernej dla swych prześladowców. Braun spowiada się wprawdzie ze wszystkich swoich grzechów, dodając przy tym „mea culpa”, nie służy to jednak szczególnie poznaniu mechanizmów rządzących życiem teatralnym w PRL. „Rozdarta kurtyna” jest bowiem nie tyle, jak sugeruje Beres, cennym dokumentem, co mocno podretuszowanym portretem twórcy budującego swoją legendę jednego z wielu niezłomnych w powojennym polskim teatrze.

Rafał WĘGRZYŃIAK

Czary reklamy

Staramy się pamiętać o twórcach na obczyźnie polskich malarzach, pisarzach i poetach, ale z pewnością o wiele trudniej przyszyłoby nam wymienić nazwiska działających w Anglii, Francji czy Ameryce naszych grafików użytkowych i projektantów. A przecież zawodowe sukcesy wielu z nich były i są niemałe.

Dobrze się więc stało, że jeden z artystów opublikował wybór fotograficznej dokumentacji swego wieloletniego dorobku „designera”. Myślę tu o Władysławie Szomańskim i wydanym przez

niego własnym sumptem w Londynie albumie „W R SZOMAŃSKI STUDIO”.

Blisko stustronicowa publikacja jest rodzajem pamiątkowego prospektu firmy, przedstawiającym działalność artysty i jego współpracowników (przede wszystkim Antoniego Dobrowolskiego). Otwiera ją krótki wstęp Stanisława Frenkla i cytat z wypowiedzi Ludwiga Ebenhoza w „Gebrauchsgraphic” charakteryzujący twórczość Szomańskiego. *Clou* książki stanowi fotograficzna dokumentacja prac studia od dekoracji okien wystawowych, konstrukcji, stoisk reklamowych i najróżniejszych bibelotów służących reklamie, poprzez małą architekturę wystaw, kilka realizacji architektury wewnątrz po rzeźbę z papieru, grafikę użytkową, rysunki satyryczne i karykaturę. Na ostatnich stronach dołącza Szomański kilka reprodukcji swych akwarel i obrazów.

Pewnym niedostatkiem albumu jest zupełne pominięcie w układzie poszczególnych działów nie tylko chronologii, ale jakiegokolwiek datowania realizowanych projektów. Nie ulega wątpliwości, że adresatem książki są przede wszystkim przyjaciele po fachu i inni artyści, dla których pomysły i rozwiązania Szomańskiego mogą stać się inspiracją do własnej twórczości; o historykach sztuki i badaczach dziejów „designu” autor zapomina skazując ich na trudne, a niekiedy niemożliwe do rozwiązania zagadki. O tym nastawieniu wciąż aktywnego artysty, a nie pamiętnikarza, świadczy też ograniczenie do minimum podpisów pod ilustracjami, które podają niekiedy istotne techniczne aspekty realizacji, nigdy jednak nie informując o historycznych czy anegdotycznych okolicznościach powstania danego projektu.

W tej sytuacji ograniczmy się więc do minimum.

Władysław Szomański należy do wychowanków wydziału grafiki użytkowej ASP w Warszawie (wcześniej przez rok studiuje architekturę na Politechnice Lwowskiej). Warszawska Akademia krytykowana za swe łączenie sztuk pięknych i użytkowych była pierwszą w kraju uczelnią kształcąca artystów zawodowo zajmujących się reklamą i wystawiennictwem. Duże zapotrzebowanie rozwijającego się w latach trzydziestych przemysłu i handlu powodowało, że absolwenci szkoły szybko znajdowali pole do popisu dla swych talentów. Jeszcze w czasie studiów zdobywa Szomański pierwszą nagrodę za swój projekt plakatu, a niedługo potem pokazuje swe prace w Paryżu i Helsinkach. Kontynuowanie zawodu przerywa na czas jakiś wojna, ale kiedy pod jej koniec artylerzysta Szomański dociera do Włoch znajduje ujście dla swych artystycznych pasji jako twórca (z Romualdem Nowickim) graficznej oprawy żołnierskich gazetek, plakatów i wydawnictw publikowanych przez Wydział Kultury i Prasy Drugiego Korpusu. W roku 1947 przybywa z wojskiem polskim do Anglii. Działa tu już od przedwojnia słynna

spółka grafików reklamowych Janusza Lewitta i Jerzego Hima, a w ich ślady próbują iść mieszkający od lat w Londynie Marek Żuławski z Feliksem Topolskim. Sukcesy odnosi też jeden z nauczycieli Szomańskiego z warszawskiej ASP, mistrz papieroplastyki Tadeusz Lipski. Razem z Szomańskim lub niedługo potem zjawiają się w Anglii kolejni polscy projektanci i graficy: Jan Kępiński, Stanisław Niczewski, Zygmunt Kowalewski i inni. Wielu z nich zakłada swe studia. Jest wśród nich i Władysław Szomański. Wybór z jego twórczości prezentuje album.

Odnajdziemy w nim kilka plakatów jeszcze z okresu przedwojennego, jak choćby pełen dynamiki „prószony” afisz BHP „Przy pracy krawat grozi wypadkiem” zrobiony wspólnie z Bohdanem Bocianowskim, czy odmienny w stylu, oparty bardziej na rysunku, plakat „Wystawy Szpitalnictwa” z roku 1938. Są też prace wykonane w wojsku jak okładka pierwszego wydania „Bitwy pod Monte Cassino” Wańkowicza z roku 1945, plakat wystawy fotograficznej propagującej osiedlanie się polskich żołnierzy w Kenii, Tanganice i Ugandzie, i inny, dramatyczny, mówiący o braku wolnego polskiego radia i ostrzegający żołnierzy przed obcą propagandą z Londynu, Moskwy i Warszawy. Reprodukcje plakatów, druków i książkowych okładek Szomańskiego z tego okresu u wielu będą budzić zainteresowanie nie tylko dla ich strony graficznej, ale i jako świadectwa historii — przedmioty należące do tamtej, odległej przeszłości sprzed pół wieku. Może dlatego chciałbym w albumie zobaczyć choć jedną reprodukcję odbijanej na offsecie żołnierskiej ściennej gazetki i kilka przykładów ówczesnych ulotek.

W Anglii prace grafika użytkowego kontynuuje Szomański zarówno w środowisku polskim jak i brytyjskim. W albumie przedstawia nam kilka okładek do polskich książek (bardzo różnorodnych w stylu, ale zawsze zawierających obok typografii figuratywny element postaci, przedmiotu lub krajobrazu), czasopism (okładka londyńskiego miesięcznika „Vide”, redagowanego przez Bohdana Jeżewskiego w latach pięćdziesiątych), angielskich ulotek reklamowych i znaków graficznych dla firm brytyjskich (Wick Egg, Skyways) i polskich (Anglopol Travel). Jest tu też kilka satyrycznych rysunków (Stalin wyprowadzający się ze swą trumną z kremłowskiego mauzoleum, Kennedy tańczący z Chruszczowem itp.), które opatrzone podpisem Sęk ukazywały się na łamach londyńskich *Pokrzyw*. Nadal uprawia też sztukę plakatu. Choć czarno-białe fotografie nie pozwalają nam ocenić gry ich żywych kolorów (plakaty dla Cyprus Tourist Board, British European Airlines, Air France, Bata), wystarczająco świadczą o ich humorze i przejrzyściej czytelnej konstrukcji.

Dominującym polem dla twórczej inwencji, dowcipu i profesjonalnej rzetelności Szomańskiego jest jednak wystawiennictwo

i reklama, którym poświęcona jest większość albumu.

Powolne wychodzenie przez Anglię z początkiem lat pięćdziesiątych z trudnego powojennego okresu oszczędności i racjonowania zbiega się z pobudzonym przez londyńską wystawę Festival of Britain (1951) zainteresowaniem nowym wzornictwem, reklamą i masową konsumpcją. Okno wystawowe do niedawna tradycyjne i nudne staje się nagle ekscytującym miejscem przyciągającym uwagę przechodnia, zachwalającym sprzedawany towar, wabiącym do wnętrza sklepu. Szomański jest aktywnym uczestnikiem tej rewolucji. Za swe wystawy w latach 1950, 1951, 1952 i 1953 uzyskuje liczne nagrody uwienczone zdobyciem złotego i srebrnego medalu w roku 1955 w międzynarodowym konkursie organizowanym przez amerykańskie specjalistyczne czasopismo *Display World*. Wśród stałych klientów studia są wielkie linie lotnicze od Air France, British European Airlines i BOAC po Aer Lingus i AirItalia, rozsiane po świecie biura Urzędów do Spraw Turystyki Cypru, Grecji, Turcji, Maroka, Brytyjskiej Kolumbii i Irlandii oraz wielka firma British American Tobacco, której konsultantem do spraw reklamy był Szomański przez 25 lat. Jej papierosy i cygara reklamowało studio świetlistymi muralami z pleksiglasu na dworcach lotniczych Paryża, Brukseli, Zurychu, Sztokholmu i Londynu, dekoracyjnymi konstrukcjami w wolnołowych sklepach statków oceanicznych i promów, a drobnymi zabawkami na kontuarach portierni i barów hotelowych. Wiemy wreszcie kto odpowiedzialny jest za nasze trwanie w nałogach!

Dobra reklama ze swoimi strategiami przyciągnięcia uwagi, zaintrygowania, a wreszcie zdobycia przechodnia zartem, zdumieniem i podziwem jaki wywołuje, przypomina niekiedy magiczne sztuki i dziwy objazdowego lunaparku. Przy całej elegancji swego wykonania ten magiczny czar ewokują też niektóre realizacje Szomańskiego. Oto gabinet krzywych luster: przedziwnie wygięte i rozciągnięte odbicie wielkiego pudełka Lucky Strike'ów przeglądających się w krzywym zwierciadle reklamowego stoiska; to znów wielka fotografia połowy twarzy, która uzupełniona swym odbiciem w lustrzanej ścianie składa się na całą buzię uśmiechniętej dziewczyny reklamującej irlandzkie linie lotnicze.

Wystawowe okno jest dla polskiego *designera* sceną teatralną. Chętnie ożywia tę „scenę”: na wystawie Brytyjskich Linii Europejskich ściana wirujących papierowych wiatraczków wprowadzanych w ruch podmuchami ukrytego wentylatora; w świątecznym oknie dla tego samego klienta czterometrowa wirująca choinka zrobiona z drewnianych prętów i giętego papieru, zapalająca się zmiennymi kolorami kolejnych swych poziomów przy dźwiękach koledy wydobywających się z olbrzymiego cukierka przesyłającego świąteczne życzenia od lotniczej firmy; to znów re-

klamujący piwo Guinnessa monumentalny mechaniczny zegar z pojawiającymi się co kwadrans figurami zwierząt goniących swego dozorcę. Ustawiony w Parku Battersea w czasie sławnej wystawy Festival of Britain zdobył sobie tak wielką popularność wśród publiczności, że firma zamówiła osiem podobnych zegarów, które przez następnych siedem lat objeżdżały Wielką Brytanię. Jest coś z jarmarcznej ludowej radości w tych mechanicznych wystawach, coś z ducha lat pięćdziesiątych z ich demokratyzmem i odwróceniem się od elit ku sztukom popularnym, ku cyrkowi i karuzeli.

Podobny duch ożywia papierowe rzeźby Szomańskiego od bardziej klasycznej reliefowej papieroplastyki z wcześniejszego okresu poprzez wieloosobowe sceny konstruowane z kolorowego giętego i łamanego papieru fotografowane następnie i używane jako ilustracje zachwalające National Savings, po pełnoplastyczne wielkie bajkowe postacie zdobiące sklepy i wystawowe pawilony. Papieroplastyka — charakterystyczny produkt szkoły warszawskiej — rozpowszechniona później przez polskich dekoratorów na całym świecie to zresztą oddzielny rozdział w historii naszego wystawiennictwa.

Nie sposób opisywać tu wszystkie realizacje studia Szomańskiego; było ich przecież blisko półtora tysiąca — trzeba wśród nich wybierać. Skoro już jestem przy wyborach, to choć pozostaję z całym zrozumieniem dla trudności przed jakimi stanęły panie Anna Carson i S.M. Rutchińska selekcjonując materiał, trochę mi szkoda, że wśród reprodukowanych znaków graficznych projektowanych przez Szomańskiego nie przedstawiono takich jak winieta londyńskiego *Tygodnia Polskiego* czy wizerunek zamkniętej w kole jaskółki i wysmukłych liter LIBELLI — firmowego znaku paryskiego wydawnictwa. Używane po dziś dzień przypominają nam skromnie o polskim „designerze” z Londynu.

Andrzej M. BORKOWSKI

PS: Książkę rozsyła obecnie autor do większych bibliotek i szkół artystycznych w Polsce i Wielkiej Brytanii.

Nadesłane nowości wydawnicze

- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Out of Control. Global turymoil on the Eve of the 21st Century*. Str. 240. (Wyd. Charles Scribner's Sons, N.Y., Maxwell Macmillan Kanada, Maxwell Macmillan Intern, NY-Oxford-Singapur-Sydney 1993).
- WANDYCZ (Piotr S.). *The Price of Freedom. A History of East Central Europa from the Middle Ages to the Present*. Str. 330. (Wyd. Routledge, London-New York, 1992).
- BAUM (Anna). *A Chance Encounter and Other Stories of Polish Jewry*. Ilustracje Leah Taylor. Str. 160. (Wyd. Childe Thursday, Toronto 1993).
- BUJNOWSKI (Józef). *In Search of Method of Scientific Literary Research*. (Nadbitka z Russian Literature XXXIII, 1993, North-Holland).
- GIEDROYĆ (Michał). *The ruthenian-lithuanian metropolitanates and the progress of christianisation (1300-1458)*. Nadbitka z *Nuovi Studi Storici* — 17, Rzym 1992.
- WANDYCZ (Piotr S.). *Historiography of the Countries of Eastern Europe: Poland* (Nadbitka z *The American Historical Review*, vol. 97, nr 4, październik 1992).
- ZUZOWSKI (Robert). *The Impact of Nationalism on Communism: The Case of Poland*. Nadbitka z *Canadian Review of Studies in Nationalism*. Vol. XIX, N° 1-2 (1992), str. 9-18. (Wyd. The University of Prince Edward Island).
- Un militant syndicaliste franco-polonaise*. „La vie errante” de Thomas Olszanski (1886-1959). Wstęp Henri Krasucki, przedmowa Janine Ponty. Tłumaczenie z polskiego i komentarz Mylene Mihout. Str. 396. (Presses Universitaires de Lille, 1993).
- KOWZAN (Tadeusz). *La Pologne dans Hamlet, Hamlet en Pologne*. Nadbitka z *Revue d'histoire du théâtre* (kwartalnik). Str. 305-319. (Wydanie przy udziale CNRS, nr 4/1992, Paryż).
- MAČKÓW (Jerzy, Jaroslaw). *Die Krise des Totalitarismus in Polen*. W serii *Osteuropa, Geschichte, Wirtschaft, Politik*. Str. 335 i 5 nlb. (Wyd. LIT-Verlag, Münster i Hamburg 1993).
- HERBERT (Zbigniew). *Rapporto dalla citta assediata*. Przeł. Pietro Marchesani. Str. 269 i 7 nlb. (Wyd. Adelphi Edizioni, Mediolan 1993).
- KOTT (Jan). *Eros e Thanatos*. Przeł. Martino Consva. Str. 144. (Wyd. SE SRL, Mediolan 1992).
- WOŚ (Jan Władysław). *La Polonia. Studi storici*. Str. 224. (Wyd. Giardini Editori e Stampatori in Pisa, 1992).
- SVIDERCOSCHI (Gian Franco). *Lettera a un amico ebreo. La storia semplice e straordinaria dell'amico ebreo di Karol Wojtyła*. Str. 110. (Wyd. Arnoldo Mondadori Editore, Mediolan 1993).
- HERLING (Gustaw). *Ho cessato di essere uno scrittore in esilio*. (Nadbitka z *Nuova Antologia* nr 2181, marzec 1992, wyd. Le Monnier, Florencja).
- KATZ (Janina). *Mit uvirkelige liv*. Wiersze. Str. 96. (Wyd. Vindrose, Kopenhaga 1992).
- KATZ (Janina). *I mit drommerland*. Wiersze. Str. 72. (Wyd. Vindrose, Kopenhaga 1993).

Polemiki

Bez właściwości

Tylko barbarzyńcy nie są ciekawi, skąd przychodzą, jak stali się tym, czym są, ani dokąd zdają się zmierzać i czy tego właśnie pragną, a jeśli tak to dlaczego, a jeśli nie — to dlaczego nie.

Isaiah Berlin

Niektóre filozoficzne i polityczne teorie, mające skłonność do absolutyzowania idei, twierdzą, że narody Europy Wschodniej zawsze wloką się w ogonie historii. Niestety rzeczywistość zdaje się chwilami potwierdzać to przekonanie. Zwyczajmy bowiem w Polsce, jak sądzę, roztrząsać „problemy z wczoraj”.

Do rangi banału urosło stwierdzenie, że historia naszego kraju zawsze rozgrywała się pomiędzy dwoma przeciwstawnymi wyobrażeniami: nigdy do końca nie spełnioną tęsknotą rzymskokatolickiej, peryferyjnej kultury za cywilizacyjną integracją z resztą kontynentu, a postawą przeciwną, sceptyczną, nieufną czy wręcz kpiarską wobec tej pierwszej. Okazuje się, że dzisiaj ten pozorny dylemat nadal zakreśla krąg naszych zainteresowań i charakter toczącego się sporu. Słuchając argumentów obu stron, zarówno zwolenników jedności Europy i szybkiego wchłonięcia Polski przez EWG jak i obrońców narodowej cnoty, można odnieść wrażenie, że nie rozumiemy oni, co jest istotą ich zażartej dyskusji.

Po pierwsze: nasze dzisiejsze olśnienia i obawy związane z perspektywą integracji z Europą bynajmniej nie są poparte rzeczową analizą jej prawdopodobnych skutków. Pod tym względem uprawiana krytyka i apologetyka Wspólnoty Europejskiej przypomina dyskusję o zachodniej cywilizacji, jaka w polskim piśmiennictwie miała miejsce w XIX wieku.

Po drugie: nawet najbardziej zagorzali przeciwnicy Wspólnoty Europejskiej czy Traktatu z Maastricht nie są w stanie powstrzymać procesu integracji Polski z resztą kontynentu (bez względu na to jakie instytucjonalne formy miałyby ona przynieść i jak długo miałyby trwać jej pełne urzeczywistnienie). Doprawdy musiałyby wydarzyć się jakaś straszliwa katastrofa, która zdołałaby zahamować czy całkowicie udaremnić jednoczenie się Europy. Sama logika wydarzeń wymusza na Polskę (czy chcemy tego, czy nie) coraz mocniejsze wiązanie się z ekonomiczną, prawną i polityczną strukturą EWG.

Tymczasem istota sporu leży na zasadniczo odmiennej płaszczyźnie. W paradoksalny sposób aktualny staje się postulat, iż Polska nie potrzebuje „wchodzić do Europy”, bowiem od wieków się w niej znajduje. Nie chodzi jednak o takie rozumienie tego zdania, jakie prezentują kręgi narodowe w kraju. Geograficznie i historycznie rzeczywiście zawsze byliśmy i jesteśmy częścią Europy, natomiast nie potrafimy wypracować modelu własnej narodowej tożsamości, który pozwoliłby nam odnaleźć swoje naturalne miejsce w Europie. Bowiem na kształt przyszłości Polski nie będą miały wpływu spory wokół roli inteligencji czy biadolenie nad zaściankową mentalnością Polaków. Należy sobie przede wszystkim odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, jak — wchodząc coraz głębiej w struktury wspólnoty — zachować naszą narodową i kulturową odrębność? Czy żywcem przyjąć polityczny i moralny model Europy Zachodniej, potwierdzając jak żywo tezę Hegla o naszej „bezwłaściwości”? Czy będziemy w stanie odbudować zerwaną tradycję, która wzbogaci wspólną tradycję europejską?

Misjonarze

Na początek posłużmy się pewnym subiektywnym opisem naszego społeczeństwa. Jak każdy taki opis nie będzie on doskonały, ale dla przedstawienia interesującego nas tutaj problemu tożsamości bardzo pomocny:

Instynktownie wyczuwamy, że społeczeństwo stanowi zazwyczaj pewną całość. I chociaż w jego ramach mamy do czynienia z najróżniejszymi przejawami ludzkiej, zorganizowanej i niezorganizowanej, aktywności, to jednak zawsze będą one jedynie częścią wspólnego życia społecznego. W tym sensie polskie społeczeństwo nie tworzy takiej całości,

jest w bardzo niewielkim stopniu zintegrowane. Składa się ono ze starych i kształtujących się dopiero grup, które mówią zwykle odmiennymi językami, tworzą własne światy i dążą do własnych celów. Pod tym względem jest to na pewno społeczeństwo słabe.

Dla nas interesujące będą tylko dwie grupy, których podział w pewnym sensie odpowiada podziałowi, jaki przebiegał wewnątrz solidarnościowego ruchu jeszcze za czasów jego ideowej świetności. Nazwijmy je grupą „szarych ludzi” i grupą „misjonarzy”, przy czym przez „misjonarzy” rozumiem tutaj pewną rzeszę inteligencji i tak zwanych ludzi zaangażowanych, którzy w bardziej lub mniej bezpośredni sposób tworzyli etos Solidarności oraz uwierzyli w swoją historyczną misję budowania nowego społeczeństwa obywatelskiego.

Pomimo że już od kilku lat na naszych oczach zachodzą fundamentalne zmiany, zmiany wyśnione, które powinny zwiędzić dzieło obalenia komunizmu i odzyskania suwerenności przez Polskę — „wreszcie jesteśmy we własnym domu” — okazuje się, że żadna z wymienionych obu grup nie jest z tych zmian zadowolona. Do rozczarowanych należą „misjonarze”. Rzeczywistość zdaje się bowiem bezpowrotnie oddalać od ich ideału solidarnego społeczeństwa obywatelskiego. Wyabstrahowany model nie potwierdził się w życiu. Zabiła go bezwzględna praktyka polityczna. Jeszcze po pierwszych wyborach do parlamentu w 1989 roku żywiono nadzieje, że szczytne ideały będą realizowane. Świadczyło o tym polityczne zaangażowanie inteligencji, która mając swój udział w obaleniu reżimu, uważała za oczywiste przejęcie odpowiedzialności za nowe państwo. Senator — reżyser, poseł — publicysta, minister spraw wewnętrznych — filozof, premier — dziennikarz, wszystko to mieściło się w ramach tamtego konwensansu, kiedy polityka kierowała zasady etyczne, etos zwycięskiego ruchu obywatelskiego, poczucie historycznej misji. Dziś rozczarowani porzucili parlament oraz ministerstwa i przeszli do opozycji niezadowolonych i rozczarowanych. Ci, którzy pozostali, jak T. Mazowiecki czy B. Geremek, przeszli szczególną metamorfozę. Nie będą twierdzić, że są intelektualistami w niedopasowanych garniturach polityków. Odwrotnie, zrobią wszystko, by przekonać nas, iż są zawodowymi politykami o zacięciu intelektualistów.

Zderzenie etosu i wyobrażeń inteligencji z rzeczywistością przyniosło nieoczekiwane skutki. Kiedy misjonarze utracili wiarę, że mają do odegrania znaczącą rolę przy tworzeniu no-

wego państwa, popadli w stan szczególnej bierności, z którą nie potrafią uporać się do dzisiaj. A nie ma nic bardziej żalnego jak „misjonarz”, który stracił wiarę.

Szary człowiek

Do grona rozczarowanych zalicza się również szary człowiek (może też być prosty, zwykły lub przeciętny). Często czuje się wręcz oszukany, o ile nie pogrzyżył się już w całkowitym zubożeniu. Agresywna konsumpcja, tłumiona od dziesięcioleci przez system i stworzone przezeń warunki, przekształca się w model życia. Pozbawiony tradycji i obciążony nawykami szary człowiek żyje w stanie schizofrenii. Z jednej strony jego bezrefleksyjna konsumpcja wymaga „pokarmu”, obcych produktów; z drugiej strony zakorzenione nawyki każą mu odrzucać każdą większą zmianę, każdą nowość. Szary człowiek z przyjemnością zagłębi się w lekturze Harlequina i rozsmakuje w McDonalddie, na tym jednak zatrzyma się jego udział w zachodniej kulturze. Dlatego też bez poczucia, że jego wolności dzieje się większa krzywda, pozwoli, by politycy wybierali za niego i dla niego właściwy, jedynie słuszny model życia.

Szary człowiek stęskniony jest za kolorami. Kocha Caringtonów, ale też ich nienawidzi, zwłaszcza jeśli na imię mają Hans czy Dieter i pojawią się w jego kraju, aby tutaj inwestować pieniądze. Szary człowiek lubi być nazywany Europejczykiem. To wyróżnia go od Azjatów i ucisza kompleksy. Nie potrafi jednak pogodzić się z najprostszymi konsekwencjami wynikającymi z takiej pozycji (62,2% Polaków sprzeciwia się sprzedaży ziemi Amerykanom, 70,8% nie oddałoby skrawka ojczyzny Niemcom*). Pod tym względem szary człowiek zupełnie nie jest przygotowany do realizowania umów, które podpisują w jego imieniu politycy. (Wydaje się, że podobne przekonanie kształtuje politykę Brukseli wobec Polski).

W sumie jednak szary człowiek i tak znajduje się w bardziej komfortowej sytuacji niż „misjonarze”, bowiem nigdy nie rościł sobie żadnych pretensji do duchowego przewodzenia w narodzie.

* Wyniki badań na temat antysemityzmu w Polsce (czerwiec 92) pod kierownictwem I. Krzemińskiego.

Utracona i zapomniana tradycja

Powyższy opis społeczeństwa jest jedynie opisem skutków pewnego zjawiska i dlatego nie wyjaśnia jego istoty. Problemy Polaków z ich narodową i europejską tożsamością wynikają bezpośrednio z braku tradycji, a ściślej rzecz ujmując z jej nagłego zaniku. Przy czym zwykle dzieje się tak, że naród może albo utracić tradycję ze względu na wyjątkowe wydarzenia historyczne o rozmiarach katastrofy, albo sam wypiera ją ze swojej świadomości społecznej. W Polsce od 1939 roku miało miejsce jedno i drugie.

Naród, który przez dziesięciolecia był więzieniem swej niepowtarzalnej historycznej tradycji, znalazł się w sytuacji ideowej pustki. Odczuwamy ją na swój sposób wszyscy, dostrzegamy jej niepokojące istnienie w literaturze, filmie, polityce — w całym duchowym życiu narodu. Nie chodzi tu tylko o to, że w wyniku rozpadu pewnego modelu życia i świata, pewnej ideologii (zarówno reżimowej jak i opozycyjnej) powstała ideowa i kulturowa próżnia. To jest wiadome. Nie chodzi również o to, że teatry zamieniliśmy na kantory, a sztukę na handel obwoźny. Chodzi o przyczyny znacznie głębsze i o poważniejsze skutki. Fakt, że wielkie wydarzenie historyczne, na skalę całego naszego stulecia — obalenie komunizmu — znalazło tak mierne odzwierciedlenie w kulturze narodu, jest chyba najbardziej gorzkim i najbardziej niezrozumiałym świadectwem tej pustki.

Brakuje nam umiejętności odnalezienia się w nowym świecie, samookreślenia swojego miejsca, swojej odrębności jak i partycypacji w tym, co określamy europejską wspólną tradycją. Ten brak powoduje z kolei zarówno bezrefleksyjne stany akceptacji, jak i całkiem irracjonalne, nie umotywowane logicznie stany awersji do zachodniej kultury.

Możemy oczywiście pocieszać się twierdząc, że pokolenie nowej kulturowej fali dopiero ostrzy pióra w licealnych ławkach. Czy jednak, kiedy już będzie gotowe przemówić własnym głosem, znajdzie jakichkolwiek słuchaczy? Czy nie zwycięży pustka — wynik zerwanej tradycji?

Naturalnie pojęcie kulturowej pustki czy zerwanej tradycji jest tylko retoryczną figurą. W życiu społecznym nie ma bowiem próżni. Miejsca puste zastępuje to, co jest w danej chwili atrakcyjne, bardziej ekspansywne, nie zawsze najlepsze. Z punktu widzenia demokracji, liberalizmu, ekonomii zjawisko ideologicznej i kulturalnej próżni czy załamania się tradycji

cji bynajmniej nie musi stanowić problemu. Społeczeństwo i państwo może przez jakiś czas sprawnie funkcjonować pozabawione tradycji. Przykład Niemiec Zachodnich po drugiej wojnie światowej nasuwa się tutaj w sposób naturalny.

Bez historycznej tożsamości

Nie mogąc inaczej uwiarygodnić się w oczach nowych sojuszników, Niemcy odrzuciły swoją tradycję, w sferze politycznej, gospodarczej i kulturalnej forsując model europeizacji, a w sferze prywatnej przejmując amerykański styl życia. To drugie było tym łatwiejsze, iż znajdowało wzorzec na miejscu, skutek pobytu wojsk amerykańskich w Niemczech; to pierwsze spotkało się z akceptacją sąsiadów, którzy w ten sposób mieli nadzieję zneutralizować na zawsze niemiecki nacjonalizm. Naród o imponującej kulturze przymiotnik „niemiecki” prawie w całości zamienił na „europejski”. Żaden inny kraj zachodnioeuropejski nie zakwestionował swojej narodowej i historycznej tożsamości do tego stopnia co Niemcy. Żaden tak konsekwentnie nie forsował koncepcji zjednoczonej Europy, w której kwestie narodowe miały być drugorzędne; żaden wreszcie w swojej kulturze i życiu codziennym nie zamerykanizował się do tego stopnia. Można śmiało powiedzieć, że do zjednoczenia Niemcy były najbardziej amerykańskim ze wszystkich narodów zachodniej Europy. Rację mają ci, którzy zachodnich Niemców uważają za naród pozbawiony historycznej świadomości.

Taki rozwój wypadków w powojennych Niemczech był prawdopodobnie nieuchronny. Faszyzm, jak każdy system totalitarny, skutecznie skompromitował wszelką polityczną i kulturalną tradycję i jej elity. Nie mogąc odwołać się do tradycji przedwojennej, niemieccy politycy i intelektualiści stworzyli bezpieczny, zastępczy model tożsamości: identyfikację z Europą (narodowo neutralne pojęcie) i Ameryką, jako konkretnym modelem politycznym i stylem życia. Nie bez powodu po wojnie nie odrodził się niemiecki konserwatyzm. Zastąpiła go chadecja.

Wartość sama w sobie

Dzisiejsza sytuacja w Niemczech, zwłaszcza gwałtowny wybuch nacjonalizmu, skłania nas do przekonania, że taki libe-

ralny model społeczeństwa, w którym kulturalną i tradycyjną identyfikację narodu zastępuje się abstrakcyjnym modelem, nieuchronnie prowadzić musi do uzewnętrznienia się najbardziej agresywnych i karykaturalnych form nacjonalizmu i nietolerancji. W tym sensie Polska znalazła się w podobnym położeniu, co Niemcy Zachodnie w 1949 roku. Jak powiedziano wyżej, poważne problemy z narodową identyfikacją Polaków wynikają właśnie z załamania się tradycji jako wyznacznika pewnych postaw i działań. Duchowa dezorientacja Polaków jest efektem braku autorytetów, wartości i jakichkolwiek odnośników w tradycji. Bezpośrednie nawiązanie do tradycji II Rzeczypospolitej wydaje się bowiem anachroniczne (Najjaśniejsza z martwych nie wstała). Natomiast wyszukiwanie jakichś elementów z tradycji PRL-owskiej wydaje się co najmniej problematyczne. Po pierwsze: nadal silne są tendencje, aby tę tradycję po prostu wymazać z pamięci lub uznać za swoistą aberrację. Po drugie: kto i na jakich zasadach miałby decydować o tym, jakie elementy kultury PRL-u są nadal wartościowe, a które trzeba bezwzględnie odrzucić i jak można by łączyć je z elementami tradycji dawniejszej?

Pozornie odpowiedź nasuwa się sama. Kto miałby stworzyć taki eklektyczny model tradycji, jeśli właśnie nie inteligencja? Do takiej roli predestynuje ją chociażby jej historia. Nic nie wskazuje jednak, jak dotąd, aby była ona gotowa podjąć się takiej roli. Być może sama jest świadoma swojej wewnętrznej słabości. „Misjonarze” popadli w stan frustracji.

Niewątpliwy kryzys inteligencji w Polsce po 1990 roku związany jest z załamaniem się pewnego stereotypowego przekonania, że inteligencja polska tworzy wartość samą w sobie, wartość nie tylko dla życia społecznego w Polsce (która miała się zrealizować w społeczeństwie obywatelskim po obaleniu komunizmu), ale wartość ogólnoeuropejską. Wielu zachodnich publicystów, intelektualistów i pisarzy, przyjeżdżając do Polski w czasie stanu wojennego, z wyraźną fascynacją dostrzegало tę wartość. Niektórzy z nich napisali doktoraty na ten temat, niektórzy nawet nauczyli się języka polskiego. Solidarność była dla nich bardziej ożywcym i atrakcyjnym z zachodniego punktu widzenia ruchem intelektualnym niż związkiem zawodowym, walczącym z komunizmem. Wydawało się, że Polska ma do zaoferowania Europie Zachodniej pociągający intelektualnie model obywatelskiego społeczeństwa. Stąd też zapewne wzięło się kultywowane na Zachodzie przez lata i chętnie podchwytywane w kraju przeko-

nanie, że polska inteligencja jest w stanie ożywić znużoną intelektualnie Europę Zachodnią. Kraje Europy Wschodniej nie mogły przecież konkurować z Zachodem na polu ekonomii czy technologii. Mogły natomiast ofiarować mu swój potencjał twórczy i intelektualny.

To co w mniemaniu tak wielu miało ożywić kulturę zachodnią, w momencie gdy opadną dzielące nas mury, okazało się wypełnionym powietrzem balonem, intelektualnym mirażem. Inteligencja okazała się mniej zdolna do stworzenia czegoś pozytywnego, niż „upadająca” myśl zachodnia. Jeśli sądzić z wydarzeń, jedyne co zdołaliśmy intelektualnie wnieść do tej pory do ogólnoeuropejskiego dziedzictwa to zamieszanie i zdziwienie, jakie na forum Rady Europy wywołały polskie koncepcje antyaborcyjny. O ile jednak załamanie się tego wyobrażenia dla Zachodu było tylko kolejnym rozczarowaniem, dla polskiej inteligencji okazało się katastrofą. Poza kultywowaniem własnego etosu nie potrafiła niczego więcej zaferować Europie i swojemu własnemu społeczeństwu.

Skazani na oryginalność

Na ogół zajmując się problemem integracji Polski z EWG, staramy się rozeznaczyć, czy Polacy są dość europejscy czy nie dość europejscy, tak jakby europejskość była w ogóle miarą czegokolwiek. Na dodatek, ci którzy wskazują na niedostatki europejskości posługują się dziwnym terminem *homo sovieticus* na określenie pewnego modelu świadomości, który należy zmienić, aby bardziej przystawał do europejskości. Tymczasem ci, którzy mieliby dokonać owej przemiany, elity inteligenckie, niezdolni są nawet do stworzenia wartości i modeli życia, które (co ważne) nie miałyby konkurować z modelami i wartościami zachodnimi, bo i nie mogą, natomiast mogłyby je wzbogacać, nadawać im swoisty, inny sens. Cóż dopiero mówić o stworzeniu *homo europeicus*.

Przede wszystkim jednak wątpliwe jest, by Europa oczekiwała od nas nieudolnego naśladownictwa. Nie zyskamy niczyjej akceptacji, a tym bardziej szacunku, jeśli będziemy za wszelką cenę udawać innych niż jesteśmy w istocie. (Boleśnie przekonał się o tym Janusz Józefowicz i wszyscy zwolennicy musicalu „Metro”, przy całym szacunku dla ogromnej pracy jego twórców).

Europejskość przestaje być dla zachodnich narodów celem samym w sobie. Narodowej tradycji i różnorodności kul-

tur nie można po prostu zastąpić kilkoma taktami z dziewiątej symfonii. Maastricht był epokowym wydarzeniem w tym sensie, że unaoczniał podziały, których pokonać się nie da i nie powinno. Pomimo głębokiej integracji prawnej i ekonomicznej Francuzi, Hiszpanie, Skandynawowie czy Anglicy dokładnie i wyraźnie strzegą swojej kulturalnej odrębności, swojej narodowej niepowtarzalności, podczas gdy Niemcy płacą dzisiaj wysoką cenę za kilkadziesiąt lat historycznej amnezji.

Dla nas z tego wszystkiego wynikają przynajmniej trzy zasadnicze kwestie:

Stoimy przed realnym wyborem. Albo uznamy, że brak tradycji spowodowany negatywnymi skutkami komunizmu pozostanie naszą trwałą cechą i że lepiej nie budzić demonów i jako naród „bez właściwości” próbować dopasować się do ogólnego europejskiego schematu tożsamości, tak jak próbowali dokonać tego Niemcy. Tym samym nasz „udział w Europie” ograniczyłby się do przejęcia jej struktury instytucjonalnej, prawa, kultury, zwyczajów, podczas gdy sami niczego własnego do niej nie będziemy chcieli wnieść. Możemy jednak zdecydować się na proces bardziej złożony, ale moim zdaniem zdrowszy: z jednej strony oczywiście musielibyśmy podporządkować się obowiązującym w Europie regułom (co się jednym podoba a innym nie), ale jednocześnie z mozołem powinniśmy poszukiwać własnej tożsamości i tradycji, której z wytrwałością Anglików czy Skandynawów gotowi bylibyśmy bronić, jako owej wartości samej w sobie na skalę europejską.

Ponadto jeśli zaakceptujemy właśnie to drugie rozwiązanie, nie powinniśmy oczekiwać, że inteligencja przejmie ponownie rolę inżyniera dusz. Wydaje się ona do tego niezdolna, a nawet nie jestem pewien, czy jej udział okazałby się tutaj zbawienny. Należałoby sobie bowiem odpowiedzieć na pytanie, czy inteligencja, jaką uformowała w Polsce tradycja dziewiętnastowieczna, a potem niewątpliwie inteligencja dworska w stylu komunistycznym, jest nam potrzebna i czy to tak źle, że nie ma ona sił podołać nowym wyzwaniom (nad czym m.in. ubolewa ostatnio A. Szczypiorski). Chyba nie. Być może lepiej będzie, jeśli odbudowanie naszej tradycji i tożsamości odbędzie się bez ponownego konstruowania idei, drogą zapewne znacznie powolniejszą, ale i bardziej pewną i naturalną.

W końcu należy stwierdzić, że dogłębna dyskusja — nie nad rolą inteligencji jak chce tego *Polityka*, ale właśnie nad od-

budowaniem tradycji w Polsce i jej wkomponowaniem w Europę — jest prawdziwą dyskusją o przyszłości. Jeśli bowiem słuszna jest teza, że demokracja jest formą tradycji, dla każdego narodu i kultury odmienną, to bez tradycji nie będziemy ani narodem demokratycznym, ani stabilnym elementem Europy czy świata.

Marek CICHOCKI

List do Redakcji

Londyn, 19.6.93

Szanowny Panie Redaktorze,

Od wielu lat jestem związany z wieloma publicznymi sprawami i dlatego z reguły unikam wszelkich polemik. Dlatego gdy w roku 1986 podjąłem skuteczną obronę przed oszczerstwem w londyńskiej prasie i gdy do sprawy, nie mającej z nią nic wspólnego, włączyła się p. Stefania Kossowska, pominąłem ją w moim podsumowaniu, które ukazało się w *Kulturze* w grudniu 1986 r. Postąpiłem tak, choć p. Kossowska atakowała mnie w prasie, próbowała rozbić Związek Pisarzy i sama zeń wystąpiła.

Tym razem, po artykule p. Kossowskiej „Coraz więcej Mroźka” w *Kulturze* z czerwca br., nie mogę milczeć, bo wystąpienie jej zawiera zbyt wiele kłamstw, jak również jest atakiem na Związek Pisarzy, którego jestem prezesem. Mam prawo do obrony mego imienia a za Związek Pisarzy jestem odpowiedzialny. Znowu, jak to miało miejsce 7 lat temu, p. Kossowska włączyła się do sprawy, która nie ma z nią nic wspólnego. Moją wypowiedź ujmuję w punkty, każde stwierdzenie jest udowodnione załączonymi dokumentami.

1. Żadnego zażalenia do Ministerstwa Edukacji Narodowej nie wysyłałem i wcale nie chodziło tu o mnie. Po jednogłośnie uchwaleniu Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, zostało do Ministerstwa wysłane pismo stwierdzające, że książka K. Dybciaka, „Panorama literatury na Obczyźnie” zawiera zbyt wiele błędów, by mogła być polecana jako lektura szkolna. Z Ministerstwa otrzymaliśmy rzeczową odpowiedź, że książka nie ma w szkołach charakteru obowiązującego podręcznika. Jednocześnie w piśmie wyrażono uznanie dla Związku za „troskę o jakość obrazu literatury emigracyjnej w kraju”.

2. Nie było żadnej sprawy w sądzie angielskim o recenzję z mojej książki, ale o oszczerstwo w artykule w *Tygodniu Polskim*. Oszczerstwo to nie miało nic wspólnego z moimi pracami historycznymi, a próby załatwienia sprawy bez pomocy adwokata zakończyły się niepowodzeniem. Zostałem przez *Tydzień* i przez autorkę artykułu przeproszony, a o roli p. Kossowskiej w tej sprawie wspominałem już powyżej.

3. Stwierdzenie, że *Pamiętnik Literacki* „nie poświęcił ani jednego słowa” *Wiadomościom*, jest dalszym kłamstwem. Od pierwszego tomu, który ukazał się w roku 1976, do tomu XVI w roku 1990, gdy po raz ostatni przyznano nagrodę *Wiadomości*, wszystkie zostały wymienione. Nie dość na tym. Po likwidacji pisma, jako prezes Związku Pisarzy, wziąłem na siebie obowiązek załatwienia spraw administracyjnych związanych z dalej istniejącą nagrodą. Sam te sprawy załatwiałem, z pieniędzy Związku wysyłałem zawiadomienia o zebraniach jury i prowadziłem z jej członkami korespondencję.

To jeszcze nie wszystko. Gdy dowiedziałem się o decyzji likwidowania pisma, porozumiałem się z p. Janem Badenim i z p. Tadeuszem Walczakiem i wspólnie wysunęliśmy inicjatywę ratowania pisma. W naszym planie było zdobycie pieniędzy na dalsze wydawanie tygodnika. Nasza inicjatywa nie została przez *Wiadomości* podjęta. W załączeniu zestawienie z tych rozmów sporządzone ręcznie przez p. Tadeusza Walczaka oraz kopia listu p. Kossowskiej do mnie z podziękowaniem za podjęcie inicjatywy.

Ten nasz wysiłek został przez p. Kossowską pokwitowany atakiem na Związek, na dr. Jagodzińskiego i na mnie.

I jeszcze jedna sprawa. Od lat w *Dzienniku Polskim* ukazuje się *Środa Literacka*. Gdy redagował ją już niestety nieżyjący, Stanisław Baliński, mieliśmy z nim jak najbliższy kontakt i *Środa* przynosiła informacje o naszej działalności, o *Pamiętniku Literackim*, o nagrodach, o wieczorach z udziałem najwybitniejszych polskich pisarzy i bardzo licznej publiczności. Czy ktoś widział jakąkolwiek wzmiankę o naszej działalności od dnia, od którego *Środę* redaguje p. Kossowska? Może nie dostrzegłem.

4. Twierdzenie, że w rozmowie telefonicznej wyraziłem oburzenie ponieważ żadna z mych książek nie otrzymała nagrody *Wiadomości* i że dołączyłem do tego pogrózkę, jest kłamstwem. Ta próba obrzucenia mnie błotem ma kilka aspektów, bo poza oszczerstwem usiłuje ze mnie zrobić głupca, który nie zna regulaminu przyznawanej nagrody. Każdy wie, że członek jury nie może pretendować do nagrody, którą sam przyznaje.

Wystąpienie p. Kossowskiej zostało umieszczone w rubryce „Polemiki”, ale ja żadnego dialogu nie podejmuję, bo z kłam-

stwami nie polemizuję. To, co napisałem i dokumentami udowodniłem, a które załączam do wiadomości Redaktora, ma charakter wyłącznie informacyjny, by Czytelnicy *Kultury*, której przez długie lata byłem współpracownikiem, poznali prawdę.

Z wyrazami poważania

Józef GARLIŃSKI

Odpowiedź p. Garlińskiemu

(NA LIST W *KULTURZE*)

Zanim ukazał się w dzisiejszym numerze *Kultury* list p. Garlińskiego (z 19.6.93) i zanim mogłam odpowiedzieć, otrzymałam od niego 26 lipca — za pośrednictwem trzeciej osoby, choć mój adres zna — ultimatum. Albo przeproszę jego i Związek Pisarzy za wymienione przez niego moje „kłamstwa i oszczerstwa”, albo rozpocznie przeciwko mnie prawne postępowanie, jak radzi mu jego adwokat, który go zapewnił, że „w swojej długiej praktyce nie miał jeszcze do czynienia z tak jaskrawym oszczerstwem” jak moja wypowiedź „Coraz więcej Mrożka” w czerwcowym numerze *Kultury*.

Każda sprawa w Anglii, gdy zostaje skierowana na drogę prawną, jest komplikowana i przeciągana jak długo się da, pociągając za sobą w końcu — bez względu na jej wynik — koszta, idące w tysiące i setki funtów.

Ponieważ nie mam ochoty na koniec życia znaleźć się bez dachu nad głową, albo w więzieniu za dług, którego nie byłabym w stanie zapłacić, wobec pogroźki p. Garlińskiego bez wahania godzę się go przeprosić.

A więc przeproszam, że pisząc „Coraz więcej Mrożka” oparłam się na liście do redakcji p. Dybciaka (*Kultura*, nr 1/2), którego, nie słyszałam by p. Garliński podał do sądu za kłamstwo — zamiast najpierw nawiązać korespondencję z Ministerstwem Edukacji Narodowej, żeby dokładnie sprawdzić treść listu Związku Pisarzy.

Nigdzie nie napisałam, że przeciwko p. Cybulskiej „odbyła się sprawa w sądzie angielskim”, więc trudno mi za to przeprosić. Natomiast przeproszam za niecisłą informację, że w sprawie

tej chodziło o recenzję z książki p. Garlińskiego, zamiast — jak powinno być — jego artykułu w *Pamiętniku Literackim*. Również niewłaściwie — za co przepraszam — użyłam potocznego skrótu, że „zwrócił się wprost do sądu angielskiego”, zamiast powiedzieć, że wybrał drogę prawną a nie polubowną.

Jego firma adwokacka (Adlers, Solicitors, 22-26 Paul Street, London) w liście do p. Cybulskiej (11.8.86) zażądała od niej i od *Tygodnia Polskiego* przeproszenia, odszkodowania i zapłacenia kosztów prawnych i zapowiedziała wszczęcie dalszego postępowania (*proceedings* [sic]), jeśli w ciągu czterech dni (do 15.8.86) nie otrzyma od niej listu z przyjęciem warunków. Ze względu na horrendalne i nigdy nie przewidziane w Anglii koszta prawne, o których wspomniałam, p. Cybulska przeprosiła p. Garlińskiego. Zrobił to też *Tydzień Polski* i zapłacił £800.

Reakcja i wystąpienie szeregu pisarzy ze Związku na skutek akcji przeciwko p. Cybulskiej, było ich własną decyzją, w której ja nie brałam udziału, bo nie ośmieliłabym się wpływać na poważnych pisarzy jak m.in. prof. Anna Frajlich, Henryk Grynberg, Waław Iwaniuk czy dobrze znany czytelnikom *Kultury* Antoni Pospieszalski, który — choć, zdaje się, nie wystąpił ze Związku — w oparciu o swój autorytet moralny próbował (bezsukutecznie) skłonić p. Garlińskiego do zmiany jego stanowiska wobec p. Cybulskiej. (list z 12 grudnia 1986).

Ma rację p. Garliński, że w *Środzie Literackiej*, którą redaguję jako miesięczny dodatek do londyńskiego *Dziennika Polskiego* nie daję wzmianek o niezliczonych lokalnych imprezach, m.in. Związku Pisarzy, gdyż znajdują one miejsce na innych stronach *Dziennika*, skrupulatnie przekazując nazwiska, tytuły, komplementy i fotografie. Nigdy zresztą nie dostałam żadnej notatki Związku do *Środy*. Na jej dwóch małych stronach staram się zamieszczać wyłącznie teksty literackie, co powinno sprawić pewną przyjemność Związkowi Pisarzy. Przez siedem lat prowadzenia przeze mnie *Środy* ukazały się w niej utwory ponad stu autorów (m.in. Danilewiczowej, Grynberga, Herberta, Iwaniuka, Kotta, Łobodowskiego, Nowakowskiego, Pietrkiewicza, Romanowiczowej, ks. Twardowskiego, Weintrauba i szeregu młodych autorów z *Polski*).

Zamieszczanie w *Pamiętniku Literackim* notatek o przyznawanych nagrodach, w tym o nagrodzie *Wiadomości* nie zmienia faktu, że w *Pamiętniku* nie ukazał się żaden artykuł, żaden „nekrolog” *Wiadomości*, ani Związek Pisarzy nie poświęcił im żadnego ze swych licznych wieczorów. Inicjatywa „ratowania pisma”, o której wspomina p. Garliński — i za którą podziękowałam — była gestem bez praktycznych znaczenia, gdyż w żadnej mierze nie usuwała ówczesnych trudności, związanych z dalszym ukazywaniem się pisma (zabezpieczenie finan-

sowe, lokal, nowa drukarnia, personel).
Gdy *Wiadomości* przestały wychodzić w 1981 r. zwróciłam się do p. Garlińskiego, który już należał do jury, by jako prezes Związku Pisarzy, dysponujący funduszami i sekretarką przejął prowadzenie administracji dorocznych zebrań jury nagrody *Wiadomości*. W latach, gdy się tym zajmował, nie ukazało się żadne sprawozdanie z posiedzeń jury, co niestety pozostawiło lukę w książce o nagrodzie („Od Herberta do Herberta”).

P. Garliński twierdzi, że nie miałam nic wspólnego ze sprawą p. Cybulskiej ani p. Dybciaka. O tym, że o niektóre sprawy walczy się w imię dobrych obyczajów czy sprawiedliwości, świadczy jego własna niedawna interwencja w krajowym sporze między klubami futbolowymi Legia i ŁKS (*Przegląd Sportowy* 6 lipca 93), o czym zawiadomił czytelników emigracyjnego *Tygodnia Polskiego* (17 lipca 93), i choć nie przypisuje sobie całej zasługi za jego rozwiązanie, uważa, że głos jego był potrzebny. I ja miałam swoje powody zabrania głosu, choć może nie tak patriotyczne („Kraj wymaga naszego zaangażowania, naszych opinii, naszej pomocy”), nie mniej dla mnie ważne.

Dr Cybulska po przyjeździe z Polski w latach 70-tych zaczęła blisko współpracować z *Wiadomościami*; ceniłam jej osobę i jej pracę i uważałam za swój obowiązek stanąć w jej obronie.

Sprawa poruszona przez p. Dybciaka, w której chodziło o *Pamiętnik Literacki* i o reprezentację literatury emigracyjnej obchodziła mnie ze względu na *Wiadomości*. Pisząc „Coraz więcej Mrożka” wstrzymałam się od powiedzenia wszystkiego, by bliskie mi emigracyjne środowisko literackie nie ukazało się w niepochlebnym świetle. Wobec zarzutów, jakie wysuwa przeciwko mnie p. Garliński muszę jednak wrócić do rozmowy z maja 1986, o której w tamtym tekście wspomniałam. Parę dni przed zebraniem jury p. Garliński zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, że protestuje przeciwko wysunięciu do nagrody kandydatury Michnika. Z dalszego ciągu ponad godzinnej rozmowy, prowadzonej w niezwykle gwałtownym tonie, dowiedziałam się, że wini mnie za to, że nie dostał nagrody *Wiadomości*. Nie chodziło o nagrodę w 1983 r., gdy już był członkiem jury, o której teraz wspomina.

Pięć książek p. Garlińskiego było wysuwanych do nagrody w różnych latach, ale tylko jedna z nich doszła do głosowania. Stało się to w 1975 r., gdy jego „Oświęcim walczący” otrzymał trzy głosy. Laureatem został wtedy Czesław Miłosz za zbiór wierszy „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada” większością siedmiu głosów na dziesięcioro obecnych. W dyskusji na tym zebraniu wysunęłam zastrzeżenie co do kandydatury dwóch książek w pełni przyznając im ich wartość, uważając jednak, że nagroda *Wiadomości* powinna być raczej przyznawana dziełom

literackim, (w czym poparł mnie Tadeusz Nowakowski). W stosunku do książki p. Garlińskiego powtórzyłam również to, co nieraz było poruszane na zebraniach, mianowicie, że lepiej unikać nagradzania książek, które w tym samym roku otrzymały już inne nagrody. P. Garliński dostał za tę książkę nagrodę Związku Pisarzy i było już nieoficjalnie wiadome, że przyznano mu nagrodę Jurzykowskiego (*Wiadomości* 14 grudnia 1975). Nie przywiązywałam wagi do tej mojej „regulaminowej” wypowiedzi, o której po jedenastu latach zupełnie zapomniałam. W 1977 roku wysunęłam do nagrody *Pamiętnik Literacki*, po kilku latach omówiłam z wielkim uznaniem tenże *Pamiętnik* (*Dziennik Polski* 6.1.82) i żyłam w przekonaniu, że łączą mnie z p. Garlińskim poprawne koleżeńskie stosunki. Stąd moje zdumienie, gdy po wypomnieniu mi, że to ja „utraciłam” jego nagrodę, dowiedziałam się, że on „nigdy nie przebacza” i „nigdy nie zapomina”, o czym właśnie mam okazję się przekonać.

Powołując się na rozmowę telefoniczną trudno o rzeczowe dowody, ale była ona dla mnie takim szokiem, że od razu zanotowałam jej przebieg i niektóre fragmenty i powtórzyłam je paru bliskim osobom, w tym p. Lidii Ciołkoszowej, która to dobrze pamięta.

Mogę powołać się również na świadectwo Tadeusza Nowakowskiego, który — nie wątpię — tego nie zapomniał, o stosunku p. Garlińskiego do kandydatury Michnika, (który wtedy siedział w więzieniu). Przed samym zebraniem jury 10 maja 1986 zaskoczony Nowakowski, który właśnie przyleciał z Monachium na zebranie, podszedł do mnie i zapytał co się stało i co ma robić, bo w samolocie nakreślił sobie uzasadnienie nagrody dla Michnika a Garliński właśnie mu powiedział, że ma tę kandydaturę wycofać.

Michnik nagrodę otrzymał i na tym skończyły się stosunki p. Garlińskiego z jury nagrody. Na zebraniu nie zabrał głosu, gdy omawiano kandydaturę Michnika i nie udostępnił tekstu wypowiedzi o swoich kandydatach do sprawozdania (*Tydzień Polski* 5.7.86); nie brał udziału w następnych zebraniach i uważał, że „wystąpił z jury” choć regulamin mu na to nie zezwalał. Ponieważ uważałam, że zajmowanie się administracją nagrody nie uprawnia do dysponowania kto może do niej kandydować i kto może ją dostać, przejęłam z powrotem od p. Garlińskiego organizowanie pozostałych zebrań jury. Sprawa p. Cybulskiej, późniejsza o parę miesięcy, nie miała nic wspólnego z tym incydentem.

Gdy p. Garliński dowiedział się, że przygotowuję książkę o nagrodzie *Wiadomości* napisał mi (8 grudnia 1990): „Mam nadzieję, że w książce o nagrodzie *Wiadomości* zostanie podany fakt mojej rezygnacji bez komentarza. Każda subiektywna uwaga wywoła tylko niepotrzebną polemikę”.

Ostrzeżenie było zbyteczne, gdyż nie miałam zamiaru tym epizodem psuć dobrej opinii nagrody im. Grydzewskiego.

Może moje przeproszenie za wszystkie nieścisłości i moje wyjaśnienia pozostałych punktów sprawią, że p. Garliński nie będzie musiał wściec — jak wyraził się w przekazanym mi liście — „babrać się w pomyjach”.

London, 2 sierpnia 1993

Stefania KOSSOWSKA

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkiewicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefania Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10. 4. 93

Zmarł w Warszawie w wieku 69 lat Tadeusz Jędruszczak, historyk, pracujący w Instytucie Historii PAN, redaktor naczelny *Kwartalnika Historycznego*, autor wielu prac dotyczących dziejów politycznych Polski w XX wieku.

27. 5. 93

Zmarł w Warszawie w wieku 96 lat Kazimierz Więcek, ostatni do niedawna żyjący delegat rządu gen. Sikorskiego w Alma-Acie, który na tym stanowisku położył wielkie zasługi w obronie deportowanych. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy obszerniejsze o nim wspomnienie.

8. 6. 93

Urząd Rady Ministrów przygotował projekt nowego podziału terytorialnego Polski. Przewiduje on przywrócenie zlikwidowanych w czerwcu 1975 powiatów (było ich 392 w tym 78 miejskich). Projektuje się utworzenie 338 powiatów (w tym 45 miast wydzielonych).

10. 6. 93

Fundacja Omeliana i Tatiany Antonowiczów (USA) przyznała w br. nagrody: Włodzimierzowi Drozdowi za powieść „Listia ziemi”, historykowi Michajłowi Brajczawskiemu za książkę pt. „Utrwalanie chrześcijaństwa na Rusi” oraz czasopismu *Literaturnaja Ukraina*. ■ Główny Urząd Statystyczny szacuje, że w ciągu ostatnich 7 lat wyemigrowało z Polski 1.800.000 osób.

22. 6. 93

W Katowicach odbyła się uroczystość wręczenia Josifowi Brodskiemu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego, połączona z cyklem imprez kulturalnych, związanych z pobytem w Katowicach Josifa Brodskiego i Czesława Miłosza.

24. 6. 93

Ks. Adam Boniecki, asystent kościelny i wieloletni publicysta *Tygodnika Powszechnego*, były redaktor edycji polskiej *L'Osservatore Romano*, został wybrany na generała zgromadzenia Księży Marianów.

25. 6. 93

Prezydent Wałęsa powołał Kapitułę Orderu Odrodzenia Polski. Wchodzą do niej Andrzej Ajnenkiel, Kazimierz Dejmek, Aleksander Gieysztor, Zofia Korczyńska, Artur Międzyrzecki, Andrzej Stelmachowski, Józef Szajna i Jerzy Turowicz. ■ Decyzją Jana Pawła II diecezja przemyska obrządku bizantyjsko-ukraińskiego została wyłączona z zależności od Metropolii Warszawskiej i podporządkowana bezpośrednio Watykanowi. ■ Trybunał Konstytucyjny orzekł, że wszyscy kandydaci na posłów i senatorów mają składać oświadczenia o ewentualnej współpracy z UB i SB.

1. 7. 93

Według oficjalnych statystyk sowieckich (spis z 1989 r.) mieszkało w ZSSR 1.126.000 Polaków. Według tych samych danych w poszczególnych republikach było ich: 417.720 na Białorusi, 257.994 na Litwie, 219.179 na Ukrainie, 94.594 w Rosji, 60.416 na Łotwie, 59.956 w Kazachstanie, 4.739 w Mołdawii. Obliczenia te są całkowicie fałszywe. Badając tę problematykę można przyjąć, że we wszystkich państwach posowieckich jest co najmniej 3-4 miliony Polaków. Dokładne dane będzie można uzyskać po przeprowadzeniu nowego spisu ludności, który będzie przebiegał w warunkach demokratycznych i obiektywnych. Niestety tymczasem żaden z krajów posowieckich nie ustalił jeszcze daty spisu ludności.

2. 7. 93

Wielkopolski Bank Kredytowy sprzedał 15% udziałów w spółce „Życie Press”, włoskiej firmie Societa Televisiva Italiana Srl. (STEI), wydającej dziennik *Życie Warszawy*. Ponieważ STEI miało już 40% udziałów, ma obecnie większość. Niepokojące jest zjawisko, że większość czołowych pism w Polsce jest finansowana przez kapitały zagraniczne. Jakże są tego powody?

3. 7. 93

Sprawa oświęcimskiego Karmelu jest w dalszym ciągu nieuporządkowana, mimo wyraźnych poleceń Papieża i Episkopatu. Nie wszystkie karmelitanki opuściły dawny budynek klasztoru, a przełożona karmelitanek bezprawnie wydzierżawiła ten budynek Stowarzyszeniu Ofiar Wojny na lat 30. Bezprawnie, gdyż budynek jest własnością władz miejskich Oświęcimia, które wydzierżawiły go klasztorowi pod warunkiem, że będzie to tylko klasztor kontemplacyjny. Zresztą prezydent miasta Oświęcimia 29 czerwca br. wymówił karmelitankom tę dzierżawę.

9. 7. 93

Kierownictwo telewizji polskiej zlikwidowało szereg programów — z programem „Bez znieczulenia” Wiesława Walendziaka na czele. Na to miejsce została rozbudowana audycja „Prosto z Belwederu”. Praktycznie biorąc telewizja jest prawie wyłącznie poświęcona akcji wyborczej prezydenta Wałęsy.

12. 7. 93

W Dubience nad Bugiem odbyło się III międzynarodowe sympozjum muzyki ludowej Europy Środkowo-Wschodniej (tradycyjny obrzęd weselny) zorganizowane przez: fundację „Muzyka Kresów”, Ośrodek Badań Muzykologicznych i Kulturowych Europy Środkowo-Wschodniej.

15. 7. 93

1 lipca br. zarejestrowano w Polsce 2.701.800 bezrobotnych. Czyli o 3% więcej niż przed miesiącem, a 17,6% więcej niż w czerwcu 1992 roku.

23. 7. 93

Z okazji 40-lecia istnienia katedry ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego jej kierownik, prof. Stepan Kozak, otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Kijowskiego.

25. 7. 93

W związku z zapowiedzianą likwidacją Radia Wolna Europa p. Piotr Mroczyk rozpoczął starania o uzyskanie licencji na nadawanie programu telewizyjnego w Polsce. Polska będzie miała jeden ogólnopolski prywatny program telewizyjny, a inne dopuszczone programy będą albo telewizjami publicznymi, albo lokalnymi. O przydziale będzie decydowała Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. O tę koncesję zabiega do tej pory około 10 grup. Koszt uruchomienia programu telewizyjnego będzie wynosił ok. 50 mln dolarów. Ciekawe jak odnoszą się do projektu p. Mroczyka władze amerykańskie.

2. 8. 93

Zmarł w Moskwie w wieku 51 lat Leon Bójkko, korespondent *Gazety Wyborczej* w Moskwie, jeden z najlepszych znawców Rosji w Polsce i specjalista od spraw rolnictwa.

3. 8. 93

Zmarł nagle w Warszawie, w wieku 48 lat, Krzysztof Mętrak, krytyk literacki i filmowy, publicysta i felietonista, z-ca redaktora naczelnego miesięcznika *Literatura*.

ZACHÓD

10. 6. 93

Prof. Piotr Wandycz otrzymał medal im. J. Hlavki za „Wybitne zasługi dla nauki czeskiej”.

18. 6. 93

Z.S. Siemaszko wygłosił w Londynie odczyt zorganizowany przez Instytut Wschodni „Reduta” pt. „Gen. Anders — wypowiedzi najbliższych ułożone przez p. Ewę Berberysz w książce *Anders spieszony*”. Poprzednio — 5 czerwca br. Z.S. Siemaszko mówił o deportacji ludności cywilnej do Związku Sowieckiego w latach 1939-1941.

26. 6. 93

W Muzeum Polskim w Rapperswilu zorganizowana została w ścisłej współpracy z Muzeum w Zamku Królewskim w Warszawie i z Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa Józefa Simmlera (1823-1868), przedstawiająca 64 prace. Jest to pierwsza prezentacja jego twórczości w Szwajcarii, choć rodem był z Zurychu — pradiad malarza przeniósł się w końcu XVIII wieku do Warszawy. Obszerny, bogato ilustrowany, dwujęzyczny katalog opracowała Elżbieta Charazińska z warszawskiego Muzeum Narodowego.

28. 6. 93

Zmarła w Lake Placid (USA) w wieku 88 lat Halina Rodzińska, wdowa po dyrygencie Arturze Rodzińskim, autorka książki pt. „Nasze wspólne życie”, współzałożycielka i prezes nowojorskiego Komitetu Pomocy Nieznanym w Polsce.

2. 7. 93

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt nuncjusza apostolskiego w Polsce, arcybiskupa Józefa Kowalczyka na temat nowego podziału administracyjnego Kościoła w Polsce. ■ 27 czerwca br. została odprawiona msza św. za duszę śp. Haliny Mikołajskiej w 4-tą rocznicę Jej śmierci.

19. 7. 93

Zmarła w Buenos Aires Wiktoria Ardasiewicz-Machnikowa, b. prezes Związku Polaków w Argentynie, wielka działaczka harcerska i społeczna, fundatorka Polskiego Ośrodka Młodzieżowego w Burzaso, przyjaciółka *Kultury*.

24. 7. 93

Zmarł w szpitalu w San Bartolomeo w Hiszpanii, w wieku 79 lat, w następstwie nieszczęśliwego wypadku samochodowego, Stanisław Jordanski, wieloletni dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Jako oficer brał udział we Wrześniu 1939 r. i w kampanii francuskiej w 1940 r., współorganizator ruchu oporu we Francji, pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie, znany działacz niepodległościowy i społeczny.

30. 7. 93

Zmarł w Londynie w wieku 102 lat Edward Raczyński. Swoją służbę dyplomatyczną rozpoczął w Kopenhadze, potem w Londynie, a następnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie, w dziale wschodnim, a później w dziale ustrojów międzynarodowych. W latach 1932-1934 brał udział w konferencji rozbrojeniowej w Genewie, w 1934 r. został mianowany ambasadorem R.P. w Londynie i był nim do roku 1945, do chwili cofnięcia przez W. Brytanię uznania rządowi polskiemu na wygnaniu; w latach 1941-1943 kierował ministerstwem Spraw Zagranicznych. W 1943 r. został mianowany ministrem stanu w gabinecie generała Sikorskiego. W latach 1954-1972 był członkiem Rady Naczelnej Jedności Narodowej, a od roku 1979 do 1986 sprawował urząd Prezydenta R.P. na uchodźstwie.

20. 9. 93

W Villeneuve d'Ascq (Francja) odbędzie się trzydniowe międzynarodowe kolokwium *France Europe du Centre-Est vue par les Historiens et les Penseurs européens du XVIIIème siècle à nos jours: critiques, nostalgies, modèles*. Kolokwium jest zorganizowane przez Université Charles de Gaulle w Lille.

Listy do Redakcji

20 lipiec 1993

O CZARNOBYLU I O POGARDZIE

Opublikowany w n-rze 4 *Kultury* z 93 r. artykuł p. Z.P. Zagórskiego „Dziedzictwo Czarnobyla” jest tekstem stroniczym i roi się od przeinaczeń, przemilczeń i fobii.

Wykażę to na paru przykładach:

1. P.Z. nie wspomina, że reaktory RBMK mają cechę dyskwalifikującą je i o wiele groźniejszą niż palność zwierciadła grafitowego. Jest to „dodatni temperaturowy współczynnik reaktywności”. Znaczy to, że ze wzrostem temperatury (a więc na przykład w wygotowywaniu wody chłodzącej) moc reaktora *coraz szybciej* rośnie, nie zaś maleje, jak we wszystkich „cywilizowanych” reaktorach. Ta cecha spowodowała więc *lawinowy* wzrost mocy reaktora *cztery tysiące razy* ponad moc nominalną w ciągu paru sekund. (Wg. raportu sowieckiej komisji z sierpnia 1986 dla MAEA). Nastąpił więc wybuch.

2. Wybuch ten powstał na skutek nagłego uwolnienia się *energii rozszczepienia*, energii nuklearnej. Z tego, że był to wybuch *wolniejszy* od wybuchu bomby nuklearnej nie wynika jednak, że jego przyczyny były chemiczne. P.Z. pisze, że „łatwo to udowodnić”, ale tego nie czyni.

3. Sowietci przez całe lata z uporem pisali o „awarii” w Czarnobylu, Pan Z. idzie dalej w umniejszaniu roli tej katastrofy, nazywając ją kilkakrotnie „pożarem czarnobylskim”. Czyżby w siedem lat po tragedii nie dotarł jeszcze do danych?

4. Autor pisze, że o ew. ofiarach „wspomina się (...) bez dokumentacji medycznej”. Cztery linijki niżej pisze zaś, że w przypadku „likwidatorów” prowadzono „skrupulatną ewidencję dozymetryczną dawek”. Są to zdania raczej sprzeczne. Poza tym właśnie w przypadku ...likwidatorów” NIE prowadzono porządnej ewidencji dozymetrycznej, a jak podają oficjalne źródła ukraińskie, nawet nie wiadomo, czy było ich 300 tys., czy 500 tysięcy. Po „wykonaniu zadania” rozproszono ich po całym terenie Imperium. I to jest Zbrodnia Systemu, że prawdziwej liczby ofiar śmiertelnych (ani zachorowań) nie znamy, i pewnie nie poznamy.

5. Autor pisze z powątpiewaniem, że „skażenie ponad 15 Ci/Km² cezu 137 obserwowane podobno gdzieś na Białorusi jest prawdopodobnie faktem”. Służę mapami Ukrainy, Białorusi i kawałka Rosji wydanymi w 1990 r. w ZSSR (cena 20 kop.), gdzie udokumentowano, że wielkie obszary były skażone ponad 40 Ci/km² Cs 137, ponad 3 Ci/km² strontu 90 i wielką ilością plutonu 239 i 249. Te dwie ostatnie wielkości są o tyle alarmujące, że stront i pluton osadzają się w kościach i niszczą szpik.

6. Cytując: „W pewnym państwie południowo-amerykańskim” (którym?) znalazło się na śmietniku źródło cezu 137” w ilości odpowiadającej

skażeniu setek km² najbardziej skażonych stref Białorusi. Przyjmując za te „setki” liczbę 500, a za skażenie ostrożnie 80 Ci/km², byłoby to źródło o intensywności ok. 3-4 tys. Ci, czyli przeszło *milion miliardów* rozpadów na sek. Dla mnie, fizyka nuklearnego jest to wielkość niewyobrażalnie wielka, katastrofalna, a p. Z. robi sobie z tego lekceważące podśmiewajki...

7. Świadectwa i alarmy z Ukrainy i Białorusi o potwornych, nagminnych zniekształceniach roślin, zwierząt i ludzi p. Z. kwituje dowcipem „stary kot wyleniały od promieniowania” oraz hipotezą, że może przyczyną były „tajemnicze chemikalia, mające związać glebę”. Naukowiec powinien napisać: „Jak udowodnił X. w pracy Y., przyczyną potworności były... następujące związki chem.”. P. Z. zaś „czeka z niecierpliwością... na rezultaty badań... tajemniczych polimerów”...

Dość! Nie kończę, lecz przerywam. Z tym nie da się polemizować, to można jedynie zasygnalizować.

Szkoda, że tekst ten ukazał się w piśmie uważanym przez wielu za poważne.

dr hab. Mirosław DAKOWSKI

(fizyk jądrowy, specjalista fizyki rozszczepiania,
współautor raportu Państwowej Agencji Atomistyki
o skutkach katastrofy w Czarnobylu dla Polski)

Warszawa, 12 lipca 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Wywołany niejako artykułem Mirosława Supruniuka o powojennych „podróżach” Józefa Czapskiego do Polski (*Kultura*, 4/1993), pozwałam sobie ujawnić, że to ja jestem autorem wyróżnionego przez niego tekstu, podpisanego kryptonimem ab. Posługiwałem się nim poza „Szkicami”, również na łamach podobnie jak one drugoobiegowych pism — *Kultury Niezależnej* oraz *Wyboru*.

Przy okazji chciałbym sprostować błąd w tytule mojego tekstu o Czapskim, który podał Supruniuk, chodziło bowiem o obrazy *niewidziane* a nie niewidzialne!

Łączę wyrazy najwyższego szacunku

Bogusław MANSFELD

Poznań, 5.7.93 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Intelektualnie odświeżające i zaskakująco oryginalne sądy i uwagi J.M. Bocheńskiego o ludziach i świecie, a zwłaszcza o Polsce i Polakach uderzają, jak zresztą wszystkie opinie tego filozofa, niezwykłą siłą umysłowej prowokacji, która wprost zmusza czytelnika do myślenia i sformułowania własnego, nie zawsze jednak identycznego, poglądu.

Do tej ostatniej kategorii z całą pewnością należy uderzająco pochiebna ocena jaką znakomity myśliciel wystawił polskiej religijności („Co znaczy być Polakiem” *Kultura* 4, 1993) zawyżając chyba, tak mi się przynajmniej wydaje, wartość naszego sposobu przeżywania transcencji. Wystarczy trzeźwa, nawet bez żadnego specjalnego przygotowania przeprowadzona analiza choćby tylko treści nawykowo zwykle intonowanych — a więc już głęboko w świadomości grupowej tkwiących — naszych pieśni i modlitw, aby stracić wcześniej zasugerowany optymizm.

Doprawdy nie wiadomo na jakie we współczesnym świecie życie mogą liczyć ludzie, którzy w XXI wiek chcą wejść z naiwną wiarą w sprawczą moc, obsesyjnie jak gdyby już powielanych, westchnień, próśb i wezwań, za często niestety przypominających magiczne zaklęcia: „Użyc... Spraw... Nie pozwól... Nie dopuść... daj Panie abym się... nie upił... nie przeklął... nie skłamał... nie szukał poza mną usprawiedliwień... Ustrzeż mnie od chciwości i zachłanności... Nie daj, Boże, abym się radował cudzym niepowodzeniem... nieszczęściem...” („Pacierz polskie”, *Tygodnik Powszechny* 50, 88 r.) Co lepsze, wielu na tym nie poprzestaje — większość, wbrew historycznej prawdzie usiłuje stwórcy wmówić, że „przez tak liczne wieki otaczał Polskę blaskiem potęgi i chwały”, co wydaje się już być wyraźnym nadużyciem boskiej cierpliwości.

Czy ten przejaw braku wewnętrznej motywacji do prowadzenia godziwego życia na własny rachunek może być zrównoważony polskim monopolem na szczególnie rodzaj świątków?

Nasi rodacy wydają się zapominać, że ciąży na nich bezwzględny obowiązek prowadzenia, przynajmniej w miarę przyzwoitego życia, w którym nie powinno być miejsca na kłamstwo, zawiść czy pijaństwo już choćby ze względów estetyczno-kulturowych, bez których nie ma religii tak jak nie ma kultury bez religii. Przecież chrześcijaństwo wymaga, aby w założeniu dojrzały i odpowiedzialny za siebie i swoje czyny człowiek wszystkie decyzje nie tylko sam podejmował ale i samodzielnie wytyczone przez siebie cele, bez udziału sił nadprzyrodzonych, osiągał.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Jan A. TOMASZKIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i twory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

S.D., *Polska* — Wiersz bez tytułu („Stary dom...”) wydrukujemy.

Ks. J.S., *Polska* — Wybraliśmy do druku dwa wiersze: „Krew” i „Zrozum”.

M.N., *Francja* — Wybraliśmy do druku wiersz „Niedziela na Polach Marsowych”.

A.T.B., *Francja* — Wybraliśmy do druku wiersz „Papier”.

A.Sz., *Polska*; Autor wierszy „Szyfra”, „Zajęczek” i innych; E.M., *Polska*; T.J.R., *Polska* — Z wierszy nie skorzystamy.

S.D., Polska — Recenzja z tomu Lizakowskiego przypomina szkolną cenzurkę ze stopniami z wszystkich przedmiotów.

Wołyniak, Szwecja — Spelniliśmy Pana prośbę: przeczytaliśmy uważnie wspomnienia z dzieciństwa i młodości. Są zajmujące, niezłe napisane, ale mogłyby być wykorzystane chyba tylko w jakiejś obszernej antologii na temat międzywojennego życia na Kresach. Nie jest wcale wykluczone, że taka antologia zostanie kiedyś w Polsce przygotowana.

J.G., Niemcy — Oba opowiadania — „Magagigi” i „Pochód” — są zbyt sztuczne i nieprzekonywujące. I niezbyt dobrze wróżą przygotowywanemu tomowi, który chce (zdaje się) wskrzesić świat powieści Pawła Huelle „Weisser Dawidek”.

K.C.T., Dania — Z wierszy nie skorzystamy.

T.Ch., USA — Wybraliśmy do druku wiersz „Na wierzbie...”

B.J.J., Chile — Ma Pan rację, podkreślając wielkie zasługi Reagana. Niestety trudno to zrobić w wierszu.

J.P., Szwajcaria — Rozumiemy Pana uczucia, ale proszę też rozumieć powszechną zasadę grzebania żołnierzy w krajach ich śmierci na polu bitwy.

W.M., Polska — Pana teksty są niejasne, silą się niepotrzebnie na oryginalność.

S.M., Holandia — Dzięki Antoniemu Liberze, który przyjaźnił się z Beckettem, posiadamy polski przekład wszystkich jego dramatów i obszerny szkic o nim. Czy warto więc poświęcać mu dość zdawkową notę?

K.P., Kanada — „Mój Rzym” wydaje nam się banalny. Napisano o nim po polsku o wiele więcej i o wiele ciekawiej.

L.M.K., Polska — Zachęcamy Pana gorąco do napisania książki o Odojewskim: jego pisarska pozycja w Polsce rośnie, jego powieści i opowiadania są coraz poczytniejsze. Znajdźcie Pan z pewnością wydawcę. Nadesłany szkic o „Wyspie ocalenia” mógłby być jednym z jej rozdziałów.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 1820-1993

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1993			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 15,00	\$A. 90,00	\$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 3401 08, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy:
O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120



TOM 481 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO PIĄTY

zawiera opracowania: Antoni Stefan Koper: *Prasa polska w Niemczech*; Mieczysław Biesiekierski: *Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 – wrzesień 1944)*; Józef Lewandowski: *Kwestia narodowa w Europie wschodniej na przełomie epok (moskiewskie sympozjum)*; Józef Lewandowski: *Historia i polityka (bratysławskie sympozjum)*; Michał Rogaczow: *Transporty podążyły do Komi*; Zygmunt Chmielewski: *Sangorodok*; Kazimierz Groszyński: *Dwadzieścia dwa miesiące*; Krystyna Oppenauer-Śreniowska: *Lwowskie Ossolineum w latach 1939–1941*; Tadeusz Wyrwa: *Powstanie Warszawskie w oczach Francuzów* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F